

**JAMES
HERBERT**
Ocalony

Przełożyła
PAULINA BRAITER



Prolog

Stary człowiek postawił kołnierz ciepłego płaszcza i mocniej okręcił szalik wokół szyi. W chłodzie nocy widać było ciepły oddech wydobywający się z jego ust. Przez parę sekund człowiek przebierał stopami w cichym tańcu po twardej, cementowej powierzchni stalowego mostu, po czym znieruchomiał, układając swe postarzałe ciało wygodniej na twardej ławce. Spojrzał w ciemne październikowe niebo, smakując poczucie małości wobec jego głębi. Pół księżycy, jasne, wyraźnie widoczne, wisiało samotnie, jakby odrębne, dodane później i nie grające żadnej poważnej roli na ciemnym nieboskłonie.

Westchnął w duchu, opuścił wzrok na rzekę, czarną, z nagłymi rozbłyskami odbitego światła, łączącymi się i rozplywającymi, zmieniającymi się bez ustanku. Zerknął ku brzegowi, na łódki i motorówki, łagodnie kołysane przez lekki prąd; na jasne sklepy i restauracje, na odległy bar - wszystko oświetlone, gubiące delikatne odcienie szarości o ostrych kontrastach bezkompromisowego światła i czerni.

„Pięknie - pomyślał. - Jak pięknie o tej godzinie, o tej porze roku”. Było już późno, niewielu ludzi przechodziło przez most. Było też zimno, dzięki czemu mniej osób tam przystawało. Większość turystów opuściła już Windsor, skończył się sezon. Goście wycofali się do autokarów, samochodów - odeszli wraz z jesiennym zmierzchem. Ustaną teraz pielgrzymki z Windsoru do Eton, jego miasta, odwiedzające słynny *college* z dziedzińcem z czasów Tudorów i piękną piętnastowieczną kaplicą, podziwiając osiemnastowieczne wystawy sklepowe i średniowieczne

budynki z muru pruskiego, wędrujące pomiędzy licznymi sklepami z antykami, stłoczonymi wzdłuż wąskiej głównej ulicy. Sam nie doceniał należycie urody swego rodzinnego miasta, póki parę lat temu nie przeczytał oficjalnego przewodnika po Eton, uroda ta nikła bowiem przy codziennej zażyłości. Lecz teraz, kiedy mógł przez kilka lat wypocząć, rozejrzeć się wokół i jakoś zorganizować swoje życie, zainteresowała go historia i niepowtarzalny charakter miasta. W ciągu ostatnich czterech lat, od czasów odejścia na emeryturę i ostatniej choroby, zajął się Eton, stając się prawdziwym ekspertem. Turysta, któremu zdarzyło się zapytać starszego pana o drogę, stawał nagle twarzą w twarz z doskonale zorientowanym i praktycznie niestrudżonym przewodnikiem, który nie opuszczał go, póki nie przekazał mu przynajmniej podstawowych faktów z historii miasta. Lecz pod koniec lata starszy pan miał już dość turystów i ich hałaśliwej bieżaniny po spokojnym zazwyczaj miasteczku, toteż z radością witał nadejście chłodów i ciemnych wieczorów.

Codziennie około wpół do dziewiątej wieczór opuszczał swój domek z werandą na Eton Square i spacerkiem udawał się do *colleg'u* stamtąd zaś z powrotem w stronę High Street i mostu, na którym niezależnie od pogody spędzał co najmniej pół godzinki, obserwując, jak wody Tamizy rozdzielają się w dole rzeki, by opłynąć wyspę Romney. Nie oddawał się żadnym poważnym rozmyśleniom - po prostu wczuwał się w nastrój nocy. Niekiedy, najczęściej w lecie, przyłączali się do niego inni, czasem obcy, czasem znajomi, mający ochotę na chwilę pogawędki. Szybko jednak pogrążał się w zamyśleniu. W drodze powrotnej wstępował zawsze do baru „U Christophera” na szklaneczkę brandy, jeden z nielicznych luksusów, na jakie sobie pozwalał, po czym wracał do domu, do łóżka.

Przypuszczał, że ten dzień nie będzie się różnił od pozostałych. I wtedy dobiegł do jego uszu łoskot silników samolotu. Nie było w tym nic niezwykłego - Eton leżało na trasie lotów z pobliskiego Heathrow, co stanowiło zresztą powód wielu narzekania okolicznych mieszkańców, zarówno w Eton, jak i w Windsorze - ale z jakiejś przyczyny zadarł głowę do góry, aby zlokalizować źródło hałasu. Najpierw dostrzegł światło

ogonowe, po czym, kiedy już jego oczy przywykły do atramentowego tła, dojrzał potężny kadłub odrzutowca.

„Jeden z tych wielkich - pomyślał. - Przekleństwo, te wszystkie samoloty. Szczególnie wielkie odrzutowce. Hahaśliwe olbrzymy. Cóż, przypuszczam, że to zło konieczne”. Pragnął odwrócić oczy, czując, jak napięcie naciągniętych mięśni karku przeradza się w nieprzyjemny ból, z jakiegoś jednak powodu nie mógł tego zrobić. Ogromny korpus - całkiem nisko - czerwone światła, huczący dźwięk zafascynowały go nagle. Zbyt wiele widział podobnych potworów, aby akurat ten miał go zainteresować, ale zorientował się, że nie może oderwać od niego wzroku. Coś było nie w porządku. Nie miał pojęcia, skąd o tym wiedział, ale coś tam w górze nie grało.

Wyglądało na to, że maszyna skręca, co samo w sobie było niezwykle, jako że większość samolotów przelatywała nad Eton prosto, bez żadnych zmian kursu. Prawe skrzydło jakby obniżało się. Tak, z pewnością skręcał. I wtedy ujrzał, jak samolot otwiera się. Usłyszał stłumiony wybuch, ale jego zmysły ledwie zarejestrowały odgłos, tak były zajęte potwornym widowiskiem. Samolot nie przełamał się do końca i cały korpus nurkował teraz ku ziemi. Widział przedmioty, wypadające z rozprutego kadłuba; przedmioty, które mogły być jedynie fotelami, walizkami - i ludzkimi ciałami.

- O Boże - powiedział na głos i ten dźwięk nagle przeniknął jego umysł. - Tak nie może być! Pomóż im. Boże, pomóż!

Jego krzyk utonął w jęklwym ryku silników, gdy spadający samolot przeleciał nad nim, prześlizgując się nad High Street. Odgłos pracy czterech motorów zmieszał się z poświstem wiatru, dając w efekcie ów przerażający dźwięk. Moc silników uchroniła samolot przed zwykłym upadkiem. Stary człowiek dostrzegł, że okna z przodu oświetlone były czerwonym blaskiem, a z kadłuba wydobywały się jęzory płomieni, szarpane potężnymi powiewami wichru. Samolot ledwie trzymał się całości, część ogonowa odchyłała się w dół, w każdej chwili grożąc oderwaniem od reszty.

Samolot zniknął mu z oczu. Hangary na łodzie litościwie ukryły ostateczną i nieuniknioną katastrofę przed jego wzrokiem. Nastąpiła jakby przerwa, chwila ciszy, chwila, w której

zdawało się, że nic się nie stało - lecz wtedy nastąpił wybuch. Czerwień rozświetliła niebo. Ujrzał niezbyt odległe płomienie strzelające ponad hangary.

Padł na kolana, słysząc grzmot, którego siła zdawała się wstrząsać nawet mostem. Huk wypełnił mu uszy, przycisnął więc do nich dłonie, zginając się w pół tak, że czołem prawie dotykał kolan. Wciąż jednak docierał doń ten dźwięk, wibrując w jego głowie. Ciągle jeszcze nie odczuwał szoku, wywołanego tym, co się zdarzyło - na razie jego mózg zajęty był fizycznym bólem. Wreszcie hałas począł cichnąć. Trwało to sekundy, ale sekundy jakby zastygłe, beczasowe.

Powoli uniósł głowę, wciąż jeszcze mocno zatykając uszy. Strach rozszerzył mu oczy. Ujrzał pulsującą lunę i wznoszący się całun dymu. Poza tym jednak wszystko trwało w bezruchu. Zobaczył sylwetki ludzi zastygłych wzdłuż High Street, ich twarze były białymi plamami na tle dziwnie poczerwionego nocnego nieba. Stali nieruchomo, jak gdyby bali się albo nie mogli poruszyć.

Brzęk szkła z okien restauracji przy moście przerwał ciszę i stary człowiek zauważył, że całą ulicę zaścilały błyszczące odłamki. W oknach i drzwiach zaczęli pojawiać się ludzie, słyszał ich nawoływania. Nikt nie był pewien, co się właściwie stało. Podniósł się na nogi i ruszył w kierunku błoni, gdzie, jak wiedział, ostatecznie spoczął samolot.

Biegąc wzdłuż hangarów zauważył, że ostatnie z nich stoją w ogniu. Dotarł do dróżki prowadzącej na łąki, z każdym krokiem czując wzrastający ból, towarzyszący oddychaniu. Obejrzał się przez ramię i ujrzał niewielkie płomyki liżące budynki od tyłu. Skręcił na róg i zatrzymał się na brzegu pól, z ręką przyciśniętą do klatki piersiowej i ramionami wznoszącymi się gwałtownie od wysiłku, jakim stało się chwytnie oddechu.

Objął osłupiałym spojrzeniem wrak odrzutowca, oświetlony blaskiem pożaru. Kadłub był zmiażdżony, dziób zadarty w górę i spłaszczony. Jedno widoczne skrzydło leżało obok części ogonowej, która ostatecznie odpadła całkowicie od głównego korpusu. Jedyne sam ogon wznosił się majestatycznie, prawie nietknięty, wśród poszarpanych szczątków, ale przez to jakby

nieprzywoity, połyskujący czerwono od płomieni, wyzywający i brzydki w swej elegancji.

Cały teren pokrywały wykrzywione kawałki metalu, potraskanego i rozrzuconego podczas zderzenia z ziemią. Stary człowiek z pewnym wahaniem postąpił naprzód w nadziei, że być może będzie mógł komuś pomóc. Rzecz wysoce nieprawdopodobna, ale tylko to zostało do zrobienia. Idąc naprzód, słyszał odgłos kroków i krzyki za plecami. To inni przybywali na miejsce wypadku. Modlił się, aby okazali się do czegoś przydatni. Ostrożnie omijał rozpalone strzępy metalu; od niektórych zajmowała się trawa. I wtedy poczuł tę woń. Z początku nie rozpoznał jej, jako że zmieszana była z zapachem dymu i topiącego się metalu. Nagle pojął, skąd się wzięła. Pałace się mięso.

Zemdliło go i omal znów nie upadł na kolana. Ilu pasażerów zabierały te wielkie odrzutowce? Był pewien, że ponad trzystu. Boże, nic dziwnego, że swąd był tak silny!

Nagle poczuł, że zaraz zemdleje. Nie tylko z powodu ohydne-go smrodu - żar stawał się nieznośny. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo było gorąco. Musiał odejść; wszystko na nic, nikt nie mógł przeżyć tej masakry. Desperacko rozejrzał się wokół, tak na wszelki wypadek, i z odrazą pojął, że część z tego, co początkowo wziął za potraskany metal, stanowiły w rzeczywistości poszarpane zwłoki. Leżały wszędzie naokoło. Stał pośród okaleczonych, porozdzieranych ciał. Przetarł dłonią oczy, jak gdyby pragnąc odsunąć od siebie ten widok, ale nie mógł wymazać obrazu, który zobaczył. Powoli ręce ześlizgnęły się w dół jego twarzy i znowu rozejrzał się, w nikłej nadziei, że zdoła odnaleźć kogoś żywego. Oderwał myśli od widoku rozczłonkowanych ciał, poczerniałych zwłok, trupów, które w niestałym świetle zdawały się poruszać. Dostrzegł coś niewielkiego i różowego, nagiego i na pierwszy rzut oka nietkniętego. Dostatecznie małego, aby być - dzieckiem? niemowlęciem? Chryste, pozwól mu przeżyć! Pobiegł ku niemu, omijając ciała i inne przeszkody. Dziecko leżało twarzą ku ziemi, jego ciało było sztywne. Modlił się w głos, słowa wydobywały się z jego ust wśród łkania, kiedy klękał obok ciała i przewracał je.

Spojrzały na niego wielkie, puste oczy. Drobne usta uśmiechały się i drżały w migotliwym świetle. Twarz lalki była z jednej strony nadtopiona, oszepecona jakby blizną. Uśmiechnięte wargi dodawały jej jeszcze wyrazu sprośności. Stary człowiek krzyknął i odrzucił martwy przedmiot, w swym zmieszaniu kierując się w stronę ognia i głównego wraku. Szedł nie zważając na narastający skwar, lecz na szczęście zatrzymał go duży kawał żarzącego się metalu, o który się potknął. Leżał rozciągnięty w grząskim błocie, wstrząsany dreszczami, z palcami wczepionymi w rozmiękły grunt. Zaczynał odczuwać szok. Był stary, nie dość silny, by znieść podobną mękę. Ziemia wypełniła jego usta, aż zaczął się dławić, i dopiero ta cielesna dolegliwość zmusiła jego przerażony umysł do normalnej pracy. Uniósł głowę i dźwignął się na łokciach. Spojrzał ku górze, w płomień, szybko jednak zmuszony był zamknąć oczy, które parzył ogień. Ale zanim je zamknął, zdążył coś zarejestrować. Jakiś kształt, sylwetkę na tle jasnego blasku, zbliżającą się do niego. Zerknął raz jeszcze, tym razem najdokładniej jak mógł, osłaniając oczy jedną ręką.

To był człowiek. Oddalający się od samolotu. Od ognia. Niemożliwe. Nikt go nie minął. A z takiej katastrofy nie można wyjść żywym, przynajmniej nie na swych własnych dwóch nogach.

Stary człowiek przymrużył oczy i dokładniej przyjrzał się postaci. Nawet jej strój wydawał się nietknięty. Ciemny albo może tylko tak wyglądał na jasnym tle? Przypominał mundur. Postać szła ku niemu, wolno, bez trudu. Dalej od ognia. Dalej od zniszczonego samolotu. Dalej od umarłych.

Obrazy zaczęły rozplywać się w jego oczach. Poczul lekkość w głowie. Tuż przed zemdleniem zobaczył, jak postać pochyla się nad nim z wyciągniętą ręką.

Rozdział 1

Keller spokojnie prowadził wóz wzdłuż Pococks Lane, walcząc z chęcią dodania gazu. Próbował zachwycić się bogactwem jesiennych odcieni brązu w okolicznych parkach, ale jego umysł z rzadka tylko odrywał się od myśli o niezbyt odległym miasteczku, będącym celem jego podróży. Skręcił w Windsor Road, przejechał przez niewielki mostek i znalazł się między wysokimi, szacownymi zabudowaniami Eton College. Spojrzał na nie tylko przelotnie. Dojechał do High Street, gdzie stanął, aby pozbierać myśli. Zbyt długa koncentracja wciąż jeszcze sprawiała mu trudności.

Zjechał z krawężnika i znów skierował się w dół High Street, aż dotarł do mostu na jej końcu. Metalowe paliki zagradzały drogę. Skręcił w prawo i przejechał wzdłuż spalonych hangarów. Kolejny skręt w prawo doprowadził go do łąk, które były jego celem. Według mapy istniała jeszcze krótsza droga, z pominięciem High Street, ale chciał zobaczyć większy kawałek miasta. Nie miał pojęcia dlaczego.

Parkującego granatowego Staga obserwował policjant.

„Jeszcze jeden - pomyślał. - Kolejny pieprzony turysta. Albo poszukiwacz pamiątek”. Wciąż ten sam problem - stada kłębiące się na miejscu katastrofy. Trupojady. Zawsze tak było po każdym większym wypadku, szczególnie lotniczym. Ściągały ich tysiące, aby posmakować krwi. Blokowali drogi, włązili w szkodę. Odesłałby ich wszystkich w diabły, gdyby mógł. Najgorsi byli handlarze, sprzedawcy lodów, napojów, Ostaszków. Rzygać mu się chciało na samą myśl o nich. Niestety, to zbyt blisko Londynu. Miła wycieczka dla mieszczuchów.

Konstabl poprawił pasek od czapki i lekko wysunął szczękę. „No, ten usłyszy ode mnie parę słów - pomyślał, ale gdy Keller wyszedł z samochodu, policjant zmienił zdanie. - Wygląda na dziennikarza. Przy nich trzeba pilnować języka. Gorszi od poszukiwaczy emocji, węższą i wymyślają historyjki, jeśli nic nie znajdują. A wszystko po to, żeby ich cholerne gazety dobrze się sprzedawały”.

Przez ostatni miesiąc miał z nimi parę wpadek. Można by pomyśleć, że dadzą już spokój, w końcu minęły prawie cztery tygodnie, odkąd to się stało. Ale nie, ci reporterzy niczego nie zostawiają w spokoju, przynajmniej dopóki nie zostanie ukończone śledztwo. Nie miał pojęcia, że dochodzenie przyczyny wypadku lotniczego może trwać tak długo. Wystarczy przecież znaleźć czarną skrzynkę, czy jak tam to zwać, i już wszystko dokładnie wiadomo. Przynajmniej tak mu się zdawało. Oni jednak ślęczeli już nad tym dłuższy czas, zbierali szczątki, przeczyszczyli każdy zakątek Południowych Błoni, tuż za High Street. Przeszukali nawet rzeczkę biegnącą przez pola, mały dopływ Tamizy, i znaleźli kilka ciał, najpewniej wyrzuconych po zderzeniu maszyny z ziemią. Musiały przelecieć nad drogą aż do wody. I te inne, wyssane z samolotu jeszcze przed upadkiem. Boże, to było straszne. Trzy dni zajęło odnalezienie i zebranie wszystkich ciał, a raczej tego, co z nich zostało.

- Nie wolno wchodzić, proszę pana - burknął.

Keller przystanął i, ignorując policjanta, spojrzął ponad jego ramieniem. Widział szczątki samolotu, czy też ich główne skupisko. Leżał tam; wielka, osmalona skorupa, stożkowata z powodu spłaszczonego podwozia, potrzaskana i jakby zawstydzona. Wnętrznosci trafiły już do laboratoriów i teraz rekonstruowano je, poddawano badaniom, analizom, testom.

Widział sylwetki ludzi z notatnikami w dłoniach, wędrujących po terenie, pochylających się, podnoszących z ziemi małe przedmioty, badających zagłębienia gruntu. Ponura przyczyna ich poszukiwań kontrastowała ostro z jasnością chłodnego dnia, zielenią trawy i spokojem powietrza.

Konstabl przyjrzał się Kellerowi uważnie. Kogoś mu przypominał.

- Przykro mi, ale nie może pan tam pójść - powiedział.

Keller oderwał w końcu wzrok od miejsca katastrofy i spojrzął na policjanta.

- Chciałbym się zobaczyć z Harrym Tewsonem. To jeden z oficerów śledczych.

- Z panem Tewsonem? Hm, nie jestem pewien, czy akurat teraz można mu przeszkadzać, proszę pana. Chodzi panu o wywiad? - policjant podniósł brwi.

- Nie, jestem jego znajomym.

Policjantowi jakby ulżyło.

- Dobrze, zobaczę, co się da zrobić.

Keller obserwował, jak tamten idzie w kierunku wraku, zatrzymuje się i odwraca po przejściu jakichś czterdziestu jardów.

- Przepraszam, kogo mam zapowiedzieć?

- Nazywam się Keller. David Keller.

Policjant zamarł na kilka sekund, jakby wrósł w ziemię. Keller dostrzegł zaskoczenie malujące się na jego twarzy, zanim tamten obrócił się i podjął wędrówkę przez pole. Kalosze z cmoknięciem zanurzały się w błocie. Dotarł w końcu do wypalanej skorupy i pochylił się nad jedną z pracujących tam osób. Pięć głów uniosło się, by spojrzeć na Kellera. Jedna z postaci wstała i odłączyła się od reszty, podążając ku niemu szybko i machając ręką. Policjant szedł parę kroków za nią.

- Dave! Skąd się tu, u diabła, wziąłeś?

Tewson uśmiechnął się, ale był to uśmiech lekko nerwowy. Jednak uścisk jego dłoni był ciepły i mocny.

- Chciałbym z tobą pogadać, Harry.

- Jasne, Dave. Ale nie powinieneś tu przyjeżdżać, wiesz o tym. Myślałem, że jesteś na urlopie? - zdjął okulary i przetrął je wymiętą chusteczką. Nie spuszczał oczu z twarzy Kellera.

Keller uśmiechnął się krzywo.

- I jestem. Oficjalnie. Nieoficjalnie mnie zawiesili.

- Co takiego? Z pewnością tylko na krótko, wiesz, jak zazwyczaj śpieszno im do tego, żeby po tak okropnych doświadczeniach pilot wrócił do latania.

- Już próbowali, Harry. Nic z tego.

- Zatem próbowali cholernie wcześniej. Za wcześniej.

- Nie, to przeze mnie. Nalegałem.

- Ale po tym, co przeszedłeś, to normalne, że twoje nerwy potrzebują trochę czasu, aby wrócić do normalnego stanu.

- To nie nerwy, Harry. To ja. Ja po prostu nie mogłem lecieć. Nie byłem w stanie skupić myśli.

- To szok, Dave. Przejdzie.

Keller wzruszył ramionami.

- Możemy pogadać?

- Jasne. Słuchaj, mogę się urwać za jakieś dziesięć minut. Spotkamy się na High Street, „U George’a”. I tak już czas na przerwę obiadową - klepnął Kellera po ramieniu, odwrócił się i odszedł z powrotem do wraku z twarzą naznaczoną niepokojem.

Keller wrócił do samochodu, zamknął go i ruszył spacerkiem w kierunku High Street.

Policjant odprowadził go wzrokiem. Potarł w zamyśleniu policzek. Keller! David Keller. Powinienem być go poznać. Był drugim pilotem odrzutowca. Tego odrzutowca. I jako jedyny z tego wyszedł. Bez najmniejszego zadrapania. Jedyny ocalały.

Keller zamówił piwo i znalazł sobie stolik w zacisznym kącie. Barman nawet na niego nie zerknął, za co był mu wdzięczny. Przez ostatnie cztery tygodnie przeżywał nieprzerwany koszmar pytań, niedopowiedzianych zarzutów, gapiących się głów i chwil naglej ciszy, zapadającej, gdy się zbliżał. Koledzy i szefowie z Consula, kompanii lotniczej, dla której pracował, przeważnie odnosili się do niego z uprzejmością i zrozumieniem - nie licząc tych paru, którzy spoglądali nań z dziwną podejrzliwością. Ale gazety dosłownie rzuciły się na Kellera: katastrofa, w całym swoim dramatyzmie i ogromie, nie wystarczała im. Fakt, że udało mu się wyjść z tej potwornej masakry bez jednego draśnięcia, w nietkniętym mundurze, uznano za cud. Dokładne badania lekarskie nie wykazały żadnych obrażeń wewnętrznych ani oparzeń. Nerwy też były w porządku. Fizycznie sprawiał wrażenie doskonale zdrowego, z jednym wszakże wyjątkiem - amnezji. Rzeczywiście nie pamiętał niczego; niczego, co działo się tuż przed wypadkiem. Lekarze stwierdzili oczywiście, że przyczyną był wstrząs - w odpowiednim czasie, gdy umysł uodpornił się na tyle, aby pamiętać, wspomnienia powrócą. Ale istniała też możliwość, że nie nastąpi to nigdy.

Fama „cudu” utrzymała się, choć z czasem zdał sobie sprawę z otaczającej go niechęci. Niechęci nie tylko ludzi z zewnątrz, ale też niektórych kolegów. Według opinii publicznej nie powinien był przeżyć, w jej oczach był pilotem, przedstawicielem linii lotniczych, i jego obowiązkiem było umrzeć wraz z pasażerami. Co dziwniejsze, wyczuwał, że tak samo myśleli inni piloci. Nie miał prawa żyć, kiedy niewinni mężczyźni, kobiety, dzieci - razem trzysta trzydzieści dwie osoby - zginęli w tak straszny sposób. Jako członek załogi, częśćka linii lotniczych, był winien. Póki nie odkryje się przyczyny katastrofy, winien jest zawsze pilot. A on przecież był drugim pilotem, odpowiedzialność spoczywała także na nim.

Niecałe dwa tygodnie po wypadku poddał się testowi pilotażu na prywatnym samolocie. Beznadziejna sprawa. Zamarł, gdy tylko jego ręce dotknęły przyrządów. Pilot, stary wyga, który odegrał kiedyś znaczącą rolę w jego szkoleniu, wystartował sam, w nadziei, że w powietrzu górę u Kellera weźmie naturalny instynkt. Ale nic z tego. Nie mógł się skoncentrować, nie umiał znaleźć się w tej sytuacji. Po prostu nie wiedział już, jak się lata.

Jego firma, czuła na opinię ogółu i świadoma, że oto ma na głowie pilota, który, jak sądzono, mógł się w każdej chwili załamać, wysłała go na długi „urlop”. Wypowiedzenie, nie dość, że niesprawiedliwe, wywołałoby tylko więcej plotek, zwiększyło rozgłos, który mógł zaszkodzić ich reputacji. Dotychczasowe wyniki Kellera były doskonałe, co starannie podkreślano w każdym oświadczeniu. Uważano jednak, że po takim wstrząsie należał mu się długi odpoczynek.

Z zamyślenia wyrwało go pojawienie się w polu jego widzenia uśmiechniętej twarzy Harry'ego Tewsona.

- Co zamówić, Dave?

- Nie, pozwól, że ja...

Tewson uciszył go uniesieniem dłoni.

- Wezmę też coś do jedzenia - powiedział i zniknął w tłumie pod barem.

„Jedzenie - przemknęło przez głowę Kellera. - Prawie nie jadłem od czasu wypadku, tylko tyle, żeby przeżyć”. Wątpił, czy kiedykolwiek wróci mu apetyt. Tewson położył na stole stos kanapek, powtórnie zniknął i powrócił z napojami.

- Dobrze cię znowu widzieć, Dave - powiedział, sadowiąc się na krzesło. Także był pilotem i rozpoczynał szkolenie wraz z Kellerem, jednak niespodziewane i nieodwracalne pogorszenie wzroku sprawiło, że zmuszony był stałe nosić okulary. Ponieważ jednak jego doświadczenie i nieprzeciętne zdolności techniczne były zbyt cenne, aby je marnować, zatrudniono go w AIB, Dziale Dochodzeń Izby Handlowej, grupie pilotów i inżynierów, zadaniem której było badanie poważnych wypadków lotniczych w kraju, a także za granicą, jeśli związane były z brytyjskim lotnictwem cywilnym. Tam szybko dowiódł swej użyteczności niezwykłą przenikliwością, z jaką traktował poszczególne przypadki. Jego metoda, niezupełnie akceptowana przez współpracowników, polegała na umiejętnym odgadywaniu przyczyn wypadku, a następnie odszukiwaniu dowodów na poparcie swych tez. Jak dotąd rzadko się mylił.

Tewson wgrzył się w kanapkę i popił piwem.

- W czym mogę pomóc? - zapytał, przełknąwszy jedzenie. Keller uśmiechnął się. Cały Harry. Żadnego owijania w bawełnę, od razu do rzeczy.

- Powiedz, czego dowiedzieliście się o wypadku.

- Daj spokój, Dave. Wiesz doskonale, że najpierw musimy to pozostawiać, a potem przeprowadzić oficjalne dochodzenie. Do tego czasu wszystko stanowi tajemnicę służbową.

- Harry, ja muszę wiedzieć.

- Posłuchaj - zaczął Tewson przyjaźnie. - Ciebie to nie dotyczy.

- Nie dotyczy? - głos Kellera był spokojny, ale wzrok, którym przeszył przyjaciela, wzbudził w nim nagły dreszcz. - Wiesz, jak się czuję, Harry? Jak dziwadło. Wyrzutek. Ludziom nie podoba się to, że ja żyję, a wszyscy inni zginęli. Czuję się jak kapitan, który uciekł z idącego na dno okrętu, pozwalając pasażerom utonąć. Obwiniają mnie, Harry. Opinia publiczna, kompania, i... - przerwał, spoglądając w szklanke.

Po krótkiej chwili pełnego zmieszania milczenia Tewson przemówił:

- Co się z tobą dzieje, Dave? Nikt cię o nic nie obwinia. A już z pewnością nie kompania. Co do ludzi, to poznają przyczyny wypadku, jak tylko opublikujemy nasze dane. I nie zgadzam się

z twoimi idiotycznymi przypuszczeniami, że nie podoba im się to, że przeżyłeś. Ogólnie cierpisz na nadmiar źle skierowanego poczucia winy i melancholię. Weź się w garść i wypij to pieprzone piwo.

- Skończyłeś? - zapytał łagodnie Keller.

Tewson ponownie odstawił szklanekę, zanim dotknęła jego ust.

- Nie, do diabła, nie skończyłem. Znam cię od dawna, Dave. Byłeś dobrym pilotem i znowu będziesz, kiedy tylko zapomnisz o tym wszystkim i zaczniesz myśleć o przyszłości - jego głos złagodniał. - Wiem, że poniosłeś też osobistą stratę, ale ona naprawdę nie chciałaby, żebyś ciągnął to w ten sposób.

Keller spojrział na niego, zaskoczony.

- Wiedziałeś o Cathy?

- Jasne, że wiedziałem. W końcu to nie był aż taki sekret. Nie ma nic niezwykłego w tym, że pilot ma dziewczynę stewardesę.

- To było coś więcej, Harry.

- Nie wątpię w to. słuchaj, stary, nie chcę być przykry, ale chodzą słuchy, że się skończyłeś, że nigdy już nie będziesz dobry. Teraz, kiedy usłyszałem, jak się nad sobą użalaś, wcale się temu nie dziwię. Ale znam cię lepiej, niż sądzisz. Jesteś mocny, Dave, mocniejszy niż większość ludzi, i sądzę, że w przeciągu paru tygodni wrócisz do normy. Tymczasem skończę pić, jeśli pozwolisz.

Keller sączył swoje piwo, czując na sobie wzrok Tewsona, obserwującego go ponad szklami okularów.

- Doceniam to, co próbujesz zrobić, Harry, ale to niepotrzebne. To prawda, odczuwam smutek, ale nie ma on nic wspólnego z załamaniem nerwowym. To raczej jakby głębokie zmęczenie gdzieś na dnie mego umysłu. Może to zabrzmia wariacko, ale czuję, że jest coś, co muszę zrobić, coś, co muszę odkryć, a odpowiedź leży tu, w Eton. Nie potrafię tego wyjaśnić i nie mogę się temu oprzeć, jeśli kiedykolwiek mam być z powrotem sobą. Jest jeszcze coś, czego nie mogę uchwycić. Może to pamięć? Nie wiem. Ale wcześniej czy później to przejdzie, i wtedy będę mógł ci pomóc. Na razie jednak pytam.

Tewson westchnął głęboko i odstawił szklanekę na stół. Przez chwilę zagłębił się w myślach, prawie dotykając podbródkiem

piersi. Nagle wyprostował się gwałtownie, podjąwszy decyzję.

- Okay, Dave - powiedział. - To musi zostać między nami. Nikomu ani słowa. Gdyby Slater kiedykolwiek dowiedział się, że coś ci powiedziałem, wywaliłby mnie na zбитy pysk. Nawet w najlepszych okolicznościach niezbyt się zgadzamy.

Keller przytaknął. Slater był szefem grupy dochodzeniowej, zajmującej się wypadkiem, i odpowiadał za organizację, prowadzenie i kontrole

Do jego obowiązków należało ustalenie składu grup, zajmujących się poszczególnymi etapami pracy. *Surowy*, metodyczny gość. Keller wiedział, że Slater nigdy nie uznawał pochopnych metod Tewsona, stawiania spraw na głowie.

- Dobra - zaczął Tewson, przełykając potężny haust piwa, jakby dla dodania sobie otuchy. - Jak wiesz, pierwszą rzeczą, jakiej szukamy w takim wypadku jak ten, jest czarna skrzynka.

I znaleźliśmy ją, ale cała metalowa powłoka była nadtopiona. Najbardziej ucierpiała część przednia: taśma z folii aluminiowej, na której zapisywane są wskazania wszystkich instrumentów, była odsłonięta. Pokrywała ją sadza, ale ogólnie rzecz biorąc zachowała się w niezłym stanie. Wymontowaliśmy ją, usunęliśmy zewnętrzną osłonę i wysłaliśmy do laboratorium, do odczytawania. Cóż, chociaż zapis startu był prawie całkowicie nieczytelny, zakładamy, że jako drugi pilot wykonałeś wraz z mechanikiem wszystkie rutynowe próby, gdy tylko wieża kontrolna udzieliła kapitanowi Roganowi zezwolenia na uruchomienie silników na przedpolu hangaru.

- Po prostu nie pamiętam - rzekł Keller z zakłopotaniem.

- Wiem, że nie pamiętasz. Ale ponieważ włączenie czarnej skrzynki jest częścią procedury, można sądzić, że zrobiliście i resztę.

Keller przytaknął.

- Skrzynka notuje pięć parametrów lotu: odczyt żyroskopów, kurs magnetyczny według kompasów, aktualną prędkość lotu, wysokość, na której znajduje się samolot, spisana z ciśnieniowych wysokościomierzy, oraz czas w sekundach, nie mający żadnego związku z czasem rzeczywistym, wskazywanym przez zegar. Wszystko to naniesiono na wykresy i porównano z zapisem lotu innego 747, który startował w podobnych warunkach -

czas, pogoda, ładunek, te rzeczy - kilka dni wcześniej. Stąd dowiedzieliśmy się, że wszystko było w porządku, z wyjątkiem jednego HDG - kursu magnetycznego - który różnił się od innych, jeszcze zanim osiągnęliście prędkość przelotową. Innymi słowy, kapitan Rogan zmienił kierunek. Możliwe, że zawracał na Heathrow. Pozostają nam tylko domysły, gdyż właśnie wtedy instrumenty zaczęły szwankować.

- Z pewnością skontaktował się z kontrolą lotu, aby ich uprzedzić o zmianie kursu - Keller nachylał się nad stołem, z oczami wbitymi w twarz przyjaciela.

- Próbował, ale cokolwiek się stało, stało się szybko. Nie miał czasu na przekazanie wiadomości.

Keller milczał przez chwilę, rozpaczliwie próbując coś sobie przypomnieć. W głowie miał jednak kompletną pustkę. Opadł z powrotem na krzesło.

Tewson mówił dalej:

- Specjaliści od systemów zaczęli już dokładne badania kokpitu; mimo że został on prawie całkowicie zniszczony, potrafili ustalić usytuowanie wielu przyrządów sterowniczych i przełączników, i - choć niektóre spłonęły całkowicie - mogli domyślić się, co wskazywały dzięki...

- Czy były tam jeszcze ciała załogi? - przerwał Keller.

- Hm, tak, były. Rzecz jasna, absolutnie nie do rozpoznania, ale...

- To jak mi się udało wydostać? Czemu nie było tam mojego ciała? Dlaczego nie zginąłem z innymi?

- Pewne jest, że musiałeś opuścić kabinę przed wypadkiem.

- Dlaczego? Z jakiego powodu miałbym wyjść z kabiny tak szybko po starcie? Czy...

Nagły przebłysk. Wspomnienie prawie przebijające się przez blokadę. Obraz. Zastygły obraz twarzy kapitana: usta otwarte - krzyczy coś do niego, z oczu bije trwoga. Strach.

I równie nagle zniknęło. Gdy umysł pospieszył na jego spotkanie, wspomnienie niespodziewanie umknęło, kryjąc się w jakimś ciemnym zakątku.

- Co się dzieje, Dave? Wyglądasz okropnie. Czy coś ci się przypomniało? - głos Tewsona wypełnił pustkę pozostałą po obrazie. Keller przetarł oczy drżącą dłonią.

- Nie, wszystko w porządku. Przez moment myślałem, że zaraz mi się przypomni. Ale nie. Odeszło. Nie mogę...

- Wróci, Dave - rzekł Tewson łagodnie. - Daj sobie trochę czasu. Wróci.

- Może ja nie chcę pamiętać, Harry? Może tak jest lepiej.

Tewson wzruszył ramionami.

- Może. Mam mówić dalej?

Keller skinął głową.

- Odnalezienie i ustalenie pozycji wszystkich odszukanych przyrządów zabrało pięć dni. Na szczęście większość wskaźników zaprojektowano tak, by ostatni zapis utrwał się na nich w razie wstrząsu. Kiedy nanieśliśmy wszystko na wykresy, okazało się, że nic nie odbiega od normy. Nie było też żadnych śladów na tyle poważnej awarii elektrycznej, by mogła się przyczynić do wypadku.

zebraliśmy wszystkie zapisy dotyczące konserwacji samolotu i w tej chwili właśnie są one analizowane. Jak dotąd, nie znaleziono niczego, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie, z wyjątkiem śruby rozporowej trymera, której brakowało podczas ostatniego przeglądu. Ale oczywiście przed wyznaczeniem wazszego Jumbo do lotu wstawiono nową.

Notatki techniczne, prowadzone aż do dnia poprzedzającego wypadek, a sięgające zeszłego roku, nie zawierają informacji

o żadnych poważnych problemach z samolotem. Odnaleziono

i rozebrano silniki. Jak na razie nic nie wskazuje na to, by miały źle działać przed wypadkiem. W rzeczywistości, jeśli moja teoria jest słuszna, to właśnie silniki uchroniły maszynę przed gwałtownym upadkiem.

- Twoja teoria? - zainteresował się Keller, wiedząc, że „teorie” Tewsona często z tajemniczych przyczyn okazywały się prawdziwe.

- Dojdę do tego za chwilę. Niczego jeszcze nie dowiodłem - pociągnął kolejny łyk ze szklanki i skrzywił się; piwo zaczynało już wietrzeć.

- Noc był zimna, więc sprawdzono odladzacze. Jeszcze raz: żadnych uszkodzeń. Wciąż jeszcze sprawdzamy pozostałości układu paliwowego. Jak dotąd nic.

Przejdźmy do czynnika ludzkiego. Ty, jako jedyny ocalały,

okazałeś się dla nas całkowicie bezużyteczny - typowe dla Tewsona: mówił otwarcie, jego głos nie zdradzał nawet cienia przeproszającego tonu. Zbyt był zaabsorbowany szczegółami technicznymi, aby przejmować się ludzką wrażliwością.

- Akta szkolenia lotniczego całej załogi zostały dokładnie sprawdzone, podobnie jak jej kartoteki medyczne. Ciebie samego poddano drobiazgowym badaniom natychmiast po wypadku, nie tylko po to, by stwierdzić, czy nie odniosłeś żadnych obrażeń wewnętrznych. Do badań włączono analizy krwi i moczu. Wzięto też pod uwagę, jak ciężko pracowaliście obaj z kapitanem w ciągu ostatnich kilku miesięcy i czy dostatecznie wypoczęliście przed startem. Wydobyto z kabiny resztki waszych toreb lotniczych, zostało z nich zaś na tyle dużo, by można było stwierdzić, że nie zawierały lekarstw ani narkotyków. Zatem - żadnych komplikacji. Wyniki waszych testów sprawnościowych - zarówno twoje, jak i kapitana Rogana - w ostatnich latach były doskonałe. Jak dotąd, wszystko grało. Z wyjątkiem tego, że w momencie katastrofy nie było cię tam, gdzie powinieś.

Dobra. Jadę dalej. Naniesiono na plan pozycje wszystkich zwłok, zarówno w środku, jak i na zewnątrz samolotu. Znaleźliśmy nawet paru biedaków na dnie rzeki, która płynie przez te łąki. Interesujące jest to, że we wnętrzu maszyny natknęliśmy się na dużą grupę ciał nakładających się na siebie, leżących jedno na drugim, spalonych nie do poznania. Z ich stanu można wnioskować, że miał tam miejsce jakiś potężny podmuch.

Keller wzdrygnął się. Zastanowił go widoczny u jego towarzysza brak współczucia dla nieszczęsnych ofiar wypadku. Cóż, fascynacja dochodzeniem poniosła Tewsona tak daleko, że ludzkie tragedie zupełnie przestały go interesować.

- Ja pracowałem z Grupą Strukturalną. Sporządziliśmy mapę całego terenu, opartą na zdjęciach lotniczych i planach, nanieśliśmy na nią dokładną pozycję wraku i drogę upadku. Pokazuje ona, które części samolotu odpadły od kadłuba najpierw, oraz miejsca, gdzie je odnaleziono. Z tego można mniej więcej odtworzyć rozpadanie się 747; możemy już powiedzieć, które fragmenty odegrały jakąś rolę w wy-

padku. Miejsce początkowych uszkodzeń leżało gdzieś w okolicy dziobowej.

Uśmiechał się teraz i Keller musiał odwrócić wzrok. Rosła w nim chęć starcia tego uśmiechu z twarzy kolegi. Nieświadom tego, Tewson ciągnął:

- Badałem lewe skrzydło i odkryłem ledwie widoczne zadrapania, biegnące przez całą jego długość. Pod mikroskopem dostrzegłem w ich głębi ślady niebieskiej i żółtej farby - wyprostował się z zadowoloną miną.

- No i...? - zapytał Keller.

- No i jakiego koloru jest symbol waszych linii?

- Niebiesko-żółty.

- Zgadza się. I znajduje się na kadłubie, od dziobu aż do skrzydeł. W tej chwili poddajemy analizie farby, po prostu, żeby się upewnić. Ale je wiem, że się nie mylę.

- Ale co to oznacza? - dopytywał się niecierpliwie Keller.

- Oznacza to, mój stary, że ściana kabiny została wysadzona ze straszną siłą. Wybuch. Sądząc po jego sile, jedyną przyczyną mogła być bomba.

Posłał przewrotny uśmiech poblądłemu gwałtownie pilotowi.

Rozdział 2

Mały, czarny samochód zahamował ostro i zatrzymał się najbliżej żywoplotu, jak tylko Ken Payntes był w stanie dojechać.

- Nie zaryjemy się w błocie? - zapytała siedząca obok niego dziewczyna, wyglądając nerwowo w ciemną noc za boczną szybą.

- Nie, wszystko okay. - Ken, by ją uspokoić, zaciągnął ręczny hamulec, który, jak dobrze wiedział, i tak od dawna już nie działał. Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu, podczas gdy ich wzrok przystosowywał się do mroku. Ken był bardzo zadowolony ze swojego używanego Mini, który trafił do niego trzy miesiące temu. Kiedy się pracuje w garażu, trzeba mieć oczy otwarte, żeby nie przegapić zdarzających się od czasu do czasu okazji - a ta pojawiła się akurat w odpowiednim momencie. Niewiele zarabiał jako pomocnik mechanika - to jest, przynajmniej na razie - ale jego szef zgodził się potrącać mu pewną sumę z pensji, aby spłacić te parę setek. Tak, był zdecydowanie zadowolony. Mógł teraz wjeżdzać w fajne ciemne alejki, a kiedy nie ma się własnego kąta, samochód i ciemna alejka nadają się prawie równie dobrze.

Tym natomiast, z czego nie był zbyt zadowolony, była Audrey. Stawała się coraz bardziej uciążliwa. Spotykał już wiele dziewczyn, którym odpowiadały te małe wycieczki z dala od ubitego traktu, Audrey jednak cały czas świegotąła o wielkiej miłości, oszczędzaniu siebie dla właściwego mężczyzny, powadze i prawdziwym znaczeniu kochania się - wszystkich tych

pierdołach. No, dzisiejszy wieczór stanowił jej ostatnią szansę. Jak nie ustąpi, może się odpieprzyć. Nie było z nim jeszcze tak źle, żeby miał się przejmować takim chudzielcem. Choć miała niezłe nogi.

Audrey zerknęła na niego, próbując dojrzeć jego rysy w ciemności. Wiedziała, że ją kocha, to się dało zauważyć. Ta chemiczna reakcja odczuwana przez wszystkich prawdziwie zakochanych, gwałtowne przyspieszenie rytmu serca, nagle poświata otaczająca ich ciała za każdym razem, gdy się spotykali. Jasne, od czasu do czasu był raczej szorstki, ale to po prostu jego sposób bycia. To nic nie znaczyło. Od dawna już przetrzymywała go w niepewności i kilka razy nawet zdawało się jej, że go straciła. Ale zdał ten egzamin! Naprawdę ją kochał - w przeciwnym razie nigdy by tego nie wytrzymał. Teraz, gdy już była pewna, może nadszedł czas na jakąś nagrodę. Malutką. Tylko tyle, żeby podtrzymać jego zainteresowanie. I uwagę. Pochyliła się w stronę jego siedzenia z zamiarem pocałowania go w policzek. Nie trafiła, gdyż w tej samej chwili Ken ruszył w jej stronę. Jedną rękę miał wyciągniętą tak, żeby niby przypadkowo spoczęła na jej udzie. Zatrzymał się, aby przetrzeć oko, w które trafiła ustami.

- Przepraszam - powiedziała z powagą.

Wymamrotał coś bezgłośnie i ponownie wystartował na przód. Tym razem ich usta spotkały się w pocałunku, dla niej radosnym, dla niego będącym raczej pokazem siły.

Po kilku miażdżących sekundach oderwała się od niego.

- To boli, Ken - rzekła z pretensją w głosie.

- Przepraszam, kochanie - odparł. - Ale wiesz, co przy tobie czuję. - „Chcicie”, pomyślał.

- Tak, Ken, wiem. Naprawdę mnie kochasz, prawda?

„Jasne - pomyślał. - Oszukuj się dalej”.

- Oczywiście, że tak, maleńka. Chyba zawsze cię kochałem, od kiedy się znamy.

Westchnęła i przytuliła się do jego ramienia. „Daj jej parę minut - pomyślał. - Nie graj za ostro”.

- Zimno mi, Ken - poskarżyła się. Uwolnił lewą rękę, przesunął ją nad oparciem i objął Audrey.

- Za chwilę cię rozgrzeje - powiedział z pewnym wahaniem.

Usłyszał jej chichot. Chryste, zaczynał naprawdę mieć nadzieję! Nagle poczuł, że zeszywniała. No nie, już się zaczyna! Powoli rozluźnił uścisk.

- Gdzie my jesteśmy, Ken? - zapytała, siadając prosto. Przetarła zaparowaną szybę.

- słucham?

- Gdzie jesteśmy? - powtórzyła.

- W moim samochodzie.

- Nie o to mi chodzi. Tu obok są Południowe Błonia, prawda?

- Tak, przed nami. Bo co?

- Jak mogłeś przywieźć nas tutaj? Tu, gdzie rozbił się ten samolot?

- Jezu, to było miesiąc temu! Poza tym jesteśmy daleko od miejsca wypadku.

- Mimo wszystko tu jakoś dziwnie. Myślę, że powinniśmy już jechać. To okropne.

- Nie bądź śmieszna, kochanie. I tak nie mogę krążyć naokoło, prawie skończyła mi się benzyna - „I nie mam najmniejszego zamiaru włączyć się po okolicy w poszukiwaniu cichego zakątka tylko po to, żeby cię przelecieć”, dodał w myślach.

- I tak mi zimno. Jesteśmy zbyt blisko rzeki.

- Powiedziałem ci już, że zaraz cię rozgrzeję - przyciągnął ją do siebie. Szttywność opuściła ją. Przycisnęła się blisko niego.

- Kocham cię, Ken. Z nami jest inaczej, prawda?

- Tak, Aud - zapewnił ją i zaczął całować czubek jej głowy. Uniosła ku niemu twarz.

- Nigdy mnie nie zostawisz? - w ciemności widział tylko jej szeroko otwarte oczy.

- Nigdy - odparł. Zmienił nieco swą pozycję tak, by łatwiej dosięgnąć jej ust. Całował jej czoło, nos i wreszcie wargi. Pożądanie, od dawna już w nim obecne, poczęło także budzić się i w niej, czuł to. Pora na próbę. Prawa dłoń, dotąd zaciśnięta na ramieniu, zaczęła wolno i ostrożnie przesuwając się w kierunku jej piersi. Tyle już razy osiągnął z nią ten punkt po to tylko, aby zostać nagle odepchniętym ze łzami (i niezłą siłą). Ale dziś czuł, że będzie inaczej - wreszcie zmańdrzała na tyle, by przystosować

się do wymogów tolerancyjnego społeczeństwa. Jego palce drżały z podniecenia, kiedy wreszcie osiągnęły swój cel: jej pierś, miękką pod welnianym swetrem i poddającą się dotykowi.

- Najdroższy - usłyszał jej cichy jęk i poczuł palce wpijające się w ramiona. - Powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię - powiedzieć zawsze można.

- Nie opuścisz mnie.

- Nie opuszczę - w tym momencie mówił prawie serio.

- Tak, kochanie - mruknęła, gdy jego ręka zaczęła podciągać dół swetra. Samo słowo „tak” pobudziło jego krączenie, a dotyk chłodnych palców na nagiej skórze brzucha sprawił, że Audrey zacisnęła uda w radosnym podnieceniu. Jego wędrująca ręka dotarła do stanika i szybko przesunęła się, aby rozluźnić ramiączko na ramieniu, które łatwo ześliznęło się w dół. Dłoń powróciła błyskawicznie do miejsca, które stanowiło teraz jego wyłączną dziedzinę. Objął pierś, delektując się przez parę chwil dotykiem delikatnej miękkości i twardego środka, a jego zachłanne myśli kierowały się już ku dalszym rejonom.

I w tym momencie jej ciało ponownie zeszytywniało.

- Co to było? - syknęła głośno.

Zamarł, zastanawiając się, czy zabić ją od razu, czy też raczej wykopać w żywopłot i odjechać. Zamiast tego zapytał sucho, z dłonią wciąż zacisniętą na swej zdobyczy:

- Co takiego?

- Ktoś jest na zewnątrz. Coś słyszałam - wyszeptwała Audrey. Niechętnie wycofał rękę i obrócił się, wyglądając przez zaporowaną szybę.

- Do cholery, i tak nic nie można zobaczyć przez te okna!

- Słuchaj, Ken. Słuchaj! - w jej głosie brzmiała błagalna nuta. Siedział tak, wpatrzony w pustą przednią szybę, starając się nasłuchiwać, lecz męka niespełnionego i z wolna opadającego pożądanego przytłumiła inne zmysły.

- Nic tam nie ma - powiedział ze zmęczeniem, próbując jednocześnie przypomnieć sobie, czy zamknął drzwi, czy też nie. Przetarł szybę rękawem na tyle, by móc wyjrzeć na zewnątrz. Nachylił się tak, że nosem prawie dotknął szkła.

- Nic - warknął wściekle. - Nic nie widzę.

- Jedźmy stąd, Ken. Jest tak zimno, nie czujesz tego?

Czuł. To nie był normalny jesienny chłód, raczej dreszcz, który przenikał go całego. I wtedy coś usłyszał.

Brzmiało to jak szept, podobny do szelestu bezlistnych gałązek żywopłotu. W jakiś jednak sposób czuł, że jest to naturalny odgłos. Było w nim coś ludzkiego, a jednak nie brzmiał po ludzku. Znowu go usłyszeli - cichy, bezdźwięczny szept.

Audrey ścisnęła jego ramię. Nie spuszczała wzroku z okna.

- Jedźmy stąd. I to zaraz - głos miała niepewny, jej ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

- Pewnie to jakiś ciekawski - powiedział bez przekonania, mimo to sięgając do rozrusznika. Zmartwiały słysząc, jak silnik krztusi się, zachłystuje i milknie. Poczul, jak Audrey odwraca się ze strachem ku niemu, lecz uniknął spojrzenia w jej stronę w obawie, aby jego wzrok nie zdradził, jak bardzo sam był zaniepokojony. Powtórnie przekręcił kluczyk. Tym razem wydawało się, że silnik zapali, ale ponownie zakrztusił się i zamarł z żalonym jękiem. Po trzeciej próbie wiedział, że musi dać zużytemu akumulatorowi chwilę odpoczynku, zanim ponowi starania. Siedzieli tak w martwej, czarnej ciszy, natężając słuch w poszukiwaniu najłżejszego odgłosu, w duchu modląc się, aby się nie pojawił. Ale nadszedł. Cichy, bełkotliwy szept. Bliski. Bliski i, jak się zdawało, dochodzący od strony dziewczyny.

Ken zerknął ponad nią w puste boczne okno, na którym para pochodząca z ich ciał wytworzyła ciemnoszarą matową zasłonę. A jednak wydało mu się, że dostrzegł jaśniejszy kształt, powiększający się powoli niby ciepły oddech na szybie, bez określonych krawędzi - przybliżający się szary owal. Otworzył usta, ale nie był w stanie mówić. Jego kark i ramiona zeszywniały, włosy zje żyły się. Kształt przestał się już powiększać i chłopak wiedział, że znajduje się teraz tuż za szybą, kilka centymetrów od odwróconej głowy Audrey. Dziewczyna nagle zorientowała się, że Ken spogląda ponad jej lewym ramieniem. Jej serce załomotało na widok przerażenia, malującego się na twarzy towarzysza.

Wolno, jakby jej głową poruszał jakiś mechanizm, odwróciła wzrok od jego twarzy i przeniosła z lękiem na okno. Zupełnie odruchowo uniosła dłoń i jednym ruchem przetała szybę. W tej

samej chwili krzyknęła, jakby ten krzyk wydobywał się z głębi jej duszy. Dźwięk wypełnił mały samochód całkowicie, podobnie jak głowę chłopaka.

Poprzez szkło wpatrywało się w nią dwoje dużych, ciemnych oczu. Ich spojrzenie miało taką moc, że nie mogła oderwać od nich wzroku, wydawało się, że przenika przez nią, jak gdyby przetrząsając jej umysł, sięgając po jej duszę. I w swym przerażeniu wiedziała - krzyczał to każdy jej zmysł - że to coś na zewnątrz nie jest człowiekiem, nie jest istotą żywą. Nawet w panice pojęła, co to było. Wielkie, otwarte oczy, drobna blada twarzyczka, małe uśmiechnięte usta, dziwna skaza na policzku - wszystko to należało do twarzy lalki. Ale te oczy żyły, ich spojrzenie paliło. Znów dotarł do niej szept, odbijający się w jej umyśle, ale nie rozumiała słów - nie miały one żadnego sensu.

Jej krzyk sprawił, że Ken wyzwolił się z paraliżującego zaklęcia. W kompletnej panice rzucił się do stacyjki i przekręcił kluczyk, mocno naciskając nogą pedał gazu. Samochód zakłęsał się, z początku lekko, potem mocniej, gwałtowniej. Zsunął stopę z pedału i silnik zaskowyczał, zamierając tuż przed tym, nim na dobre przebudził się do życia. Rzuciło go do środka, kiedy jego strona samochodu kompletnie oderwała się od błotnistej ścieżki, na której parkowali. Audrey poczuła, jak uderza w okno. Jedyne grubość szkła oddzielała ją w tej chwili od strasznych ciemnych oczu. W tym krótkim momencie dostrzegła jednak bijący z nich smutek i głęboką rozpacz. Oraz zło.

Poleciała w drugą stronę, gdyż wozem rzuciło w prawo, i tym razem przywarła mocno do Kena, krzycząc histerycznie. Kołysanie zyskało na sile, a potem samochód zaczął drżeć, trząść się i dygotać, jakby w szale.

- Co się dzieje, co się dzieje?! - krzyczała dziewczyna, ale chłopak nie mógłby odpowiedzieć, nawet gdyby słowa zdołały przeniknąć do oglupiałego z przerażenia mózgu. Samochód gwałtownie opadł na ziemię, z impetem zagrażającym jego całości. Nastąpiła cisza, przerywana jedynie szlochaniem i jękami rozhisteryzowanej dziewczyny. Ken odruchowo oderwał się od niej i sięgnął do drzwi. Pociągnął za klamkę i pchnął je mocno

ramieniem, po czym wytoczył się w ostre gałęzie bezlistnego żywopłotu. Kolce rozorały jego ciało, zignorował jednak ból, przeciskając się przez wąski odstęp pomiędzy autem i krzakami. Czuł gałęzie chwytające jego ubranie i w swym przestachu wziął je za ręce starające się go zatrzymać, zawrócić. Krzyknął głośno, a jego szamotanie stało się gwałtowniejsze, szaleńcze, aż w końcu wydostał się z przesmyku.

Bez oglądania się - nie chciał niczego widzieć - pobiegł ciemną szosą, nieświadom niczego prócz własnego ślepego przerażenia. Jedynie w najgłębszym zakamarku umysłu zarejestrował żalostny głos dziewczyny, nawołujący go i błagający, by wrócił i nie zostawiał jej samej.

Biegł, potykając się i padając w ciemności, byle dalej od samochodu. Dalej od czającej się tam grozy.

Rozdział 3

Keller zaciągnął się, wciągając dym papierosa głęboko w płuca, a następnie wypuszczając go powoli, długim, równym strumieniem. Siedział po ciemku, bezwładnie rozciągnięty w swym jedynym fotelu, z oczami bezmyślnie wbitymi w sufit.

Wcześniej tego wieczora wrócił do swego londyńskiego mieszkania z głową huczącą od informacji udzielonych mu przez Tewsona. Zrzucił z siebie płaszcz, rozluźnił krawat i nalał sobie sporą porcję Glenfiddicha. Nieczęsto zdarzało mu się dużo pić - latanie i picie nie są najlepszą kombinacją - ale przez ostatnie tygodnie zaczął doceniać otepiający wpływ alkoholu na nerwy. Zagłębił się w fotel, stawiając butelkę na poręczy, aby móc rozpiąć mankiety, podwinąć rękawy do łokci i zapalić papierosa. I tak już pozostał przez dwie godziny, zagubiony w niepokojących i nie uporządkowanych rozmyślaniach.

Bomba! Czy to możliwe? W dzisiejszych czasach, przy tak ściśle przestrzeganych przepisach bezpieczeństwa, prześwietleniach walizek i bagażu podręcznego, kiedy każdy pasażer przy wejściu na pokład poddawany był szybkiej, lecz fachowej kontroli osobistej? A jednak ciągle się to zdarzało, wciąż jeszcze znajdowano bomby w samolotach, a ludzie wydobywali skądś broń już w powietrzu. Kontrola nigdy nie jest absolutnie szczelna.

Poza tym, po co ktoś miałby wysadzać akurat ten odrzutowiec? Z tego, co pamiętał, lista pasażerów nie dawała żadnych podstaw, by sądzić, że na pokładzie przebywały jakieś osobistości polityczne, brytyjskie lub też zagraniczne. Nie było żadnych

sekt religijnych. Lista składała się w przeważającej mierze z nazwisk amerykańskich biznesmenów i turystów różnych nacji. Może to sprawka wariata? Nawet w takim jednak przypadku istniał zazwyczaj jakiś powód, nieważne, jak mętny i irracjonalny. A o ile mu było wiadomo, policji nie udało się zdobyć żadnych poszlak, które mogłyby na to wskazywać.

Dyskutował na ten temat z Tewsonem. Ten argumentował, że wśród prawie trzystu pięćdziesięciu pasażerów musiało znaleźć się kilku, do którychś ktoś miał jakieś pretensje. Ale oprócz tego, w jaki sposób udało się komuś przeszmuglować ładunek na pokład? Tuż przed startem 747 został, tak jak wszystkie samoloty, dokładnie przeszukany. Jak można było prześliznąć się przez system kontroli, szczególnie dokładny w przypadku takich, jak ten, dużych samolotów pasażerskich? Zaledwie sugerując możliwość wybuchu bomby, Tewson już nadstawił karku, toteż przed odejściem powtórnie zobowiązał Kellera do milczenia, żalując poniewczasie okazanego przez siebie nadmiernego entuzjazmu wobec własnej przenikliwości. Było jednak coś jeszcze, co odwracało myśli Kellera od rozważań na temat środków wybuchowych.

Był to ów nagły przebłysk pamięci, zastygły obraz, który zmienacka pojawił się w jego umyśle. Twarz kapitana, o ustach otwartych jakby w alarmującym krzyku - czy może wściekłości? Ta myśl sprawiła, że wyprostował się gwałtownie. Bo jeśli to uczucie malujące się na twarzy kapitana to nie był strach, lecz gniew - na niego? Pokłócili się, stopniowo powracali do niego urywki wspomnień. pokłócili się przed startem. W dzień katastrofy, czy może poprzedniego wieczoru? Tak, poprzedniego dnia. Ułamki składały się w całość, zaczynały formować obraz. Kłótnia była gwałtowna, nie doszło do żadnej szarpaniny - o tym był przekonany - ale padały bardzo ostre słowa. Widział teraz przed sobą kapitana, bladą twarz o zaciśniętych w tłumionej furii ustach, pięści mocno przyciśnięte do boków, jakby całą siłą wkładał w to, by jego dłonie nie zaciśnęły się nagle na gardle Kellera. Pamiętał też własny gniew. Nie słuchał tyrady kapitana w milczeniu, odgryzał się, bronił, także tylko słowami, ale słowa te sprawiały tyleż bólu, co ciosy pięścią. A może nawet więcej.

Czy miało to jakiś związek ze zniszczeniem odrzutowca? Czy to możliwe, aby ich konflikt przeniósł się na pokład i spowodował jakiś błąd w ocenie sytuacji przez pilota? Nie, był pewien, że na coś takiego obaj byli zbyt dobrymi zawodowcami. A jednak ten wyraz twarzy kapitana tuż przed wypadkiem... W tym momencie kolejny fragment łamigłównki odnalazł swoje miejsce.

Przebłysk chwili tuż przed tym, jak samolot nagle zanurkował. Pamiętał atmosferę panującą w kabinie: lśniąca tarcze instrumentów, ciemną noc na zewnątrz i drobne skupiska światła w dole, będące w rzeczywistości miastami. Poblądła twarz kapitana, który spoglądał na niego unosząc głowę, jakby on, Keller, właśnie wstawał z siedzenia. Co to były za słowa, wydobywające się z ust Rogana, skierowane do niego? Wykrzywane. W strachu lub wściekłości. Jedno z dwojga. Które? Obraz rysował się przed jego oczami tak wyraźnie... Gdyby tylko mógł usłyszeć te słowa.

Wspomnienie poczęło się zacierać i pojął, że je stracił. Poczul żar papierosa i zdusił niedopałek, zanim ten poparzył mu palce. Łyknął whisky i zerknął w kierunku kredensu, na którym leżała twarzą do dołu zdjęcie Cathy. Dźwignął się z fotela i podszedł do niego. Przez moment zawahał się, po czym podniósł fotografię, która leżała tak od czasu wypadku. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobił, kiedy wreszcie pozwolili mu wrócić do domu: od razu odwrócił zdjęcie, aby na nią nie popatrzeć. Teraz uniół je i spojrzał na uśmiechniętą twarz. Nie poczuł nadchodzących łez - skończył już z opłakiwaniem. Pozostał w nim jedynie smutek; dziwny, spokojny, pusty smutek. Postawił zdjęcie na powrót, myśląc o Cathy. Fotografia stanowiła tylko przybliżony wizerunek osoby, która niegdyś żyła, i nie sposób było się z niej domyśleć, co kryło się za tymi roześmianymi oczami.

Wprowadziła się do niego zaledwie trzy miesiące przed tym fatalnym dniem, ale ich związek zaczął się rok wcześniej. Z początku nic specjalnego, dla obu stron. W nieunikniony sposób przekształcił się jednak stopniowo w coś innego, trwałego i bardziej wiążącego, aniżeli którekolwiek z nich mogłoby się spodziewać. Ich przywiązanie zrodziło się gdy ona, w trakcie swego próbnego lotu w charakterze głównej stewardesy, musiała poradzić sobie z przypadkiem nagłego ataku serca. Pomógł jej

wtedy i razem udało im się utrzymać starszego pasażera przy życiu aż do lądowania. Już przed tym szczególnym lotem natknął się na nią parę razy. Uznał, że jest zdecydowanie atrakcyjna, ale, zaangażowany uczuciowo gdzie indziej, nie starał się jakoś do niej zbliżyć. Dopiero wspólne włączenie się w akcję ratowania ludzkiego życia usunęło na bok wszelkie inne zobowiązania.

Wkrótce doszli do czulego, nie wymagającego związku, który z wolna, w miarę, jak coraz lepiej poznawali swoje osobowości i upodobania, przekształcił się w głęboką, niewątpliwą miłość. Swe uczucia starali się jednak utrzymać w sekrecie, wiedząc, że ich linie, choć nie zabraniały romansów pomiędzy członkami załóg lotniczych, to jednak usilnie starały się przydzielać takich kochanków do różnych lotów, wychodząc z założenia, iż tego typu uczucia są nie na miejscu na wysokości 33 000 stóp - zbyt wiele mogło się wydarzyć, a wtedy wszystko zależało od niepodzielnej uwagi i koncentracji. Postępowali zatem dyskretnie, nie chcąc utracić możliwości wspólnego zwiedzania tyłu fascynujących miejsc podczas przystanków. Oczywiście ukrycie łączących ich uczuć przed najbliższymi kolegami było praktycznie niemożliwe, szczególnie dla Kellera - nagła utrata zainteresowania innymi dziewczętami aż nadto rzucała się w oczy - ale załogi lotnicze mają dużą wprawę w utrzymywaniu takich wiadomości we własnym gronie.

Wprowadziła się do niego w chwili, kiedy takie posunięcie stało się czymś najzupełniej naturalnym - wszystko inne wyglądałoby śmiesznie, fałszywie. Następnym krokiem mógł być tylko ślub, i oboje wiedzieli, że to też przyjdzie naturalnie, bez nacisku żadnej ze stron.

Podszedł do okna i wyjrzał na ruchliwą Cromwell Road. planowali nabyć domek gdzieś na wsi, niezbyt daleko od lotniska. Uśmiechnął się kwaśno. Rozważali nawet możliwość osiedlenia się w okolicach Eton lub Windsoru. I właśnie tam przysły ich marzenia; na cichych błoniach Eton.

Odsunął się od okna i zapalił kolejnego papierosa. Myśli szalały mu po głowie. Czy dlatego, że rozmyślali o zamieszkanianiu w tamtej okolicy, odczuwał teraz potrzebę powrotu do Eton? Eton! Może próbował odzyskać coś z przeszłości, wspomnienia

wspólnych wizyt w miasteczku? A może czuł, że tam właśnie czeka na niego odpowiedź?

Pragnienie powrotu na miejsce wypadku było przejmujące. Walczył z nim, nie chcąc otwierać świeżych ran, związanych z katastrofą, ale to miejsce przyciągało go nawet wbrew jego woli i rozsądkowi. Starał się trzymać z dala, lecz jakiś instykt, nagabujący głos gdzieś w głębi jego umysłu podpowiadały mu, że nie zazna spokoju, póki tam nie wróci. Nie mógł tego wyjaśnić, ale też nie był w stanie się oprzeć.

Może powrót poruszy jakąś strunę mózgu i zdoła przypomnieć sobie wypadek, to, jak do niego doszło? A także jak mu się udało wyjść z niego bez najmniejszego zadrapania, podczas gdy wszyscy inni spłonęli lub zostali rozszarpani na kawałki? Świadkowie twierdzili, że wyłonił się ze strzaskanego kadłuba, ale ich zeznania były chaotyczne, prawie histeryczne w obliczu ogromu zagłady. Bardziej prawdopodobne jest, że został wyrzucony na miękką ziemię, przeleżał nieprzytomny kilka minut, po czym wstał i odszedł od płonącego wraku. Wiedział, że wtedy nie czuł nic, przyjął do wiadomości, że wszyscy, nawet Cathy, nie żyją, zatem nie ma powodu wracać w płomienie. Nie, łzy i wyrzuty sumienia przyszły później, kiedy ustąpił szok.

Dokładnie pamiętał staruszkę, którego znalazł leżącego w błocie - może on będzie w stanie powiedzieć coś więcej. Drżał ze strachu, rozciągnięty na pokrytej popiołem ziemi, spoglądając na niego przerażonymi oczami. Gdyby go znaleźć, mógłby powiedzieć, co widział. Bóg jeden wie, czy zdałoby się to na coś, ale niewiele więcej można było zdziałać.

W tym momencie usłyszał delikatne stukanie do drzwi. Z początku nie był pewien, zbyt zaabsorbowany swymi myślami, ale odgłos powtórzył się. Lekkie pukanie, jakby ktoś używał do tego samych paznokci. Zerknął na zegarek: tuż po dziesiątej. Kto, u diabła, przychodzi tak późno? Przeciął pokój, nagle zdając sobie sprawę z tego, że wszystkie światła w mieszkaniu są wciąż jeszcze nie zapalone. Zawahał się, nim przekręcił klucz, nie wiedział czemu, ale czuł do tego dziwną niechęć. Znów pukanie, które wywoływało nagły wybuch aktywności. Otworzył szeroko drzwi. W słabo oświetlonym korytarzu stała ludzka postać, o rysach ledwie widocznych w kiepskim świetle. Nie padło żadne słowo, Keller czuł tylko, jak wwierca się w niego spojrzenie

mężczyzny. Szybko pstryknął wyłącznikiem i przedsionek zalało światło.

Mężczyzna był niewysoki i nieco pulchny. Miał okrągłą twarz i zaczątki łysiny. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie znoszonego, jasno brązowego prochowca, wystający kołnierzyk koszuli był lekko wymięty. Mógłby poruszać się wśród tłumu niezauważony, gdyby nie jeden niepokojący szczegół - jego oczy. W ich spojrzeniu była siła. przenikało ono do głębi. W jakiś sposób nie pasowały do drobnego ciała właściciela. Błado szare, lodowate dzięki intensywności spojrzenia, a jednak współczujące. Keller zauważył to w przeciągu pierwszych kilku sekund milczenia. Nagle dostrzegł zaskoczenie, pojawiające się w owym dziwnym wzroku. Twarz mężczyzny wyrażała całkowity spokój, jedynie jego oczy ukazywały zaskoczenie i ciekawość.

Keller zmuszony był przemówić pierwszy.

- Słucham? - to było jedyne, co zdołał powiedzieć. W ustach czuł nagłą suchość. Zaciśnął dłonie na krawędzi drzwi.

Mężczyzna milczał jeszcze przez chwilę, nie spuszczać wzroku z twarzy Kellera. W pewnej chwili mrugnął i ta drobna czynność zdała się pobudzić resztę jego ciała do życia. Przesunął się o parę centymetrów i powiedział:

- Pan Keller, prawda? Pan David Keller?

Pilot przytaknął.

- Tak, poznaję pana z fotografii w gazetach - dodał tamten, jakby potwierdzenie Kellera nic nie znaczyło. Umilkł znowu, mierząc wzrokiem całą postać pilota od stóp do głów. W momencie jednak, gdy Keller poczuł niecierpliwą wznoszącą się w jego wnętrzu niczym bąbel powietrza szukający ujścia, mężczyzna jakby się przebudził.

- Przepraszam. Nazywam się Hobbs. Jestem spirytystą.

Rozdział 4

„Ach, oto najlepsza część dnia - pomyślał George Bundsen, z twarzą rozciągniętą uśmiechem zadowolenia”. Woda opływała jego małą łódkę, kołysząc ją lekko, odprężając. Zapalił fajkę i zapatrzył się w wilgotne, wczesno poranne mgły nad Tamizą. Diabło zimno, ale warto znieść i to, byle побыć trochę dla odmiany w samotności. Nawet teraz w uszach dźwięczał mu ostry głos Hillary:

- Pamiętaj, wróć na czas, żeby otworzyć sklep. Tym razem sama się nie wyrobię. To już za wiele, codziennie nad tą śmierdzącą rzeką! Któregoś dnia wpadniesz do niej i, przy twojej wadze, nigdy już nie wypłyniesz!

Z trudem zduślił pragnienie, aby cisnąć w jej stronę filiżankę herbaty z mlekiem, lecz jedyne, co powiedział, podając jej lekko trzęsący się kubek i talerzyk, to słowa:

- Tylko na chwilę, kochanie. To taka moja drobna przyjemnostka.

- A co z moimi przyjemnostkami? - odgryzła się, siadając i zabierając mu poduszkę, aby ułożyć ją na swojej własnej. - Kiedy to ostatni raz zabrałeś mnie dokądkolwiek? - wyrwała mu filiżankę, rozpryskując herbatę. Kilka kropeł spadło na śnieżnobiałe prześcieradło.

- Zobacz, co zrobiłeś!

Pospieszył do łazienki i błyskawicznie wrócił ze ściereczką, którą zaczął ostrożnie trzeć jasno brązowe plamy.

- Nic się nie stało, kochanie, już schodzi - zapewnił ją.

Hillary uniosła wzrok ku niebu. I co zrobić z takim ciężkim

niezgrabiaszem, nazywającym siebie mężczyzną? Był tak uprzejmy, tak miły dla wszystkich klientów ich sklepiku w Windsorze ze słodyczami, tytoniem i gazetami, którego właścicielami byli przez ostatnie piętnaście lat. Niespecjalnie martwiło go, że dni drobnych sklepikarzy były policzone, że ich miejsce zajmowały duże, wielobranżowe magazyny. Ich sklepik, taki z „mydłem i powidłem”, był jednym z ostatnich. Rzeźnicy, piekarze, warzywnicy - wszyscy stawali oko w oko z nieubłaganą konkurencją sieci magazynów. A ta góra tłuszczu - wszystko, o czym myślał, to łowienie ryb. niewątpliwie, był uprzejmy - dla klientów - ale kto zajmował się sortowaniem prasy, placeniem chłopcom i przydzielaniem im roboty? Kto otwierał sklep, spisywał towar i obsługiwał poranny tłum dojeżdżających do pracy, śpieszących do pociągów? Ona, pierwsza frajerka.

- No dalej, już cię tu nie ma - powiedziała lodowato. - Ale bądź z powrotem dokładnie o siódmej.

- Tak, kochanie - wymamrotał z wdzięcznością, wciskając się w ciężki wełniany sweter, który zdołał lojalnie zakryć jego potężny brzuch i kilka podbródków. Wsunął na nogi kalosze, wkopując suche błoto, które od nich odpadło, pod łóżko tak, by go nie zauważyła. Założył spodnie i ciepłą kurtkę na futrze, po czym stanął przy łóżku, jakby czekając na odprawę.

- No, na co jeszcze czekasz? Zjeżdżaj i postaraj się choć raz coś złapać. - Nachyliła się nad letnią herbatą. Bez słowa skierował się do drzwi, lecz obrócił się, złożył usta i przesłał jej pocałunek. Zaśmiała się szyderczo w odpowiedzi.

Z szopy na tyłach ogrodu zabrał wędkę i skierował się w dół długiego, nachylonego wzgórza, ku rzece. Przeszedł przez mostek i dotarł do częściowo spalonych hangarów na łodzie. Jego łódka, ta, którą za tanie pieniądze wynajmował od Arnolda na większość poranków w tygodniu, stała przycumowana do nadbrzeża.

„Szczęściarz z tego Arnolda” - pomyślał. Stare hangary wymagały remontu, a teraz za wszystko płaci towarzystwo lotnicze w ramach odszkodowania za zniszczenia, wynikłe z katastrofy Jumbo Jeta. Coś straszego, ale tak bywa - nawet najgorsze nieszczęście komuś zawsze wychodzi na dobre, i to

właśnie przydarzyło się starym Arnoldowi. Nie mówiąc już, rzecz jasna, o tym drugim pilocie. To się dopiero nazywa fart.

Wolno i leniwie powiosłował w górę rzeki, za zakręt, pod wiadukt kolejowy i wreszcie w trzciny wysepki. Panował tu spokój, pomijając przejeżdżające od czasu do czasu pociągi. Nie płoszyły one jednak ryb, podpływających z prądem od zakrętu naprzeciwko, a jego przynęta działała na nie niczym magnes. Hillary nie była całkiem sprawiedliwa, drwiąc z tego, że nigdy nic nie złapał. W rzeczywistości często spotykał w drodze powrotnej przyjaciół, otwierających sklepy, i po krótkiej pogawędce i wymianie dowcipów szedł dalej, z torbą lżejszą o kilka rybek. To ta jego szczodrość. No i zawsze przystawał w kwaciarni, żeby zostawić parę pannie Parsons. Miła, spokojna kobieta. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nigdy nie wyszła za mąż. Z drugiej strony nie mógł pojąć, czemu sam się ożenił.

Pyknął z fajeczki, pograżając się w myślach na swój ulubiony temat, jednocześnie nie spuszczać wzroku z podskakującego na falach białego sępawika. Przez prawie osiem lat wszystko było w porządku, w istocie nie mogło być lepiej, ale po tym jednym wykroczeniu z jego strony nastąpiła całkowita zmiana. To było takie drobne odstępstwo... Nawet nie poszedł z tą kobietą do łóżka. Jeden szybki numerek na zapleczu, w czasie, gdy Hillary miała być z wizytą u siostry. Boże, ten strach, który czuł, gdy usłyszał klucz przekręcany w zamku i dźwięk dzwonka, kiedy otworzyły się drzwi do sklepu. Było to w czasie przerwy obiadowej, wczesnym popołudniem, a ta kobieta była ostatnią klientką, celowo marudzącą aż do zamknięcia. Gawędził z nią kilka razy, kiedy Hillary nie było w pobliżu, i wkrótce stało się oczywiste, do czego zmierzała. Oczywiście w tamtych czasach był znacznie szczuplejszy. I zawsze starał się usłużyć klientom, szczególnie tym lepszym.

Wciąż jeszcze pamiętał przerażenie zmrężające mu serce, gdy spjrzał w górę ponad ładą i dostrzegł Hillary zbliżającą się ku nim z zaciętą twarzą. Właśnie pokłóciła się z siostrą, a teraz, kiedy zobaczyła, kto leży na podłodze za ładą, próbując pospiesznie wciągnąć falbaniaste figi przez przelewające się uda, jej twarz jeszcze zyskała na zaciętości. Gdyby tylko zabrał tę kobietę na górę, może zdołałby ukryć ją i później przemycić na

zewnątrz, ale nie planował przecież robienia z tego czegoś wielkiego. Ot, jeden na szybko, tam i z powrotem, w pięć minut. Ale nie dało się tego ukryć: on na kolanach, desperacko starający się podciągnąć przyciśnięte ciężarem całego ciała do ziemi spodnie, ona, wijąca się na podłodze w wielkim zmieszaniu, naturalnie niechętna wychyleniu się za ladę. Zmagania te przerwało ukazanie się Hillary. Zdecydowane linie jej zastygłej twarzy z wolna poczęły krzywić się i pękać w miarę narastającej w jej wnętrzu furii.

Następne pięć minut odcisnęło się tak silnie w jego pamięci, jak gdyby cała rzecz miała miejsce wczoraj: krzyki, dzikie palce wczepione w jego włosy, szlochanie nieszczęsnej kobiety na podłodze, desperacko starającej się zakryć swą nagość. Wyprysnął w kierunku tylnych drzwi, spuszczone spodnie kępowały mu ruchy, stamtąd wkuśtykał po schodach i ukrył się w sypialni, zamykając drzwi od środka. Z dołu jeszcze przez dobrą chwilę dochodziły wrzaski, przerywane czasem głośnym łkaniem. Słyszał dźwięk dzwonka, trzask zamykanych w pośpiechu drzwi, stukot wysokich obcasów na chodniku. Doszedł go odgłos ruchu na dole, człapanie w saloniku, dźwięk napełnianego w kuchni czajnika. Przyjął, że to tamta uciekła ulicą.

Pozostał w pokoju, drżący, wtulony w kąt aż do zmierzchu, kiedy to podkraść się do drzwi i odryglował je. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym rozebrał się i położył do łóżka, gdzie trwał, dygocząc ze strachu, z koldrą podciągniętą pod brodę, aż do dziesiątej, kiedy usłyszał jej ciężkie kroki na schodach. Wmaszerowała prosto do sypialni i, nie zapalając światła, rozebrała się po omacku, weszła do łóżka i sztywno legła obok niego. Minęły trzy tygodnie, nim się do niego odezwała, i co najmniej dwa, zanim w ogóle na niego spojrzała. Temat jego niewierności nigdy więcej nie został poruszony, ale wszystko się zmieniło. Boże, i to jak się zmieniło!

Westchnął i poruszył swe masywne cielsko, wywołując gwałtowne kołysanie łodzi. Od tego dnia on przytył, ona zaś stała się ostrzejsza. A, jeszcze coś - jej ciało stanowiło teraz świętość. Może raz czy dwa, koło Świąt czy Wielkiej Nocy, kiedy zdarzyło jej się wypić parę kieliszków sherry, ale nic poza tym. Na szczęście w Windsorze mieszkało sporo wdów, potrzebujących

czasami odrobiny pociechy. A ta panna Parsons, niezwykle miła osoba, nawet dość atrakcyjna... Tak, nieźle się to rozwijało. Powolutku, ale w wieku czterdziestu pięciu lat nauczył się podchodzić do pewnych spraw powoli.

Z zamyślenia wyrwało go nagle szarpnięcie szałwika, który zanurzył się w wodę. Aha, jest! Uśmiechnął się szeroko i mocniej ścisnął fajkę między zębami. Zaczął luzować żyłkę, ta jednak nie zachowywała się jak zwykle: zamiast normalnych szarpnięć, ciągnęła się coraz głębiej, jakby ryba odpływała z prądem na dno rzeki. Począł przeciwstawiać się tej sile, nawijając żyłkę na kołowrotek. Wędka zgięła się, żyłka zaś sterczała teraz z wody sztywno i zdecydowanie. Dobry Boże, to musiała być duża sztuka. Niespodziewanie żyłka załopotała, sprawiając, że opadł ciężko na wznak. Leżał rozciągnięty, z kolanami ponad ławeczką i łokciami po przeciwnych stronach łódki, co pozwalało mu unieść głowę i zerknąć w zamulone wody. Właśnie gdy z wolna dźwigał się do pozycji siedzącej, szałwik wyskoczył na powierzchnię.

- Cholernie dziwne - powiedział, wyjmując z ust fajkę i patrząc tępo na roztańczony szałwik. - Naprawdę musiała być niezła.

Przeklinając swego pecha począł związać zerwaną żyłkę aż do końca. Zdecydował, że na dziś ma już dosyć. I w tym momencie usłyszał szept, unoszący się nad wodą w jego kierunku. Tylko jeden szept, czy może wiele stłumionych głosów, przemawiających razem? A może to po prostu szelest trzciny na brzegu?

Znów to usłyszał. Głos mężczyzny? Czy może kobiety? Zbyt cichy, by to poznać. Następny dźwięk wywołał ciarki biegnące wzdłuż jego pleców - był to bowiem chichot. Cichy, sztyderycy chichot, zdający się dochodzić z bardzo bliska, prawie z drugiego końca łodzi.

- K-k-kto to? - jego głos był niepewny. - No już, koniec tej zabawy. Wiem, że ktoś tu jest. - Nerwowo rozejrzał się wokół, ale jedyną rzeczą, którą teraz słyszał, był własny, przyśpieszony oddech. Zdecydował, że dosyć już tego, ale właśnie gdy sięgał po wiosło, usłyszał inny dźwięk. Brzmiało to jak coś ciągniętego przez wodę; nie unoszonego nią, gdyż odgłos był mokry i jakby śliski, urywał się na kilka sekund, po czym pojawiał na nowo.

Woda bulgotała, ale na powierzchni nie widać było żadnych pęcherzyków powietrza.

Przerażony, znów sięgnął po wiosło i pospiesznie umieścił je w dulce, macając po dnie w poszukiwaniu drugiego. Wiosło gwałtownie wyślizgnęło się z jego uchwytu, jakby ciągnięte jakąś niewidzialną siłą. Aż podskoczył, gdy zniknęło w mętnej wodzie. spodziewał się, że zobaczy, jak wypływa z powrotem, ale nie. Nigdzie go nie było.

„Jakiś dowcipniś - pomyślał bez przekonania. - Ktoś z jednym z tych aparatów do nurkowania”. Ale gdzie były bąbelki powietrza?

Spojrzał w kierunku swych stóp, kiedy usłyszał uderzenie w dno łodzi. Jego serce szaleńczo tłukło się w piersi, ręce zaciskał z całej siły na deskach siedzenia - od uchwytu zbiegły mu kostki. Po kolejnym uderzeniu przesunął nogi aż do zakrzywionych burt, bojąc się dotykać drewnianego poszycia. Wtedy łódź zaczęła się kołysać, najpierw lekko, potem stopniowo coraz mocniej.

- Przestańcie! Przestańcie! - krzyknął.

Fajka wypadła mu z ust. Kołysanie trwało nadal - szczyty burt prawie dotykały powierzchni wody, grożąc pograżeniem łodzi w mrocznej głębinie. W momencie jednak, gdy łódź już, już miała się wywrócić, ruch ustał i pozwolił jej utrzymać się na wodzie. Jęknął z ulgi. Łzy strachu przesłoniły mu oczy. Czuł wokół siebie lodowaty chłód, zimno, które zdawało się kąsać jego ciało.

Nagle łódź zaczęła dygotać. Nowy okrzyk wyrwał mu się z ust, gdy i ten ruch zaczął stawać się coraz gwałtowniejszy. Dłonie ponownie same zacisnęły się na ławce. Wstrząsy narastały. Świat jeszcze bardziej rozmazał mu się przed oczami, od łez i wibracji. Wtedy wydało mu się, że znowu słyszy śmiech, zwierzęcy, złowrogi chichot. Ale drżenie rozprzestrzeniało się na niego, na jego wielkie cielsko, na mózg, póki nie poczuł, że sam chce krzyczeć, wrzeszczeć w głos, aby zagłuszyć narastające w jego wnętrzu przerażenie.

I wtedy ujrzał tę potworną rzecz, której widok sprawił, że jego serce o mały włos się nie zatrzymało, że omal nie pękło pod naporem przepompowywanej krwi.

Długie, spiczaste palce owijały się wokół burty na rufie. W jego zamglonych oczach wyglądały jak długie, białe robaki, wspinające się po deskach, niezależnie od siebie, każdy obdarzony własnym życiem. Łódź przechyliła się i zobaczył, jak pojawia się reszta dłoni, ześlizgując się na dno. Za nią ukazało się przedramię, po nim zaś - nic. Za łokciem nic już nie było, a mimo to ręka przesuwiała się w przód, sięgając wolno ku niemu. I znów usłyszał ten szept, lecz tym razem rozbrzmiewał on tuż obok niego, nad jego lewym ramieniem. Czuł na policzku zimny - jakże zimny - oddech, oddech, który mógłby pochodzić z zamarznętego ciała. Próbował wykręcić głowę, jednocześnie bojąc się i pragnąc zobaczyć, co to było, ale jego szyja ani drgnęła, głowa nawet się nie poruszyła.

Wreszcie nadszedł krzyk, wrywając się z płuc, skrzecząc w zmarzłym powietrzu, i ten dźwięk pomógł mu się poruszyć, odsunąć od nadciągającej okropności, ponad siedzeniem, kalecząc pośladki. Nie przejmował się tym jednak, poruszając się z prędkością, jaką mógł wywołać jedynie paniczny strach. Przełazi nad burtą i wpadł w trzciny, brązowawa woda sięgnęła mu wysoko ponad pas. Muł wzięł jego stopy, próbując go zatrzymać, wciągnąć na dno. Zupełnie jak w złym śnie, kiedy nogi zamieniają się w ołów i nie można umknąć, nie można uciec.

Runął z pluskiem naprzód, ciągnąc za trzciny, chwytając się wszystkiego, co mogło mu pomóc przesunąć się dalej. Wciąż jednak dochodził do niego szept, który brzmiał teraz jeszcze bardziej szaleńczo i złowieszczo. Płuca chwytaly powietrze, z jego ust dochodziły ciche poświsty, a po tłustych policzkach spływały łzy żalu nad samym sobą. Z całej siły uchwycił się gałęzi, która na jedną paraliżującą sekundę ustąpiła pod jego ciężarem, zanurzając go w wodzie. Rozprostowała się jednak, pociągając go za sobą. Począł podciągać się na obu rękach wzdłuż niej, kalecząc dłonie do krwi.

Nareszcie poczuł, jak dno wznosi się ostro i wiedział, że dotarł do brzegu. Szlochając z wdzięcznością, puścił konar i zaczął wspinać się po stromej krzywiźnie, chwytając się korzeni, kępy trawy, czegokolwiek w jego zasięgu, co tylko mogło go utrzymać. Ale brzeg był śliski od błota i maź pod jego palcami nie

dawała żadnego oparcia dla podciągania się w górę. Leżał płasko na brzegu, całkiem przemoczony, łapiąc spazmatycznie oddech.

Nagle poczuł, jak chłodne palce owijają się wokół jego kostki, wciąż jeszcze zanurzonej w wodzie i ciągną z całej siły, starając się z powrotem zanurzyć go w te zimne i mroczne głębiny. Próbował stawić opór, wbijając dłonie głęboko w miękki grunt, ale ryły one tylko rzędy kolein w miarę, jak jego ciało sunęło wolno, lecz pewnie w kierunku rzeki. Krzyknął i kopnął drugą nogą, lecz uchwyt tylko wzmógł się, wciągając go prosto w dół, jakby jakieś zwierzę próbowało zaciągnąć ofiarę do swego legowiska.

I wtedy jego serce pękło. Ciśnienie było zbyt wielkie. Serce, które przez tyle lat pracowało ciężko pod ogromnym ciężarem mężczyzny, wreszcie nie wytrzymało. Był już martwy, gdy zamulona woda wpływała do jego ust i nosa, szybko przesłaniając szeroko otwarte, niewidzące oczy, i gdy zanurzał się głębiej... i głębiej... w zimną, zapraszającą rzekę.

Rozdział 5

Keller przebudził się nagle. W jednej chwili pogrążony we śnie, w drugiej - całkiem rozbudzony, bez żadnego pośredniego etapu powracania świadomości. Przez moment jego oczy wpatrywały się w sufit, po czym skierowały się ku tarczy zegarka, leżącego na szafce przy łóżku. Punkt siódma. Co go tak nagle wyrwało ze snu? Czy śnił? Do czasu katastrofy często miewał sny; realistyczne, żywe, nierzadko wręcz męczące. A potem - nic, choć zdawał sobie sprawę z tego, że to niemożliwe: każdy śni do pewnego stopnia, nie zawsze nawet o tym wiedząc. Lecz przez ostatnie tygodnie zasypiał natychmiast i tak samo szybko się budził, pomiędzy zaś była pustka, jakby po prostu w ułamku sekundy mrugnął oczami. Może w ten sposób umysł bronił się, pozostawiając koszmary głęboko w zakątkach podświadomości, wymazując wszelkie ich ślady przed przebudzeniem?

Ostatnia noc była jednak inna. Próbował skupić pamięć, ale ulotne wizje umykały mu, jakby nagrywając się z jego starań. Pamiętał tylko głosy. Szepty. Czy to Hobbs wywołał te sny? Ten dziwny człowieczek stanowczo go zaniepokoił. Keller usiadł na łóżku i sięgnął po papierosa. Zapalił jednego i zaciągnął się głęboko, opierając plecy o ścianę, która służyła mu za zagłówek. Wrócił myślami do zeszłego wieczoru i przybycia spirytysty; do niepokoju, jaki poczuł na jego widok. A jednak w jakiś sposób oczekiwał go, czy też raczej spodziewał się, że coś się zdarzy.

- Czy mogę wejść? - zapytał spirytystą i Keller bez słowa cofnął się, ustępując mu miejsca.

Zamknął drzwi i odwrócił się w kierunku niewinnie wyglądają-

jącego drobnego mężczyzny, który tymczasem stanął na środku pokoju rozglądając się wokół, nie ze zwykłej ciekawości, ale z prawdziwym zainteresowaniem. Jego spojrzenie padło na zdjęcie Catli. Przyglądał mu się przez parę sekund, nim zwrócił się do Kellera:

- Przepraszam, że niepokoję pana o tak późnej porze, panie Keller. - Głos miał miękki, ale stanowczy, równie stanowczy jak spojrzenie. - Próbowałem do pana zadzwonić, ale z tego, co wiem, ma pan odłączony telefon. A ponieważ muszę z panem pomówić, znalazłem pański adres w książce telefonicznej.

Pilot milczał jeszcze przez chwilę, niezupełnie rozumiejąc, skąd wzięło się to poczucie lęku. Zmusił się, by przemówić.

- O co panu chodzi?

- To... to raczej trudno wyjaśnić. - Po raz pierwszy mężczyzna spuścił oczy. - Mogę usiąść?

Keller wskazał mu fotel. Sam stał nadal. Hobbs usadowił się wygodnie i spojrzał na niego.

- Po pierwsze, panie Keller, nie jestem wariatem - zaczął - choć musi mi pan uwierzyć na słowo. Przed kilku laty byłem praktykującym medium i, jeśli mogę tak powiedzieć, raczej dobrym. W istocie zbyt dobrym; zacząłem coraz bardziej angażować się w emocje moich klientów... i moich duchów. Widzi pan, to mnie wyczerpywało, odbierało mi siły. Przystałem być prawdziwym medium, przestałem być tylko pośrednikiem. Pojąłem, że istnieje niebezpieczeństwo zagubienia się w świecie duchów, że mogę zostać użyty nie tylko jako środek komunikacji, ale jako instrument do kontaktów fizycznych. - Uśmiechnął się przepraszająco, widząc na twarzy pilota wyraz niedowierzania. - Przepraszam. Próbuję przekonać pana, że nie jestem jakimś maniakiem, a oto schodzę na coś, z czym na pewno nigdy się pan nie zetknął. Dość powiedzieć, że przez ostatnie parę lat świadomie starałem się unikać wszelkich kontaktów z tamtym światem. Ale dla człowieka naprawdę wrażliwego na tego typu rzeczy całkowite odcięcie się jest praktycznie niemożliwe, niezależnie od wagi przyczyn, jakie go do tego popychają. Moje powody, dla których starałem się wyrzec kontaktów ze światem duchów, były naprawdę ważne. Medium jednak przypomina odbiornik radiowy, którego nie sposób wyłączyć. Duchy wciąż do mnie docierają i przemawiają przeze mnie, ale pozwałam na to tylko tym przyjaznym. Co do pozostałych... próbuję

zamknąć przed nimi mój umysł albo chociaż zatrzymać je w sobie. Nie zawsze jest to łatwe.

Mimo niepokoju niedowierzenie Kellera sięgało szczytu.

- Panie Hobbs, naprawdę nie wiem, o czym pan, u diabła, mówi. - Nie przemawiał wprawdzie ostro, ale ton jego głosu sugerował, że uważa gościa za niespełna rozumu.

- Nic nie wiem o spirytyzmie i, szczerze mówiąc, nie wydaje mi się nawet, abym w niego wierzył. A przez ostatnie tygodnie nachodzili mnie dziennikarze, urzędnicy, krewni ofiar wypadku, ludzie spragnieni mej krwi, mający dobre zamiary, lecz niemniej jednak męczący znajomi, duchowni, którzy pragnęli przemienić mnie w chodzący cud, mężczyźni oraz kobiety o chorych umysłach, chcący poznać wszystkie okropne szczegóły katastrofy i - znacząco zawiesił głos - idioci przynoszący mi posłania z za grobu!

Drobny mężczyzna wzdrygnął się gwałtownie.

- Ktoś jeszcze próbował przekazać panu wiadomość?

- Jak dotąd pięcioro - odparł Keller zmęczonym głosem. - Przypuszczam, że pan będzie numerem sześć!

Hobbs przesunął się do krawędzi siedzenia. W oczach miał podniecenie.

- Jakie wiadomości? Co panu powiedzieli? Kim byli ci ludzie?

- Dwóch przedstawiło się jako sataniści; dwóch jako wysłannicy Boga, piąty zaś twierdził, że jest samym Bogiem. A kim pan jest? Tylko niech mi pan nie mówi, że diabłem.

Hobbs cofnął się z wyrazem rozczarowania na twarzy, nie zwracając jednak uwagi na zjadliwe słowa Kellera. Przez chwilę jakby się zastanawiał, po czym rzekł spokojnie:

- Nie, panie Keller. Nie jestem nikim takim. Powiedziałem już: jestem spirytystą. Proszę o cierpliwość przez pięć minut, potem, jeśli nadal będzie pan tego chciał, sam wyjde.

Keller opadł wyczerpany na sofę, przedtem zgarniając butelkę whisky i szklaneczkę. Nie proponując Hobbsowi nalać sobie sporą porcję.

- Jedź pan - powiedział. - Pięć minut.

- Czy pan wie, czym jest spirytyzm? - zapytał Hobbs,

- To rozmawianie z duchami, nieprawdaż?

- Bardzo potoczne rozumienie i niezbyt ścisłe. To wrażliwość pozwalająca odbierać wibracje, promieniowanie czy też często-

tliwości, których nie są w stanie zarejestrować nasze zwykłe zmysły. Medium jest pośrednikiem, jak już powiedziałem, czymś w rodzaju żywego radia lub telewizora, zdolnym do dostrzeżenia się do innego świata, niewidocznego i niesłyszalnego dla reszty ludzkości. Ale, tak jak radio i telewizor, każde medium posiada określony zasięg. Z tą różnicą, że poprzez trening swych mocy można zwiększyć zdolności odbioru, co w przypadku maszyny jest niemożliwe. Stwierdziłem, że mój rozwój stał się zbyt... - odwrócił wzrok od Kellera. - No, powiedzmy po prostu, zbyt wielki. I niebezpieczny. - Przesunął dłonią po policzku. - Przepraszam, czy mógłbym dostać drinka?

Keller niemal się uśmiechnął. Spirytystą z problemem alkoholowym? Ta myśl sprawiła, że stał się jakby bardziej tolerancyjny w stosunku do niego, zapytał więc:

- Czego się pan napije?
- Tego, co pan, jeśli można.

Keller zauważył, że gdy nalewał, Hobbs nie spuszczał wzroku z butelki. Mój Boże, facet naprawdę lubi wypić. Podał mu szklankę i odczuł tylko lekkie zaskoczenie, kiedy połowa jej zawartości natychmiast zniknęła w gardle małego mężczyzny.

- Coś do tego? - zapytał łagodnie.
- Hobbs znów uśmiechnął się przepraszająco.
- Dzięki, nie trzeba.

„Cóż, to przynajmniej czyni go bardziej ludzkim”, pomyślał pilot powracając na sofę.

- Czy teraz możemy już przejść do rzeczy?
- Oczywiście - Hobbs pociągnął skromniejszy nieco łyk i oparł się ponownie. - Jak już wspomniałem, przez ostatnie lata świadomie starałem się zahamować jakikolwiek postęp w rozwoju tych specjalnych mocy, ale nie mogę zabronić duchom kontaktów ze mną, jeśli ich wola jest dostatecznie silna. Odmawiałem jednak przekazywania ich wiadomości i zdawało mi się, że z wolna zaczynają to akceptować.

Keller przyłapał się na tym, że zaczyna wierzyć spirytyście. Do diabła! Uświadomił sobie, że sprawił to sposób, w jaki Hobbs opowiadał o tych sprawach - najzupełniej naturalnie, bez cienia wahania czy zakłopotania.

- Jednakże dwa tygodnie temu pojawił się nowy głos, czy raczej głosy, które zaczęły do mnie przemawiać. Były zmieszane, gniewne, i sądzę, że bardzo cierpiały. Szepty, wystraszone

szepty, ciche głosy, dochodzące jakby z wnętrza ogromnej, ciemnej sali. Chciały się dowiedzieć, gdzie są, co się z nimi stało. Och, jakże były samotne, jak przerażone...

Keller znów poczuł narastające napięcie. Powietrze między nimi dwoma wydawało się naładowane elektrycznością. Hobbs znowu łyknął ze szklanki, tym razem nieco więcej, i Keller zauważył, że ręka medium drży lekko.

Stopniowo - kontynuował spirytystą - silniejsze głosy zaczęły dominować. Widzi pan, panie Keller, ich świat nie różni się tak bardzo od naszego: w każdym wymiarze górę biorą silniejsze osobowości. Ale te głosy nie były dobre, brzmiały mściwie. To właśnie uczucia, które od nich odebrałem: nienawiść i głęboki wstrząs.

Keller z przymyślną próbą zakłócić atmosferę, przerwać tę stworzoną przez medium magnetyczną więź łączącą ich obu. Wstał i podszedł do okna, zabierając ze sobą szklankę.

- No wie pan, panie Hobbs... - zaczął, ale tamten przerwał mu zaraz.

- Proszę pozwolić mi skończyć. Wiem, co pan chciał powiedzieć: nie wierzy pan w życie po śmierci, a nawet gdyby pan wierzył, sądzi pan, że to wszystko szyte jest zbyt grubymi nićmi. Rozumiem to i przyrzekam, że gdy skończę, wyjdę i nie będę pana więcej niepokoić, jeśli takie jest pańskie życzenie. Ale muszę to panu powiedzieć, choćby dla własnego spokoju. One nie przestaną mnie nękać, dopóki tego nie zrobię. Widzi pan, po tego rodzaju wypadkach zdarza się czasem, że ludzie nie pojmują, co się z nimi stało; znajdują się w stanie emocjonalnego szoku. Nie wiedzą, że są martwi! Stają się wtedy tym, co pan zapewne nazwałby duchami: zjawami nawiedzającymi ciągle ten świat, próbującymi skontaktować się z kimś z naszej Ziemi, aby dać znać o tym, że jeszcze żyją. Albo też mogą być związane z pewnymi emocjami czy może sytuacjami, mogą czuć, że muszą tu czegoś dokonać, wyjaśnić coś, co zaniedbali za życia. Lub też mogą sądzić, że mają powody do zemsty.

Keller obrócił się gwałtownie. Te ostatnie słowa poruszyły w nim jakiś nerw, dotknęły czegoś w głębi jego ducha. Wywołały strach.

- Czasami prawdziwe media mogą im pomóc, uspokoić te cierpiące dusze, umożliwić im łagodne przejście na następny poziom. Możemy tego dokonać obiecując im zajęcie się tym, co

wiąże je z naszym światem, co sprawia, że nie mogą zaznać spokoju. Niestety, w tym przypadku są jeszcze zbyt zmieszane, bym mógł się z nimi prawidłowo porozumieć.

- Oczywiście wyobraża sobie pan, że są to dusze pasażerów, którzy zginęli w katastrofie? - powiedział Keller twardo, z niewiarą w głosie.

- Ależ ja wiem, że tak jest! Tak wiele przerażonych dusz, w tym samym czasie, zgromadzonych w jednym miejscu. I jest jeszcze coś, panie Keller.

Pilot poczuł, że sztywnieje mu ciało. Niemal wiedział, jakie będą następne słowa Hobbsa.

- Te głosy. Szepty. One wołają pana.

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy. Keller pragnął wyśmiać słowa medium, zlekceważyć go jako kolejnego wariata, ale z jakiegoś powodu nie mógł tego zrobić. Nie sprawiła tego jedynie widoczna szczerłość mężczyzny; miało to coś wspólnego z jego własnym otarciem się o śmierć, które uwrażliwiło go w jakiś sposób. Ale bardziej realistyczna część jego natury skutecznie opierała się temu.

- To śmieszne - powiedział.

- Zapewniam pana, że nie - odparł Hobbs. - Z początku głosy były całkowicie zagubione, krzyczały o pomoc, przywoływały swoich najbliższych. Widziałem twarze, tak wiele nieszczęsnych twarzy... To znikwały, to znów się pojawiały, błagalne, żalose. Z czasem stały się zgodniejsze, bardziej opanowane. Wciąż jeszcze trwały w panice, lecz wyglądało na to, iż ktoś nimi kieruje. To właśnie wtedy zaczęły nawoływać pana, raz za razem.

- Czemu? Dlaczego mieliby to robić?

- Ja nie wiem, panie Keller. Jak już mówiłem, są zmieszani. Ich przesłanie wciąż jeszcze nie jest jasne. Ale... -znowu spuścił wzrok - ... w wielu z tych głosów dźwięczy gniew.

Przeszył Kellera spojrzeniem.

- Czy zna pan kogoś nazwiskiem Rogan?

Pilot zamarł na moment, domyślił się jednak, że Hobbs najpewniej zapamiętał to nazwisko z licznych publikacji.

- Był kapitanem 747, o czym z pewnością czytał pan w gazetach.

- A tak, wydaje mi się, że istotnie czytałem. Zapomniałem o tym, choć nie spodziewam się, że mi pan uwierzy.

- Ma pan rację, nie uwierzę. A pana pięć minut już upłynęło. Proszę wyjść. - Keller podszedł do spirytysty, który zerwał się na nogi.

- Pokłóciliście się z kapitanem Roganem, nieprawdaz?

Keller zastygł w bezruchu.

~ Skąd pan wie...?

- Miało to coś wspólnego z jego żoną. - Słowa Hobbsa nie były pytaniem. Były stwierdzeniem faktu.

A Keller miał znów niespodziewany przeblysłk pamięci. Rogan wrzeszczał na niego, z twarzą odległą o parę centymetrów od jego własnej. Wprawdzie nie słyszał słów, ale dostrzegał wściekłość, przemoc wycierającą z oczu. Gdzie byli? Nic w samolocie. Nie, znajdowali się w jednym z hangarów. W okolicy nie było nikogo. Na zewnątrz panowała noc, tego był pewien. Czy była to ta noc, noc katastrofy? Nie wiedział. Nastąpiła krótka szamotanina, podczas której odepchnął od siebie Rogana. Wyraźnie widział kapitana, spoglądającego nań porywczco z podłogi. Odwrócił się wtedy i odszedł, pozostawiając go tak leżącego, ścigany jego wyzwiskami. I nagle już wiedział, o co poszło. Tak, to miało związek z żoną kapitana, Beth Rogan.

- To prawda czy nie? - głos Hobbsa przerwał wizję.

- Skąd pan wiedział?

- Kapitan Rogan nie może o tym zapomnieć.

- To niemożliwe.

- Tak, panie Keller.

Pilot opadł ze znużeniem na brzeg sofy.

- Jak, u diabła, zdołał się pan o tym dowiedzieć?

- Wszystko, o czym mówiłem, jest prawdą. Nie żądam, by mi pan uwierzył, ale proszę to chociaż przemyśleć. Pan jest kluczem, panie Keller. Nie wiem jak i nie wiem czemu, ale to pan zna rozwiązanie, potrzebne tym nieszczęśnikom. Musi im pan pomóc.

Keller uniósł głowę spomiędzy kryjących ją dłoni.

- Żądają mojego życia, prawda? - zapytał, nie patrząc na medium.

- Nie wiem. Nie jestem pewien - odparł Hobbs.

- Czuję to. Brakuje im mnie do kompletu. Wyszedłem z tego bez szwanku, a teraz oni chcą mnie zagarnąć. I^owinienem był umrzeć.

- Nie przypuszczam, aby to było rozwiązanie - rzekł Hobbs, ale zdradziła go niepewność, dźwięcząca w głosie.

Keller zerwał się na nogi i podszedł szybko do kredensu. Uniósł zdjęcie Cathy i zapytał:

- Czy widział pan jej twarz pomiędzy innymi?

Hobbs przyjrzał się uważnie fotografii, jego oczy zmrużyły się w skupieniu. W końcu powiedział:

- Nie, nie sędzę. Dostrzegłem to zdjęcie, gdy tylko tu wszedłem, ale nie poruszyło we mnie żadnej struny. Nie sędzę, aby była pomiędzy nimi.

- Cóż, jeśli mówi pan prawdę, powinna być. Zginęła w tej katastrofie! - Keller był teraz wściekły, stracił zaufanie do Hobbsa.

Spirytystą uniósł dłoń, jakby chcąc go uspokoić.

- Te wizerunki rzadko bywają wyraźne. I jest ich tak wiele. Na tym etapie nie jestem w stanie stwierdzić, czy ona znajduje się wśród nich. Może być i tak, że jak zazwyczaj bywa, odeszła spokojnie do innego świata, pozostawiając za sobą tych nieszczęśników.

Keller tęsknie spojrział na twarz Cathy i odstawił zdjęcie na miejsce. Nastroj zmienił mu się całkowicie, gdy obrócił się w stronę Hobbsa.

- Tego już za wiele! Sędzę, że lepiej będzie, jeśli już pan sobie pójdzie.

- Czego się pan obawia? - pytanie zabrzmiało bardzo bezpośrednio i nieustępliwie.

- Co pan ma na myśli?

- Czy boi się pan, że jest w jakiś sposób odpowiedzialny za wypadek? Może z powodu pana konfliktu z kapitanem Roganem popełnił pan jakąś omyłkę, prowadzącą do katastrofy i lęka się pan odkrycia prawdy?

- Wynoś się pan - Keller wyrzekł te słowa cicho i z furją.

- Dobrze, wyjdę. Ale proszę się nad tym zastanowić. Ani pan, ani oni nie zaznacie spokoju, nim nie odnajdzie pan odpowiedzi. A ja się boję, panie Keller, bardzo się boję. Widzi pan, występuje tu jeszcze inny czynnik, coś bardzo dziwnego. Złego. Boję się tego, co może nastąpić, jeżeli nie uwolni się ich od męki.

Wyszedł, naskrobawszy przedtem swój adres na zgniecionym kawałku papieru. Keller poczuł się niespodziewanie całkowicie

wyczerpany. Rozebrał się i wczółgał do łóżka, natychmiast zapadając w sen, tonąc w mrocznym świecie szeptów. A teraz próbował odtworzyć ten sen, pierwszy od tygodni. Nic z tego. pamięć odmawiała mu posłuszeństwa.

Zdusił niedopałalc i odrzucił kołdrę. Poszedł do łazienki, gdzie zanurzył twarz w zimnej wodzie. Wciąż nagi, jakby nieświadom panującego chłodu, przeszedł do kuchni i zaparzył sobie mocnej czarnej kawy, którą zabrał do salonu. Jego oczy mimowolnie spoczęły na zdjęciu Cathy i to przypomniało mu o jego nagości. Często w lecie przechadzali się po mieszkaniu bez ubrań, ciesząc oczy widokiem swych ciał, odprężonych i w swobodnych pozycjach. Jego, twardego, solidnego, i jej, szczupłego, delikatnego, o długich zgrabnych nogach i małych dzieciennych pierśsiach. Oboje zachwycało poczucie swobody, nieskrępowania. ich nagość była symbolem zażyłości. Wrócił do sypialni i założył szlafrok.

Pijąc kawę zarejestrował wzrokiem wymięty papierek z adresu Hobbsa. Leżał na podłodze, tam gdzie upadł, zdmuchnięty z brzegu stołu, kiedy poprzedniego wieczoru za medium zamknęły się drzwi. Keller nawet go nie podniósł - nie miał przecież zamiaru kiedykolwiek kontaktować się z tym facetem, Teraz jednak schylił się i rozprostował papier na stole przed sobą. Było to gdzieś w Wimbledonie i Keller uśmiechnął się na myśl o małym człowieczku z przedmieścia, utrzymującym łączność z duchami z innego świata. A jednak to właśnie bardzo zwyczajny wygląd mężczyzny sprawił, że jego opowieść zdawała się możliwa do przyjęcia. Gdyby nosił czarną pelerynę i przemawiał podnieconym, fanatycznym głosem, cała ta sprawa wyglądałaby absurdalnie. Ale ton Hobbsa, kiedy o niej mówił, spokojny i odrobinę pokorny, brzmiał przekonująco. Nieważne, czy on, Keller, w to wierzył - Hobbs po prostu opisywał fakty. Tylko jego oczy sprawiały dziwne wrażenie - spoglądały daleko poza Kellera i w głąb niego. Czemu Hobbs zdawał się być tak zaskoczony, kiedy otworzył mu drzwi?

I skąd wiedział o jego kłótni z Roganem?

Pilot ciągle jeszcze nie pamiętał, gdzie miała ona miejsce, i ponieważ czuł, że jest to ważne, nateżył umysł, starając się ją obie przypomnieć. Lecz, jak to się zdarzało wielokrotnie, gdy rozmyślał o wypadku, im bardziej się starał, tym trudniej było mu zebrać myśli. Rzecz jasna, istniała jedna osoba, która

zapewne byłyby w stanie mu pomóc: Beth Rogan. Czuł pewne wahanie na myśl o spotkaniu jej po tym, co między nimi zaszło, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Musiał wiedzieć.

Siorbał kawę, a przed oczami miał wizerunek Beth, jasny i wyraźny. W wieku trzydziestu sześciu lat wciąż jeszcze była piękną kobietą - dojrzałość jakby jeszcze podkreślała jej urodę. Jak zareaguje, widząc go znowu, tak szybko po śmierci męża? Czy ona także, wzorem innych, będzie winić go za to wszystko? A może będzie rada, że przeżył? Ostatni raz spotkali się dość dawno temu i trudno było to przewidzieć.

Było jeszcze coś, co musiał zrobić. Łączyło się to z teorią Harry'ego Tewsona, dotyczącą eksplozji na pokładzie. Wiedział, że Tewson często miał takie dziwne domysły dotyczące przyczyn podobnych wypadków, przeskoki myślowe, nad udowodnieniem których musiał się potem niezłe napocić. I bardzo często miał rację. Jaki zatem mógłby być powód podłożenia ładunku wybuchowego? I jak, u czorta, można go było przemyścić na pokład? Będzie musiał jakoś zdobyć listę pasażerów tego lotu. Znał odpowiednią osobę, która mogła mu w tym pomóc. Uświadomił sobie, że nie jest w stanie tak po prostu siedzieć i czekać na wyniki dochodzenia AIB, w przypadku zaś wykrycia znamion przestępstwa na przejęcie całej sprawy przez policję, która miałaby odpowiedzieć na pytanie, kto i dlaczego to zrobił. Zabrałoby to miesiące. A czuł, że zaczyna mu brakować czasu.

Rozdział 6

Wielebny A.N. Biddlestone odczuwał głęboki niepokój. Mozolnie posuwał się błotnistą ścieżką przecinającą pole, ze zwieszoną głową, przygarbiony, z założonymi rękami. We wczesnoporannym powietrzu unosiły się mroźne obłoczki jego oddechu. Choć zdawał się patrzeć prosto pod nogi, w rzeczywistości jego myśli zajęte były znacznie poważniejszymi sprawami. Zastanawiał się nad zmianami, jakie zaszły w mieście od czasu katastrofy.

Zupełnie jakby na Eton opadł szary woal, woal depresji i nieszczęścia. Przypuszczał, że to normalne po takiej tragedii. Fakt, że większość ciał trzeba było pochować we wspólnym grobie, pomógł utrzymać się duszącej atmosferze. Tylko zwłoki, które można było łatwo rozpoznać, zabrane zostały przez rodziny i przyjaciół, aby spocząć w swoich własnych grobach. Stopniowo to przejdzie, był tego pewien, gdy tylko miasto zyska szansę, by zapomnieć. I wszystko znów będzie dobrze. Wiedział, że on sam nigdy nie zapomni nocy wypadku. Oznaczała dla niego okropieństwa, które na szczęście zostały oszczędzone miejscowym ludziom - oni nie mieli obowiązku tam być. On i jego towarzysz z pobliskiego kościoła katolickiego chodzili wśród zmaltretowanych szczątków, udzielając Ostatniego Namaszczenia i starając się nie patrzeć na poszarpane, ledwie rozpoznawalne ludzkie kształty. Woń benzyny i palonego ciała wywoływała mdłości nawet podczas modlitwy. Nie, wspomnienia mogą z czasem stracić na ostrości, ale nigdy nie zblakną

w nicość; w czasie tej jednej nocy nauczył się więcej o kruchości ludzkiego życia, niż przez ostatnie dwadzieścia dwa lata swojej duszpasterskiej pracy.

Dotarł do furty prowadzącej na tyły długiego, wąskiego ogrodu, biegnącego wzdłuż jego kościoła parafialnego. Przechodząc i zamykając ją, spojrział przez łąki na odległy wrak 747. Jego wysoka, wychudzona postać mimo woli zadrżała na ten ponury widok. Im wcześniej usuną stąd te ostatnie szczątki, to przerażające wspomnienie, tym prędzej ludzie z miasta zdołają powrócić do normalnego życia. Wrak w dalszym ciągu stanowił makabryczną świątynię niezdrowych pielgrzymek turystów, tłoczących się w miasteczku, zafascynowanych katastrof i nie wykazujących najmniejszego zainteresowania starą architekturą. Niezupełnie podobało się to ludziom, nawet jeśli interesy szły dobrze. Był pewny, że większość z nich chciałaby już zapomnieć o tym zdarzeniu. Z początku przeżycie było czymś perwersyjnie podniecającym, nawet budzącym grozę - i podobały im się wizyty reporterów oraz oficerów dochodzeniowych. Gdy zainteresowanie wypadkiem stopniowo opadało, spodziewał się, że nastroje wśród miejscowych poprawią się i wszyscy wrócą do siebie. Ale z jakiejś przyczyny do tego nie doszło. Może było jeszcze za wcześnie? Może to tylko jego wyobraźnia? Jednak zdarzenie z ubiegłej nocy dało świadectwo temu, w jakim napięciu żyli teraz ludzie.

Około dziesiątej wieczór, wracając z odwiedzin u chorej parafianki, staruszki, której przejście do lepszego świata czyniono w szpitalu windsorskim możliwie łagodnym, dobiegły go odległe krzyki. Zatrzymał się na szerokiej, kamiennej ścieżce, prowadzącej do kościoła i nasłuchiwał niepewny, czy naprawdę coś słyszał. Wołanie nadeszło jednak ponownie, z bardzo daleka, dostatecznie jednak przenikliwe, by nieść się w chłodnym, nocnym powietrzu. Pośpieszył wzdłuż dróżki, mijając skwer pamięci ofiar wojny z symbolicznymi tablicami i wysoki kościół z szarego kamienia, z uśmiechniętymi gargulcami, aż dotarł do żelaznej furty na tyłach ogrodu, prowadzącej na łąki. Wybiegł na pole i z zaskoczeniem ujrzał ciemny kształt śpieszący ku niemu. Latarka zaświeciła mu prosto w oczy i z ulgą usłyszał znajomy głos konstabla Wickhama, który wraz z kolegą

pilnował wraku Jumbo Jeta przed łowcami pamiątek. Jego także zaalarmowały niespodziewane krzyki z drugiej strony łąk.

Policjant i duchowny udali się wspólnie zbadać źródło dźwięków, zadowoleni ze spotkania towarzysza. Na dróżce po przeciwnej stronie pola znaleźli zaparkowany tuż przy żywopłocie mały, czarny samochód ze skuloną na podłodze drżąca dziewczyną w stanie kompletnej hysterii. Kiedy otworzyli drzwi wozu, wpadła w szal, walczyła z nimi, drapała podłogę gołymi rękami. Policjant musiał ją w końcu uderzyć, by się uspokoiła - niemal ją znokautował. Padła mu w ramiona, dygocząc. Jedyne, co udało im się zrozumieć z jej bełkotliwych majaczeń, to to, że ktoś uciekł i ją zostawił. Podejrzewaliby kłótnię kochanków, gdyby nie obłąkane przerażenie, dźwięczące w jej krzykach, strach, obecny w głosie i drżącym ciele. Bez wahania zabrali ją do szpitala - dla pastora była to już druga wizyta tego wieczoru - gdzie otrzymała potężną dawkę środków uspokajających.

Oto cały problem: wypadek jakby uzewnętrznił atmosferę wiszącą nad miastem, poczucie stłumionej hysterii tylko czekającej na to, by przekształcić się w nagły wybuch. Dziewczyna najprawdopodobniej zaraziła się dziwnym nastrojem panującym w miasteczku, i najłżejszy wstrząs - mogło to być na przykład zwierzę przebiegające w krzakach - doprowadził ją do takiego stanu. A teraz na dodatek jeszcze te zwłoki, znalezione w rzece akurat dzisiajszego poranka.

Spacerował właśnie, jak zwykle, wzdłuż brzegu rzeki, kiedy zobaczył niedaleki tłumek ludzi. Większość z nich nosiła błękitne mundury policyjne i wyglądało na to, że wywlekają coś z wody. Podszedł, żeby zapytać, czy nie mógłby w czymś pomóc. Odpowiedziano mu, że temu nieszczęśnikowi pomoc może już tylko modlitwa, i wtedy sam dostrzegł potężne ciało, leżące na brzegu. Pastor rozpoznał nieboszczyka. Nie należał on wprawdzie do jego parafian, często jednak widywał go podczas swych porannych przechadzek, łowiącego ryby w małej łódce, zdającej się być jeszcze mniejszą w porównaniu z masą jego cielska. Zawsze machał doń ręką i życzył udanego dnia, a jeśli łódka była akurat blisko brzegu, gawędzili przez kilka minut. Nazywał się Bampton, czy jakoś tak, i prowadził sklepik w Windsorze.

Olbrzym, ale z tego, co wiedział wielebny Biddlestone, łagodny człowiek.

Najwyraźniej ludzie przepływający motorówką dostrzegli dryfującą pustą łódeczkę i poczęli wypatrywać właściciela. Wkrótce zauważyli sterzącą z wody rękę, z dłonią wciąż jeszcze zaciśniętą na przybrzeżnych trzcinach. Policja przyjęła, że mężczyzna albo stracił równowagę i wpadł do rzeki, po czym utonął, albo też dostał ataku serca (na co zdawałoby się wskazywać fioletowawe zabarwienie policzków i sine usta) i wtedy wpadł do wody. Sekcja wykaże, która z tych teorii jest słuszna.

Pastor pomodlił się nad zwłokami przez parę minut, po czym ze smutkiem wrócił do swego kościoła, głęboko zaniepokojony tymi wypadkami. Czy naprawdę nie wiązały się ze sobą? Najpierw dziewczyna, wystraszona do nieprzytomności, a potem mężczyzna, martwy, prawdopodobnie ofiara ataku serca. Co spowodowało ten atak? Wysilek - czy może strach? A może to tylko jego wyobraźnia?

Z westchnieniem zmęczenia odwrócił się od strasznej łąki i podążył ścieżką do głównych drzwi kościoła. Mógł skorzystać z bocznego wejścia, ale lubił wkraczać rano do budynku od frontu, aby jego pełny przepych - i pokorna samotność - uderzyły go natychmiast. W jakiś sposób podejście do ołtarza, długi spacer w kierunku uświęconego miejsca przygotowywał go, ofiarowywał czas potrzebny do oczyszczenia umysłu, niezbędnego w obcowaniu z Wszechmogącym.

Grzebał w kieszeni spodni w poszukiwaniu długiego klucza, otwierającego ciężkie drewniane wrota kościoła, kiedy to usłyszał. Jakby ktoś wpadł na drzwi z przeciwnej strony. Zdumiony, cofnął się o krok i spojrzał na wejście. Zdecydowanie za wcześnie na panią Squires, kobietę, która sprzątała kościół i pilnowała, aby kwiaty były zawsze świeże. Poza tym i tak nie mogłaby wejść bez jego klucza. W ogóle nikt nie mógł dostać się do środka, jeśli nie otworzył mu drzwi. Wsunął klucz w zamek i podszedł bliżej, zaciekawiony i odrobinę zirytowany. Dla któregoś z tych chłopaków z *College'u* nie byłoby niczym niemożliwym dać się zamknąć na noc dla kawału, czy może zakładu z kumplami ze szkoły. Nie pierwszy to raz psocili

w samym kościele i jego okolicy. Cóż, tym razem da im szkołę. Poskarży się ich przełożonym, zamiast poprzestać na reprimendzie.

Zanim zdołał przekręcić klucz, dwa głośne ciosy wstrząsnęły drzwiami w zawiasach sprawiając, iż cofnął się zaskoczony. Zszokowała go sama siła tych uderzeń.

- Kto to?! - zawołał, po czym, przysuwając twarz do szpary między skrzydłami drzwi, powtórzył pytanie.

- No dalej, kto tam jest w środku? Jeśli to któryś z was, chłopaki, to lepiej będzie, jeśli w tej chwili odpowie.

Wiedział jednak, że żaden zwykły chłopak nie był dostatecznie silny, aby tak wstrząsnąć drzwiami. Z wahaniem sięgnął do wystającego z zamka klucza. Cisza zaczynała denerwować go prawie tak samo, jak przedtem owe odgłosy.

I wtedy dobijanie zaczęło się od nowa, tym razem jednak nie uciхло po dwóch ciosach, lecz ciągnęło się nadal, rytmiczne, coraz głośniejsze i głośniejsze, wypełniając mu głowę hałasem do tego stopnia, że zmuszony był zakryć dłońmi uszy. Drzwi dygotały, drewno wygięło się i zdawało przybliżać pod naporem atakującej siły. Był pewien, że trzaśnie i ustąpi. Wydawało się, że uderzenia dźwięczą echem wewnątrz jego głowy, toteż chwycił się do tyłu. Spojrzał w górę: nawet paskudne, szare gargulce zdawały się z niego szydzić.

Zerknął przerażony na drzwi. Musiały ustąpić, nie mógł pojąć, jakim cudem stary zamek tak długo wytrzymał ten potworny napór. Siła dźwięku jeszcze wzrosła, wydawało się, że osiąga już szczyt.

Otworzył usta i krzyknął:

- Przestań! W imię Boże, przestań!

Nie był pewien, a później jego pewność jeszcze zmaląa, lecz w tym momencie usłyszał jakby śmiech. Nie brzmiało to raczej jak chichot, cichy, ale w jakiś sposób słyszalny wśród odgłosów uderzeń. Tuż przed tym, nim uciekł z cmentarza, niezdolny dłużej znieść okropnego hałasu, stukanie niespodziewanie uciхло. Cisza była prawie takim samym wstrząsem, jak przedtem huk. Drzwi trwały nieruchomo, równie solidne, jak zazwyczaj, bez żadnych oznak nadwreżenia. Przez chwilę zwątpił prawie w to, czy cokolwiek miało tu miejsce, tak spokojna była ta cisza.

Zmęczonym krokiem podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho, gotów odskoczyć na najmniejszy szmer. Czy znów się mylił, czy też słyszał szept?

Wielebny Biddlestone nie był być może bohaterem, z pewnością jednak należał do ludzi trzeźwo myślących. Nie mógł przecież pójść na policję i poskarżyć się, że ktoś usiłuje wydostać się z jego kościoła. Prawdopodobnie uśmiechnęliby się tylko i zapytali, dlaczego tego kogoś nie wypuścił. Uderzenia były ciężkie i donośne, lecz jakby przytłumione - nie był to żaden ostry przedmiot. A żaden człowiek nie mógłby tak wygiąć twardych, dębowych drzwi. Jemu samemu, osobie twardo stąpającej po ziemi, trudno było zrozumieć, co się właściwie działo. A jeżeli nie mógł tego wyjaśnić sam sobie, to jak miał wytłumaczyć to policji? Ktokolwiek jednak, czy cokolwiek to było, znajdowało się teraz wewnątrz Domu Bożego, domu, nad którym sprawował opiekę jako duchowny. Przekręcił klucz.

Pastor odczekał chwilę, zanim pchnął drzwi. Znajdował się w krótkim, ciemnym korytarzyku, oddzielnym od samego kościoła dwoma parami drzwi. Korytarz był pusty.

Rozsunął szeroko podwójne drzwi, aby wpuścić jak najwięcej światła, i ostrożnie wkroczył do środka. Przez parę sekund nasłuchiwał, zanim podszedł do jednych z dwójga mniejszych drzwi prowadzących bezpośrednio do nawy kościoła. Rozwarł je i zajrzał do środka.

Promienie słoneczne przesączały się przez wysokie witrażowe okna jasnymi strugami, których granice wyraźnie określały tańczące w powietrzu drobinki kurzu, lecz wiele fragmentów wnętrza pogrążonych było w głębokim cieniu. Drzwi zamknęły się za nim, tworząc kolejny obszar nieprzeniknionej czerni za jego plecami. Ogarnął spojrzeniem całą przestrzeń, od ściany do ściany, wszystko jednak zdawało się być w jak najlepszym porządku. Skierował się w stronę ołtarza. Odgłos jego kroków dźwięczał pustym echem w wielkim, zimnym budynku. Przeszedł zaledwie parę metrów, kiedy dostrzegł przed sobą czarną sylwetkę, klęczącą w jednej z przednich ławek, blisko ołtarza. Ledwie ją było widać, promień światła bowiem padał akurat pomiędzy nim a postacią, zamazując jej kształty w unoszącym się pyłe. Zdawało mu się, że odziana była w płaszcz lub ciężkie

palto, ale z tej odległości trudno to było stwierdzić na pewno. Bez słowa ruszył w jej stronę, spodziewając się, że na odgłos jego kroków postać odwróci się. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Podszedł bliżej, lecz wciąż jeszcze niewiele widział poprzez jasny strumień światła. Nie był już nawet pewien, czy to w ogóle postać. Była zbyt ciemna. Przeciął płamę światła padającego z wysokich okien. Po jaskrawym blasku musiał teraz zamrużyć oczami, aby przyzwyczaić je do nagłego mroku. Lekko oślepiony zmianą oświetlenia zatrzymał się za kłęzącą sylwetką, sięgając ręką do jej ramienia. Kiedy to robił, głowa powoli zaczęła obracać się w jego stronę.

Pastor poczuł nagły chłód, znacznie mocniejszy od zwykłego porannego, kościelnego zimna, chłód przenikający kości, mrozący krew w żyłach. Doszedł go także niski warkot, ledwie rozpoznawalny śmiech, głowa odwróciła się i czarne, wypalone otwory, które powinny być oczami, napotkały jego spojrzenie.

Miłosiernie opuściła go wszelka świadomość. Zemdlał i upadł na twardą, kamienną posadzkę.

Rozdział 7

Keller skierował samochód w głąb zacisznej alejki podjazdowej. Trzask miażdżonego oponami żwiru zaanonsował jego przybycie. W schowku na rękawiczki ukrył kompletną listę pasażerów fatalnego lotu 747. Otrzymał ją od młodego oficera łączności, który był akurat tej nocy na służbie. Początkowo wahał się nieco, lecz po krótkim naleganiu ze strony Kellera (argumentował, że i tak łatwo ją będzie otrzymać w redakcji którejś z gazet) poddał się i dorzucił jeszcze trochę informacji o pasażerach. A to było właśnie to, na co pilot w sekrecie liczył. Keller miał zamiar przestudiować w skupieniu całą listę później - nie był dokładnie pewien, czego szuka, ale od czegoś trzeba było zacząć.

W tej chwili jednak jego najważniejszym zamiarem było spotkanie z Beth Rogan, żoną zmarłego kapitana. Zadanie to nie zachwycało go: wracanie do przeszłości, rozdrapywanie świeżo zablizniionych ran.

Dom leżał w Shepperton, niedaleko żeglownego jeziora. Wiedział, że kapitan uwielbiał ten sposób spędzania wolnego czasu. Budynek nie był ani za duży, ani za mały. Otaczała go aura niewymuszonej i bezpretensjonalnej elegancji. Już hamując ujrzał, jak otwierają się drzwi frontowe i staje w nich Beth Rogan.

Ostatnio, kiedy widział ją na wspólnym pogrzebie pasażerów 1 załogi, wyglądała na bladą i w jakiś sposób załamana. Zauważył, że podczas długiej mszy kilka razy zerknęła w jego stronę, ale jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, on sam zaś był jeszcze zbyt oszołomiony wydarzeniami, by na to zareagować. Obecnie wyglądała równie pięknie i żywo, jak zawsze, a biel jej

bluzki i spodni stanowiła ostry kontrast z żałobnym strojem z pogrzebu. Długie, brązowe włosy podpięła z jednej strony, co sprawiało, iż wyglądała młodo, prawie jak uczennica. Uniosła dłoń w geście powitania i dostrzegł, że w drugiej ręce trzyma szklankę ciemnego płynu.

Wysiadł z samochodu.

- Cześć, Beth.

- Dave - odpowiedziała.

Spojrzeni na siebie w milczeniu przez chwilę, i teraz, z bliska zauważył drobne linie, zaczynające pojawiać się wokół jej oczu, oraz pierwsze drobniutkie zmarszczki na szyi, których przedtem nie było. Wciąż jednak była piękną kobietą. Spojrzenie jej ciemnobrązowych oczu, głębokich i pełnych wiedzy, spotkało się z jego wzrokiem, niezwykle intensywne.

- Czemu nie pojawiłeś się wcześniej? - zapytała.

- Przepraszam, Beth. Myślałem, że lepiej nie.

W jej oczach zatliła się iskierka gniewu, drobne odbicie światła na dnie głębokiej studni. Skierowała się z powrotem do domu, prowadząc go przez salonik aż do barku.

- Napijesz się czegoś, Dave? - zaproponowała, dolewając sobie sherry.

- Jeszcze nie teraz, dzięki. Można kawy?

Zniknęła na chwilę w kuchni, co dało mu szansę usadowienia się na kwiecistej kanapie i rozejrzenia po pokoju. Ostatnim razem, kiedy go widział, był pełen ludzi, ożywionych rozmowami, szary od dymu. Siedział wtedy dokładnie tu, gdzie teraz, wykończony, pijany, samotny. Przypomnił sobie, jak Beth patrzyła na niego poprzez tłum, ze znaczącym i lekko przebiegłym uśmiechem na ustach. Przeznaczonym wyłącznie dla niego, aby zinterpretował go sobie sam, zgodnie ze swym życzeniem. I oto znów ją widział, podającą mu filiżankę kawy w wyciągniętej ręce. Podeszła do niego, a na jej twarzy widział niemal ten sam uśmiech.

Z wdzięcznością wziął filiżankę i postawił ją na podłodze, tuż obok swych stóp. Beth usiadła w fotelu naprzeciwko. Jej palce nieustannie wędrowały po grubym szkle lampki sherry. Przyglądała mu się uważnie, czekając, aż się odezwie.

- Jak się miewasz, Beth?

- Okay - z jej oczu zniknęło rozbawienie.

- To musiał być okropny wstrząs...

- Wiesz, że mieliśmy się rozejść? - przerwała mu gwałtownie. Spojrzał na nią, zdumiony.

- Wiem, że mieliście jakieś problemy, ale...

- Problemy! No, chociaż ty powinieneś coś o tym wiedzieć. Byłeś w końcu jednym z nich!

- Beth, to się zdarzyło całe wieki temu. I tak naprawdę, nic nie znaczyło.

- Dokładnie przed pięcioma miesiącami. A Peter nie wierzył, że nic więcej w tym nie było.

- W jako sposób się dowiedział?

- Ja mu powiedziałam, rzecz jasna.

- Dlaczego mu powiedziałaś? - jego głos stwardniał. - To się stało tak... mimowolnie - zawahał się i odwrócił wzrok. - Byłem tylko...

- Jednym z wielu. Czy to chciałeś powiedzieć. Dave? Zachował milczenie.

- Tak, byłeś jednym z... kilku - wściekła, łyknęła potężny haust sherry. Przez chwilę siedziała sztywno, po czym gniew jakby ją opuścił. Zgarbiła się, wbiła spojrzenie w podłogę przed sobą. Kiedy przemówiła, w jej głosie brzmiało zmęczenie.

- Kilka dni przed lotem dałam mu pełną listę moich kochanków.

- O Boże, czemu? Beth?!

Wyprostowała się i skupiła na nim wzrok. Jej słowa zabrzmiały gorzko.

- Żeby się na nim odegrać. Nasze małżeństwo od lat było fikcją. Znasz mnie, Dave. Nie jestem typem kobiety, która siedzi i czeka, podczas gdy jej mąż lata sobie po świecie. - Podeszła z założonymi rękami do okna. Szklanka dalej tkwiła pewnie w delikatnych palcach. Beth odwróciła się doń tyłem i wyjrzała na trawnik.

- Wszyscy o tym wiedzieli, prócz niego. Myślę, że ty zorientowałeś się, jak tylko mnie poznałeś.

To prawda. Pamiętał dzień, w którym zobaczył ją po raz pierwszy: chłodne uznanie w jej oczach, prawie szyderczy uśmiech, dłoń ściskająca jego rękę o sekundę za długo. Już podczas poznania rzuciła mu wyzwanie. W firmie krążyły jakieś aluzje, dotyczące Beth Rogan, a pochodzące od ludzi, którzy dobrze znali ich oboje. Parę niesmacznych uwag. Ale żony kolegów stanowiły dla niego i jego przyjaciół temat, którego

zazwyczaj unikali - zdawali sobie sprawę z tego, że sami też nie byli bezpieczni, chociażby z powodu swych częstych nieobecności w domach. Poza tym wszyscy bardzo szanowali Rogana, a młodzi piloci odnosili się do niego z niejakim lękiem. Choć nigdy nie był popularny z powodu swego twardego, szorstkiego sposobu bycia, znano go jednak jako człowieka, na którym zawsze można polegać w potrzebie. Przeżył dwa wypadki, które łatwo mogły stać się śmiertelnymi katastrofami, gdyby nie jego umiejętności i żelazne nerwy. Pierwszy, osiem lat temu, zdarzył się, gdy podwozie jego Viscounta odmówiło wysunięcia się, a on sprowadził samolot do prawie doskonałego lądowania na brzuchu. Nikt nawet nie został ranny. Drugim razem, ledwie w rok później, nawaliły dwa silniki jego Argonauta, jeden w dwadzieścia sekund po drugim. Awarię spowodował uszkodzony przełącznik, który zablokował przepływ paliwa podczas lotu. I tym razem Rogan zdołał wylądować na dwóch pozostałych silnikach.

Jako starszy kapitan Consula okazał się doskonałym, choć krytycznym nauczycielem. Keller wiele zyskał dzięki jego doświadczeniu i wiedzy technicznej. Ale ich stosunki były znacznie bardziej osobiste, niż relacja uczeń - nauczyciel: kapitan Rogan odkrył u Kellera ową wrodzoną zdolność, naturalny instynkt lotniczy, którego nie sposób nabyć samym treningiem. Nie miało go wielu starych praktyków, nadrabiając ten brak doskonałym wyszkoleniem. I teraz, w wieku lat trzydziestu, Keller służył jako drugi pilot ostatni rok - Rogan zarekomendował go do promocji na kapitana, a ostatnie testy przeszedł śpiewająco. W istocie kapitan rozpoznawał w nim młodszego, może nawet lepszego siebie i z tej przyczyny zainteresował się bardziej karierą Kellera. Często traktował go nieco surowiej niż jego rówieśników, więcej też od niego wymagał, zawsze był jednak gotów wycofać się przed osiągnięciem krytycznego punktu. Na szczęście Keller rozumiał intencje dowódcy, toteż, choć czasami zdawało się, że wybucha między nimi wrogość, w rzeczywistości obaj szanowali się i lubili.

Dopóki Beth nie powiedziała mu o ich romansie.

Roganowie urządzili wtedy jedno ze swych rządkich przyjęć - kapitan nigdy nie był specjalnie towarzyski - ale w ostatniej chwili firma powierzyła gospodarzowi lot do Washington Dulles, w zastępstwie chorego kolegi. W głębi duszy kapitan

odczuł z tego powodu ulgę, nie przepadał bowiem za tego typu spotkaniami, a już zwłaszcza we własnym domu. Zgodził się szybko, co niezmiernie zirykowało Beth. Cathy przydzielono tam także, zatem Keller pojawił się na przyjęciu samotnie. Do tego, że poszli z Beth do łóżka, doprowadził splot przypadków: wynikły tego samego dnia gorący spór z Roganem na temat jakiegoś technicznego zagadnienia, luźno związanego z aerodynamiką (potem okazało się, że to Rogan miał rację), niechęć do Cathy o to, że akurat musiało jej nie być, i nadmiar spożytego alkoholu (rzecz dla niego nietypowa). No i oczywiście determinacja Beth Rogan, aby go uwieść.

Przez cały wieczór zalecała się do niego, z początku dyskretnie, potem, w miarę upływu czasu, coraz śmielej. Przez całą imprezę udawało mu się jakoś trzymać ją na dystans, ale im więcej pił, tym bardziej musiał się do tego zmuszać. Może z premedytacją pił tak wiele, aby mieć potem jakieś usprawiedliwienie zaniechania ostrożności i swego nieodpowiedzialnego zachowania? Może to jego stare „ja”, od tak dawna trzymane na łańcuchach, zbuntowało się nagle? A może to po prostu zmysły.

Jakiegokolwiek usprawiedliwienia wymyślał dla siebie po całej tej sprawie, szkoda się stała i wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał za to zapłacić. W tej chwili chciał jedynie wiedzieć, jak wysoka była ta cena.

Keller przypomniał sobie, jak nagle poczuł, że chwije się na nogach. Ruszył w górę, niepewny, czy tylko po to, by się załatwić, czy też, by zwymiotować. Zanurzył twarz w chłodnej wodzie, a kiedy otworzył drzwi łazienki. Beth już na niego czekała. Zaprowadziła go do jednej z wolnych sypialni i kazała mu zaczekać, dopóki nie wydobrzeje. Wyszła cicho zamykając za sobą drzwi, a on położył się i zapadł w ciężki, pijacki sen, do którego z trudem przenikały odgłosy zabawy na dole, dochodzące jakby z wielkiej odległości. Kiedy się przebudził, w pokoju panowała zupełna ciemność, a z dołu nie dochodziły już żadne dźwięki. Leżał pod kołdrą, bez butów, a jego ciała dotykały chłodne ręce. Zaskoczony, obrócił się do postaci, leżącej obok niego. Jego dłonie dotknęły delikatnej nagiej skóry. Natychmiast pojął, kto to. Przytuliła się do niego, wsuwając kolano między jego nogi, udem napierając na niego. Nawet nie próbował się opierać - jaki normalny mężczyzna by próbował? - i kochał się z nią z nagłym pożądaniem, które miał ją

przytłoczyć, wywołało szal podniecenia dorównującego, a później nawet przewyższającego jego własne.

Potem zapadł w głęboki, wyczerpujący sen, a gdy się zbudził następnego ranka, stwierdził, że spoczywa nagi w pościeli z Beth skuloną u jego boku. To była chwila prawdy: był trzeźwy, zaspokojony. Nie miał żadnego usprawiedliwienia. Mógł wstać nie budząc jej, opuścić dom i udawać, że nic się nie stało. Zamiast tego obudził ją łagodnie delikatnymi pocałunkami, pieszczotami języka, i ponownie kochali się, rozleniwieni. Ona zachwycała się jego twardymi, młodymi mięśniami, on doceniał jej niekwestionowane doświadczenie.

I dopiero potem uderzyła go prawda o jego podwójnej zdradzie: zdradził dziewczynę, którą kochał, i mężczyznę, którego podziwiał. Ubrał się i powiedział Beth, że to się już nigdy nie powtórzy. Nie był dla niej niegrzeczny, nie należał do takich mężczyzn. Mimo to uśmiechnęła się gorzko i nieco pogardliwie. Obserwowała go bez słowa, siedząc na łóżku, nawet nie kłopotząc się swą nagością. I to było jego ostatnie o niej wspomnienie: cyniczny uśmiech, piękne ciało. Teraz, kiedy się jej przyglądał, to ostatnie wrażenie jeszcze mocniej zaznaczyło mu się w pamięci. Ten sam uśmiech, ona zaś tylko nieco starsza.

- Mogłeś się ze mną porozumieć, Dave - rzekła. - Jeśli nie przedtem, to chociaż po wypadku.

Spojrzał na nią, czując jakby winę.

- Przykro mi, Beth. To dla mnie bardzo trudne. Ten wstrząs, ten rozgłos. Miałem mętlik w głowie, dopiero teraz zaczyna powoli mi się przejaśniać.

Znów stała przy barku, tym razem nalewając sobie szkockiej.

- Dotrzymasz mi towarzystwa?

Potrząsnął głową.

- Nie. - Sięgnął po kawę, stojącą na podłodze i pociągnął łyk. - Beth, próbuję się dowiedzieć, co spowodowało katastrofę.

Gwałtownie odwróciła się do niego.

- Ależ to robota AIB. Czemu miałbyś się tym zajmować?

- Ja... dokładnie nie wiem, ale uważam, że mogło to mieć coś wspólnego ze mną.

- To idiotyczne. Po co się oskarżasz?

- Peter i ja pożarliśmy się przed lotem. O ciebie. Nie pamiętam, kiedy dokładnie, jeśli jednak, jak mówisz, powie-

działał mu o tym na parę dni przed wypadkiem, to musiało mieć miejsce w tym czasie.

-- Ale czemu to takie ważne?

- Wciąż przypomina mi się twarz kapitana. Jesteśmy w kabine Jumbo, podczas lotu, a on patrzy na mnie i krzyczy. Nie rozumiesz? Jeśli ten konflikt trwał nadal podczas startu, najważniejszej części całego lotu, i spowodował jakieś zaniedbanie z naszej strony, to twój mąż i ja odpowiadamy za śmierć tych wszystkich ludzi.

Kiedy podeszła i usiadła obok, w jej oczach dostrzegł współczucie.

- Dave, znam ciebie i znałam Petera, przynajmniej z grubsza. Obaj byliście zbyt dobrymi profesjonalistami, by pozwolić emocjom wtrącać się w waszą pracę. On nigdy by nie pozwolił, aby uczucia wzięły w nim górę nad rozsądkiem. Był na to za bardzo doświadczony.

- Nie widziałas go przed tym lotem, podczas naszej kłótni. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się stracić panowania nad sobą, a tego wieczoru zachowywał się jak szaleniec.

- Za to można winić tylko mnie. Byłam dla niego taka okrutna, uderzył mnie, wiesz? Nie wtedy, gdy opowiadałam o innych, ale kiedy powiedziałam o tobie. Zawsze był dumny. Także z ciebie.

Keller odstawił filiżankę na spodeczek i odsunął od siebie. Obrócił się do niej. W oczach nic miał złości, jedynie całkowity brak zrozumienia.

- Czemu to zrobiłaś. Beth?

Żeby go zranić, przebić tę twardą, zimną skorupę. Żeby wreszcie coś poczuł, nawet jeżeli miała to być nienawiść.

Tak, Keller pamiętał nienawiść, płonąca w tych oczach. Wściekłą, kipiącą nienawiść. Nie była to tylko zraniona duma to zdrada protegowanego, kogoś, kogo trenował, nauczył wszystkiego, co sam umiał. Kogo traktował jak swego następcę i wraz z tym wspomnieniem przypomniał sobie kolejny fragment ich spotkania.

Pamiętał teraz gniewne słowa, kryjące w sobie gwałt, dźwięczące za nim, kiedy odchodził od Rogana. byle dalej od pustego hangaru.

- Czy Cathy o tym wie. Keller? Czy wie? Teraz się dowie, ty skurwysynu. Dowie się ode mnie.

I wtedy zaczął nienawidzić kapitana, człowieka, którego podziwiał, z którym starał się współzawodniczyć. Człowieka, ■ jakim sam chciał zostać, a który teraz utracił swą godność. Człowieka, rozciągniętego na betonowej posadzce i obrzucającego go wyzwiskami. Boga, który stał się śmiertelnikiem.

Do jakich granic mogła posunąć ich ta nienawiść? Czy ten chłodny, kalkulujący umysł mógł wreszcie ustąpić pod naciskiem stresu? A może on sam, młodszy, mniej doświadczony, poddał się szaleństwu? Z wolna układał się obraz. Ale czy prawdziwy?

- Dave, wszystko w porządku? Tak dziwnie wyglądasz - głos Beth przywołał go do rzeczywistości.

odetchnął głęboko.

- Może trochę szkockiej - powiedział.

Naląła szczerze i ponownie usiadła obok, podając mu szklankę. Pociągnął długi łyk i zanim się znów odezwał, pozwolił palącemu strumieniowi whisky spłynąć przełykiem do żołądka.

- Beth, czy przed lotem coś się zdarzyło? Czy coś mówił, kiedy wychodził?

Jej głos był miękki, lecz stanowczy.

- Powiedział, że już nie wróci.

Keller zeszywniał, ręka trzymająca szklankę lekko zadrżała.

- O co mu chodziło?

Patrzyła teraz na niego.

- Nie - powiedziała. - Nie o to, o czym myślisz. Jestem pewna, że nie... - głos jej się załamał. - Nie - powtórzyła. - Był zmartwiony, ale nie do tego stopnia. Już przedtem rozmawialiśmy o rozwodzie i myślę, że w końcu pogodził się z tą myślą. To, że mu o tobie powiedziałam, przeważało szalę, wiem, i jestem pewna: chodziło mu o to, że nie wróci do mnie. Dave, on nie zwariował.

Keller potrząsnął głową, oznaczało to jednak zgodę na to, co mówiła. A jednak... Piloci żyli pod nieustanną presją, i znał wielu porządných ludzi, którzy nagle załamywali się. Dlatego tak ważne były sprawdziany fizyczne i umysłowe: raz do roku dla stale latających, dwa razy dla tych, którzy przekroczyli czterdziestkę.

Keller poczuł teraz strach, większy niż kiedykolwiek. Tak wiele zdawało się wskazywać w jednym kierunku, a on czuł

coraz większy ciężar odpowiedzialności spoczywający na jego barkach. Gdyby tylko mógł przełamać tę barierę zaciemniająca mu umysł, pozwalającą jedynie na krótkie, przelotne wspomnienia, katującą ulotnymi wizjami. Powiedziano mu, że być może mogłoby mu pomóc leczenie psychiatryczne, ale to trwałoby wiele czasu. A zresztą i tak psychiatrzy mogliby jedynie pomóc umysłowi w tym, by się sam uleczył, nie byłiby w stanie sami wywołać tego procesu.

Musiał dowiedzieć się więcej na temat katastrofy. Może do tego czasu AIB odkryło jakiś szczegół techniczny, psychologiczny, coś co mogłoby uwolnić jego wspomnienia. Może Harry Tewson zdobył więcej dowodów na poparcie swej teorii.. Każdy konkretnie - niezależnie od tego, czy oczyściłby go z podejrzeń, czy też przeciwnie, jeszcze głębiej pogрузzył - byłby lepszy od pozostawiania w tej otchłani. Znowu czuł ten przymus. Musiał wrócić do Eton.

Zostawił resztkę szkockiej w szklance i wstał.

- Muszę jechać, Beth.

Zaskoczyło ją to. W jej głębokich oczach pojawiło się wyraźnie rozczarowanie.

- Zostań jeszcze trochę, Dave. Potrzebuję kogoś - chwyciła i ścisnęła mocno jego dłoń. - Po prostu, żeby pogadać, Dave, nic poza tym. Proszę.

Uwolnił rękę i powiedział, bez cienia nieuprzejmości w głosie:

- Nie mogę teraz zostać. Może wrócę później, ale teraz muszę jechać.

- Wrócisz? Przyrzeknij mi, Dave.

- Tak. Może. Najpewniej nie.

Zostawił ją tak, tym razem z innym obrazem odcisniętym w pamięci; biała bluzka, ręka zaciśnięta na szklance, twarz, nagle ukazująca oznaki nadchodzącej starości. I, o dziwo, ten sam gorzki, pogardliwy uśmiech.

Samochód ruszając sypnął wokół zwirom. Małe kamyczki odbiły się o mur. Uważnie wyjechał z podjazdu i skierował się w stronę Eton i Windsoru. Znowu narastało w nim napięcie.

Rozdział 8

Emily Platt powoli truła męża. Świadomie przeciągała to, nie tylko aby zmniejszyć podejrzenia, kiedy wreszcie nadejdzie jego śmierć, ale ponieważ chciała, by cierpiał najdłużej, jak to tylko możliwe.

Przez ostatnie trzy tygodnie podawała mu jedynie małe dawki Gramoxonu, aby stopniowo nadwątlić jego zdrowie, lecz samą ją zaskoczyło, jak szybko został przykuty do łóżka. Trucizna, zawarta w środku chwastobójczym, okazała się znacznie mocniejsza, niż to sobie wyobrażała. Już pierwsza porcja, którą Emily dosypała do jego porannej kawy, przeraziła ją nagłością ataku, jaki wywołała. Po tym zdarzeniu drastycznie zmniejszyła dawki, dając mężowi parę dni na wydobrzeenie: chciała, żeby dolegliwości nie były tak gwałtowne, raczej przewlekłe. Oczywiście przy pierwszym, najostrzejszym ataku trzeba było wezwać ich lekarza, choroba ta jednak zaskoczyła go całkowicie - zdecydowanie brakowało mu wyobraźni. Powiedział Emily, że w przypadku nagłego pogorszenia stanu męża w ciągu kilku następnych dni będzie musiał wysłać go do szpitala, gdzie miałyby odpowiednią opiekę i można by przeprowadzić badania, aby odkryć charakter tej tajemniczej choroby. Ponieważ jednak tak bardzo zmniejszyła porcje trucizny i wyglądało na to, że chory powraca do zdrowia, doktor nie widział powodów do niepokoju. Zostawił instrukcje, żeby wezwać go niezwłocznie w razie jakichkolwiek zmian na gorsze, albo jeśli objawy nie ustąpią w najbliższym czasie. Rzecz jasna Emily nie zadała sobie trudu ponownego skontaktowania się z nim, a jej nieszczęsny małżonek był zbyt osłabiony, by to uczynić samemu.

Nie miała zamiaru wzywać lekarza, zanim nie upewni się ostatecznie, że nie ma najmniejszej szansy na to, by wyzdrowiał. Powie wtedy, iż atak nadszedł niespodziewanie; że przez ostatnie tygodnie mąż czuł się nieźle, choć wydawał się być odrobinę zmęczony. I nagle, bez żadnego ostrzeżenia zachorował. Nawet gdyby zabrali go do szpitala, nic nie szkodzi - na parakwat nie znano antidotum, jeśli oczywiście lekarze zdołaliby odkryć przyczynę jego dolegliwości. Nie była pewna, czy istniały dostateczne podstawy do zarządzania sekcji zwłok, ale nie dbała o to - po prostu chciała, żeby umarł. W męczarniach.

Cyryl Platt był od niej młodszy - miał trzydzieści sześć lat, ona zaś czterdzieści trzy - ale kiedy się pobrali, ledwie pięć lat wcześniej, zgodzili się, że różnica wieku wcale im nie przeszkadza. Tak też było. To dziwne żądania Cyryla stanowiły problem.

Po raz pierwszy ujrzała Cyryla, kiedy oglądał maleńką figurynkę, stojącą na wystawie należącego do niej sklepu z antykami na etońskiej High Street. Przeglądała dalej stos przeróżnych gazet lokalnych, które prenumerowała, w poszukiwaniu wszelkich wzmianek o bazarach, wyprzedazach i jarmarkach mających się odbyć w najbliższym tygodniu. Wiedziała, podobnie jak wszyscy handlarze antyków, że właśnie takie imprezy dostarczały okazji do zakupu rzadkich i cennych przedmiotów, toteż znaczną część swego czasu spędzała podróżując po kraju. Konkurencja była ostra, a odkąd antyki stały się modne, wzrosła jeszcze bardziej, szczególnie w Eton, gdzie znajdowało się wyjątkowo dużo tego typu sklepów. Po śmierci ojca, który przekazał jej kierowanie interesem, miała niewiele czasu na cokolwiek innego poza pracą.

Od czasu do czasu odrywała się od swego zajęcia, aby zerknąć i sprawdzić, czy młody mężczyzna jeszcze tam jest. Miała dziwną nadzieję, że wejdzie do sklepu. Zbyt często ludzie oglądali wystawę, pieszcząc wzrokiem ustawione tam okazy, i zbyt często odchodzili dalej, nawet nie zajrzawszy do środka. A nawet jeśli ktoś wszedł, nigdy nie było gwarancji, że coś kupi: sklepy z antykami przypominają księgarnie - buszuje się w nich raczej, niż robi zakupy. Kiedy była młoda, irytowało ją, że ludzie tracą tyle czasu na oglądanie, częstokroć z podziwem, tych skarbów, zadają pytania, gładzą z lubością wybrane rzeczy,

po czym wychodzą ze sklepu, jakby był to jedynie sposób przyjemnego spędzenia wolnego czasu. Ale ojciec nauczył ją nigdy nie ponaglać, ani nawet próbować wpływać na potencjalnych klientów, i nigdy, pod żadnym pozorem, nie targować się. Ich zawód był zbyt dystygowany na takie chwytły, mogli pozwolić sobie na pozostawienie ich ulicznym handlarzom.

Ojciec był człowiekiem wzbudzającym lęk i szacunek. Nawet teraz nie miała pewności, czy kiedykolwiek go kochała. Dwie starsze siostry opuściły dom z powodu jego tyrańskiej dokładności. Głęboko religijny, trzymał rodzinę żelazną ręką, ręką, która nigdy nie słabła ani nie rozluźniała uchwytu. Nawet po śmierci ich matki. Należał do ery wiktoriańskiej, czasów, które kochał za ich kodeks moralny, odrazę do wszystkiego, co nienormalne, stałość charakteru oraz przemożną władzę mężczyzny jako głowy domu. Wyгнаło to jej siostry, jedną do Szkocji, drugą gdzieś za granicę (od tego czasu zerwała wszelkie stosunki z resztą rodziny), jej jednak jego rządy w zupełności odpowiadały. Pragnęła czyjejs dominacji równie mocno, jak jej ojciec chciał dominować i, w tej sprawie, doskonale spełniali swe potrzeby. Jego śmierć pozostawiła ją samotną i pełną lęku, ale także dziwnej ulgi.

Być może te lata chętnie akceptowanego ucisku wywołały u niej poczucie wypełnionej pokuty. Za co? Nie wiedziała, lecz ojciec nauczył ją, że każdy człowiek rodzi się winny, wymagając odkupienia, i ta potrzeba w jakiś sposób kształtuje całe jego życie. Prawdziwy chrześcijanin spłaca większość swego długu za życia, inni czynią to po śmierci. Czuli, że ona sama wypełniła swoją pokutę za jego życia. I teraz, kiedy go już nie było, kiedy z jej życia zniknęła arogancka, męska dominacja, Emily stała się szczególnie podatna na wpływ kogoś takiego jak Cyryl.

Gwałtownie uniosła wzrok, słysząc dźwięk dzwoneczka nad drzwiami. Uprzejmie uśmiechnęła się do niego, on odpowiedział tym samym. Powróciła do przetrząsania gazet, ale jej myśli zajęte były porządkowaniem wrażeń na jego temat. Wyglądał gdzieś na trzydziestkę. Wysoki, lecz delikatnej postury. Niespecjalnie przystojny, choć miło było na niego popatrzeć. Ubranie zdawało się mieć o numer za duże, przez to jednak sprawiało wrażenie wygodnego. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach

Potem odeszła - jej istota, gdyż nie było żadnego obrazu, a tylko przejmujące poczucie jej obecności - niknąc gwałtownie i, jak to wbrew sobie odebrał, zostawiając go samego, narażonego na ciosy. Coraz głębiej pogrążał się w nieświadomość i ranny Hobbs dopiero po dłuższym czasie zdołał go ocucić. Kiedy odzyskał przytomność, uświadomił sobie, że przytłaczający nacisk, wyczuwalny przedtem w pokoju, zniknął, i skądś wiedział, iż stało się to w wyniku interwencji Cathy.

Najlepiej, jak umiał, oczyścił poranioną twarz i rękę Hobbsa, usuwając większość kawałków szkła wbitych w jego skórę. Odkrył, że jego własną twarz pokrywają drobne skaleczenia i zadrapania, żadne na tyle głębokie, by się nim przejmować. Na szyi widniały dziwne sińce, jak gdyby silne palce wpiły się w jego ciało i zaciskały uchwyt, skóra na głowie zaś bolała w miejscu, gdzie niewidzialne dłonie ciągnęły go za włosy. Po wypiciu wyęsknionego drinka zawiózł Hobbsa do szpitala, gdzie fachowo opatrzono mu twarz. Żaden z nich nie czuł potrzeby wyjawiania zainteresowanemu lekarzowi prawdy o tym, skąd wzięły się te rany. Na szczęście historyjka o tym, jak to Hobbs poślizgnął się i upadł, niosąc przez pokój butelkę dżinu, zaspokoila ciekawość doktora.

Wrócili potem do domu medium i Hobbs nalegał, by Keller został na noc. Odmówił omawiania niedawnych wypadków i zapewnił pilota, że duchy tej nocy nie wrócą - wyczuwał wokół domu barierę ochronną. Keller zbyt był zmęczony, by się z nim spierać i ledwie położywszy się na starej, lecz wygodnej kanapie Hobbsa, zapadł w ciężki, głęboki sen.

Następnego dnia Keller zasypał Hobbsa gradem pytań, ale spirytystą stał się dziwnie nierozmowny, co pilot złożył na karb bolesnych ran. Kilka razy przyłapał niewysokiego człowieka na tym, że ten obserwował go z dziwnym wyrazem oczu. Nie mógł poznać, czy była to ciekawość, czy strach. Być może jedno i drugie.

Hobbs popadał w nastrój kogoś, kto poddał się losowi, niby pływak, który zaprzestał walki z prądem, uznając, że to i tak nic nie da; brakło mu sił i dał się ponieść w wiry. Późnym popołudniem Hobbs jakby podjął decyzję. Oznajmił, że muszą

wrócić do Eton, na miejsce katastrofy. Tylko tam będzie można znaleźć odpowiedź.

Keller nie podawał w wątpliwość rozumowania, które doprowadziło medium do takiej konkluzji, ponieważ sam czuł potrzebę powrotu do miasta. Impuls ten stawał się coraz trudniejszy do przezwyciężenia w miarę, jak upływał dzień. Lecz teraz, gdy prowadził wóz autostradą M4, mijając zakręt na Heathrow, i coraz bardziej przybliżał się do miasteczka, którego spokój rozprysnął się tak gwałtownie, czuł w duchu obezwładniający lęk. Wiedział, że ta noc dostarczy wielu odpowiedzi. Czuł, że po tej nocy nic już nie będzie takie samo.

Zorientował się, że Hobbs mówi coś do niego. Jego słowa były lekko zniekształcone, starał się bowiem poruszać ustami tak, aby nie potęgować bólu.

- Sądziłem, że Goswell zmarł dawno temu - mówił właśnie.

- Nie wiedział pan, że był w samolocie? - zapytał Keller.

- Nie, panie Keller. Nie czytałem prasowych doniesień o katastrofie. Już dawno straciłem wszelkie zainteresowanie ludzkimi tragediami, wywołanymi przez samych ludzi.

- Ale wiedział pan o nim?

- O Goswellu? Był człowiekiem do głębi zepsutym. Co prawda nie w klasie Bestii, Alistera Crowleya, aczkolwiek istniało pomiędzy nimi wiele podobieństw. niewątpliwie zna pan jego wyczyny z czasów wojny, powiązania z Mosleyem i dochodzenie w sprawie jego strasznej działalności, które w końcu doprowadziło do tego, że uciekł z kraju.

- Słyszałem o nim, a wczoraj kolega podał mi jeszcze parę szczegółów. Ale nie wierzyłem w to, by ktokolwiek traktował go serio.

- O tak, wielu traktowało go bardzo serio. Ci, którzy znali tajemnice, jakimi się parał.

- Ma pan na myśli kult diabła, czarną magię... te wszystkie bzdury?

- Po tym, przez co pan przeszedł, nadal nie rozumie pan nawet tego? - choć stłumiony, głos Hobbsa wyrażał niedowierzanie.

- Życie po śmierci, tak, teraz już w to wierzę. Ale satanizm? - miał odpowiedzi Keller potrząsnął głową.

- Satanizm istnieje jako religia, panie Keller, podobna do wielu innych wierzeń. Cała różnica to to, że jego wyznawcy czczą Szatana, a nie Boga. W dzisiejszych czasach w Anglii mamy ponad czterysta znanych zgromadzeń. Czy pan zatem w to wierzy, jest całkowicie nieistotne. Satanizm istnieje.

- Ale magia?

- Niektórzy nazywają ją nauką umysłową. Crowley dał wiele przykładów mocy swojego umysłu, a większość z nich zwrócona była ku złu. Sam pan był świadkiem tego, jaką władzę posiada Goswell nad tymi nieszczęsnymi duchami i jego kontroli nade mną. Jak pan może temu zaprzeczać? No i jest jeszcze kwestia pańskiego ocalenia.

Keller zmuszał swe oczy do patrzenia na drogę przed nim, lecz ostatnia uwaga medium uderzyła go.

- Co pan przez to rozumie?

- Jak pan sobie wyobraża, dlaczego udało się panu przeżyć taki wypadek, podczas gdy wszyscy inni zginęli? Nie może pan uwierzyć, że ocaliły pana jakieś dziwne moce?

- Dlaczego mnie? Czemu akurat ja?

- Nie wiem. Może pan był jedyną osobą zdolną do osiągnięcia tego, czego oni pragną. - Hobbs popadł w milczącą zadumę. Keller z roztargnieniem prowadził dalej, wstrząśnięty tym, co usłyszał.

Hobbs znowu zaczął mówić. Powoli, rozważnie.

- Powiedział pan, że ostatniej nocy głosy mówiły o bombie. O Goswellu nic nie było słyhać od lat - ostatnim razem wspomiano o nim piętnaście lat temu i wieść głosiła, że założył nową sektę religijną w Stanach. Sam pan się domyśla, jakiego rodzaju była to sekta. Mimo to miał jednak w tym kraju wielu wrogów, szczególnie wśród Żydów, którzy nawet po trzydziestu paru latach od zakończenia wojny domagają się ukarania winnych zbrodni, popełnionych na ich narodzie. Przypuśćmy teraz, że dowiedzieli się, iż cichcem wkradł się z powrotem do Anglii prawdopodobnie po to, by czynić jeszcze więcej zła niżli w dawnych czasach. Uczynili, co tylko było w ich mocy, aby wyrównać stare rachunki.

- Sądzi pan, że podłożyli bombę? Zabijając jednocześnie tych wszystkich Boga ciucha winnych ludzi?

- Widzieliśmy już, do czego zdolni są fanatycy tego świata, panie Keller. Niewinni, niezależnie od tego, jak wielu ich jest, nie przeszkadzają maniakom w ich planach zemsty.

- No i?

Hobbs głęboko wciągnął powietrze.

- A co, jeśli został pan ocalony, aby pomścić śmierć Goswella?

- To wariactwo! - samochód niebezpiecznie zarzucił i Keller opanował go z wysiłkiem. Kiedy już to zrobił i kiedy umilkły klaksony innych rozszluszonych kierowców, powiedział;

- Jeżeli był tak potężny, czemu nie ocalił siebie samego?

- Ponieważ był stary. Za stary na to, by odszukać morderców i dokonać zemsty. Potrzebował kogoś młodszego.

- To niedorzeczne! Nawet jeśli znalazłbym tego, kto jest za to odpowiedzialny, dlaczego miałbym coś robić? Jeżeli Goswell jest tak zły, jak pan go opisuje, z pewnością chciałby, żebym go zabił, a ja w życiu bym tego nie zrobił.

- Może pan nie mieć żadnego wyboru. Sam pan widział, co się mnie przytrafiło.

- Ale pan nawiązał kontakt z duchami. Otworzył się pan przed nimi.

- Zgadza się, zesłej nocy to zrobiłem. Ale kiedyś nie uczyniłem tego, a jednak duch zdołał nade mną zapanować. Przyszła raz do mnie kobieta, której mąż popełnił samobójstwo po odkryciu, że go zdradzała. Prosiła mnie, abym nawiązał kontakt z jej mężem, żeby mogła błagać go o przebaczenie. Widzi pan, ona naprawdę go kochała. W tym czasie byłem potężnym medium... zbyt potężnym. Skomunikowanie się z duchem zmarłego okazało się bardzo łatwe. Z początku wydawał się rozstrojony, ale chętnie wybaczył żonie. Pod jednym warunkiem: musiała kontaktować się z nim regularnie za moim pośrednictwem.

Gotów byłem pociągnąć seanse przez jakiś czas, mimo że zazwyczaj zniechęcałem klientów do zbyt wielu takich wizyt - żywi zbyt się od nich uzależniali. Ale w tym przypadku czułem, że sprawa jest tego warta. Przez pewien czas wszystko szło dobrze - zmarły wydawał się miłym gościem, uprzejmym, pełnym zaufania. Nie zorientowałem się, że po prostu grał na

czas, rozwijając swe moce po tamtej stronie, wzmacniając łączącą nas więź.

Pewnego wieczoru przejął moje ciało i rzuciłem się na jego żonę. Widzi pan, jedyne, czego pragnął, to zemsta. Chciał dokonać czegoś, na co za życia zawsze brakło mu odwagi! A ja byłem jego narzędziem. Na szczęście kiedy ją dusiłem, przebudził się mój duch i przegnał złego intruza. Dzięki Bogu, że kobieta nie wniosła przeciw mnie oskarżenia, ale wyglądało na to, że zrozumiała, co się stało - może jej sumienie uznało, że na to zasłużyła. W trzy dni później popełniła samobójstwo, mąż zatem w końcu został pomszczony. Po tym wypadku zaniechałem praktyk. Stałem się zbyt czuły na wpływy.

Keller zaryzykował szybki rzut oka w stronę medium. Mój Boże, czy on zwariował, czy ja? Pragnął zatrzymać samochód i wykopać sąsiada, ale coś w niewzruszonym spokoju Hobbsa powstrzymało go przed tym. Spirytystą spojrzął na niego i Keller poczuł raczej niż zobaczył bolesny uśmiech smutku skryty pod bandażami.

- Wciąż pan nie wierzy, prawda?

- Sam już nie wiem - odparł Keller. - To wszystko jest zbyt nieprawdopodobne. Niech pan mi da trochę czasu, na oswojenie się. Wszystko dzieje się tak szybko.

- Sęk w tym, że nie mamy czasu, panie Keller. Może się myłę co do Goswella, to tylko teoria. Gdyby jednak pan go naprawdę znał, znacznie łatwiej by mi pan uwierzył. Nie ma pan pojęcia o potędze zła. Toteż szanuję pańską niewiarę i rozumiem ją. Mam jednak nadzieję, że dzisiejsza noc odpowie na wiele pytań.

Keller ujrzał drogowskaz na Colnbrook i zjechał na wewnętrzny pas. Opuścił autostradę i skręcił na rondzie w stronę Datchet. Droga była ciemna, a nieobecność innych aut nieco go niepokoiła.

Jechali w milczeniu, Keller jeszcze bardziej zagubiony, niż zwykle, Hobbs zamyślony i odczuwający coraz większy lęk przed czekającą ich nocą. Sam podjął decyzję, aby wrócić na miejsce wypadku, tam gdzie duchy były najsilniejsze i najłatwiej było się z nimi skontaktować. Czy decyzja ta była jednak rozsądna? Wiedziała, że między duchami panował konflikt i miał nadzieję, iż zdoła pomóc dobrem w przewyciężeniu zła. Dotąd

nie powiedział Kellerowi, że będą potrzebować księdza, obawiał się bowiem reakcji młodego pilota. Ale Hobbs doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że potrzebna im będzie wszelka możliwa pomoc.

Zorientował się, że jego teoria i historia, którą opowiedział, poniekąd naruszyły wiarę Kellera w niego. Nie miał jednak innego wyjścia: młody człowiek musiał wiedzieć, jakie siły wchodziły w grę. Czego jednak nie chciał przyznać nawet przed sobą, nie mówiąc już o pilocie, to fakt, że się go bał. Była w nim jakaś niepokojąca moc, coś nieuchwytnego, nieokreślonego. I, pomimo jego widocznego zmieszania, czuł w nim wielką siłę. Siłę, której tej nocy obaj będą bardzo potrzebować.

Minęli Datchet i skręcili w lewo, w Eton Road. Keller przełączył światła na długie. Reflektory oświetliły przydrożne drzewa, które w ich blasku wyglądały niczym niezwykła płasko-rzeźba. W miarę jak zbliżali się do Eton i wraku, pilot uspokajał się stopniowo. Wszelkie wątpliwości, obawy, lęki zdawały się go opuszczać, uciekać wraz z umykającymi milami. Może to dlatego, iż wiedział, że w końcu ma do zrobienia coś ważnego, znaczącego. A może przekroczył już granicę szoku i osiągnął ów stan, w którym można jedynie reagować i gdzie emocje czy wahania nie grają żadnej roli.

Skręcając w Windsor Road ujrzał przed sobą światła Eton College. Przejechali przez garbaty mostek i znaleźli się między pierwszymi, wysokimi zabudowaniami uczelni, gdy nagle Hobbs zacisnął rękę na jego ramieniu.

- Stać! - zakomenderował.

Stag zahamował z wizgiem opon. Keller pytająco patrzył na swego pasażera, ten zaś uniósł dygocącą dłoń i wskazał palcem naprzód, w stronę centrum miasteczka.

- Nie widzi pan?

Keller nachylił się ponad kierownicą i intensywnie wpatrzył w przednią szybę. Przeniósł wzrok na Hobbsa. Nie dostrzegł nic specjalnego poza światłami High Street.

- Tam, człowieku, nad miastem!

I wreszcie, stopniowo, oczy Kellera zobaczyły to.

Nad Eton wisiała poświata. Delikatna pulsująca łuna, tak blada i subtelna, że Keller aż mrugał oczami, by upewnić się, że

nie jest złudzeniem wywołanym nagłym zamgleniem wzroku. Zdawała się zmieniać swą jasność - w pewnych miejscach wyglądała jak cienka warstwa lśniącej mgły, w innych zaś niemal jak skupiska gwiazd. Nie dało się określić jej rozmiarów, gdyż nie można było oszacować odległości. Keller mógł jedynie zgadywać, że miała gdzieś od stu do pięciuset metrów długości. Jej kształt zmieniał się bezustannie, strzępiaste krańce przypominały chmurę rozdartą na brzegach przez nieprzyjazny wicher.

- Co to jest? - krzyknął ze zgrozą w głosie.

Przez moment Hobbs nie był w stanie odpowiedzieć. Potem, zduszonym głosem, wyjąkał:

- Czekają na nas. Zmarli nas oczekują.

Rozdział 15

Kulił się w mroku, starając się zachować całkowitą ciszę. Ciężki płaszcz i gruby wełniany szalik niezbyt dobrze chroniły jego stare kości przed chłodem, nie śmiał jednak rozpałić ognia. Zbyt łatwo mogliby go dostrzec.

Powoli poruszył oczami, powieki których podtrzymywane były w pozycji otwartej pionowymi paskami plastra. Wyglądało to bardzo dziwnie. Ruszały się same oczy, głowa nawet nie drgnęła, gdy zaglądał w każdy ciemny kąt pokoju - nie, jeszcze ich nie ma. Ale przyjdą. przybywali co noc, nieraz też za dnia. Słyszał, jak szepczą między sobą, czasem też dochodził go ich śmiech. Wiedział, że chodzi im o niego, ale dopóki będzie ukrywał się w ciemności i siedział cicho, nigdy go nie znajdą. Ścisnął mocniej między udami czarną dubeltówkę, wycelowaną w sufit. Uśmiechając się do siebie przesunął pieszczotliwe palcami wzdłuż jej gładzi, w dziwnie seksualnym geście, napawając się jej zinnem, jej siłą. Ona ochroni go przed nimi, nic nie mogło się oprzeć tej wybuchowej sile, nic, nawet ci, którzy już nie żyją. A oni przecież nie żyją, czyż nie?

Z początku przerazili go, kiedy przyszli w nocy, nawołując go, szydząc. Ale nie mogli go dotknąć! Pojął to, kiedy ustąpił pierwszy przestрах. Tworzyć obrazy, krzyczeć, nawet próbować wedrzeć się do jego umysłu - to mogli, lecz nie byli w stanie zranić go fizycznie. Bo nie byli z tego świata - byli niematerialni.

Wiedział, że chcą doprowadzić go do obłędu, był jednak na to zbyt przebiegły. On parę miesięcy temu nazwał go szaleńcem, ale też on zapłacił już za to. I za inne rzeczy. On był pomiędzy nimi,

był jednym z głosów. Chciał się zemścić. Mężczyzna skryty w ciemności, ściskający strzelbę, zaśmiał się w głos, po czym błyskawicznie zdusił ten dźwięk. Nie wolno pokazać im, gdzie jestem. Nie wolno pokazać jemu.

On zapłacił za swoją zdradę, śmierć była jego ceną. Inni, którzy zginęli wraz z nim, byli nieważni, ich życie nie przedstawiało sobą żadnej wartości. Cieszył się, że wciąż jeszcze cierpią - śmierć nie uwolniła ich od mąk. A on cierpiał wraz z nimi. To dobrze.

Tak, na początku przerazili go, przerazili tak bardzo, że nie odważył się wyjść z domu. Znalazł jednak wyjście - zamknął się wewnątrz, z daleka od miejsc, gdzie łatwo mógł się zdarzyć jakiś wypadek, daleko od ludzi, którzy mogli go skrzywdzić. Napisał do kompanii, swojej kompanii, którą sam stworzył, i poinformował ich, że przez jakiś czas będzie wycoczywał, wróci zaś, kiedy poczuje się do tego zdolny. Cóż, prawdopodobnie byli z tego zadowoleni - czyż przedtem sami go do tego nie zachęcali?

Uśmiechali się i z jego ust dobył się chichot. Przycisnął dłoń do warg i rozejrzał się ostrożnie.

Firma wysłała kogoś, żeby się z nim spotkał, ale kiedy nie otwierał drzwi, facet poszedł sobie w końcu. Ten sam gość wrócił potem kilkakrotnie, wreszcie zrezygnował. Wszyscy w końcu zrezygnują, nawet głosy. Jakże się starali, ci martwi. Ale moja wola jest znacznie silniejsza niż ich. Och, jakże są sfrustrowani! Głupcy. Czy sądzili, że same zjawy, słowa, myśli mogą mnie zranić? To wszystko jest tylko w umyśle, a mój umysł jest mocniejszy od ich. I bardziej przebiegły.

Głosy zapowiedziały, że ktoś po niego przyjdzie, że oni go przyślą. Ha! Czy naprawdę myśleli, że to wystarczy? Faktycznie, przyszedł tu - kiedy to było? Dziś? Wczoraj? Wszystkie dni złały się w jedno. Przez okno sypialni zobaczył nadchodzącego mężczyznę, a kiedy ten popatrzył w górę, ukrył się za kotarą. Dzwonek, jak mu się zdawało, dźwięczał całe lata i upór mężczyzny zirytował go. Potem usłyszał jego kroki okrążające dom, zmierzające na tyły. Bezszelestnie jak zwierzę przekradł się na dół korytarzem i zatrzymał przed kuchennymi drzwiami, aby posłuchać. Mężczyzna, kimkolwiek był, dobijał się do tylnych drzwi, łomocząc klamką.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie otworzył drzwi do kuchni i wśliznął się tam. Poprzez podwójną matową szybę widział cień mężczyzny. Zasłony na oknie, podobnie jak wszystkie inne w domu, były zasunięte, toteż intruz nie mógł go dostrzec. Stał koło stołu, wstrzymując oddech, podczas gdy cień odszedł od drzwi i niespodziewanie pojawił się w oknie. Stał się nagle bardziej rzeczywisty, kiedy postać przysunęła się do szyby, starając się zajrzeć do środka przez małą szparę między zasłonami.

Nagle uświadomił sobie, że zostawił strzelbę na łóżku w sypialni. Byłoby to takie łatwe, tak przyjemne, strzelić przez szybę i ujrzeć, jak cień na sekundę staje się żywym ciałem, po czym znika za parapetem, rozdarty wystrzałem. Lecz odprężył się i uśmiechnął szeroko zobaczywszy nóż do Chleba, leżący na stole obok czerstwego bochenka. Zabrał go i podszedł do ściany obok okna tuż przed tym, nim widmowa ręka sięgnęła w górę i wcisnęła coś cienkiego między obie połówki okna. Usłyszał cichy trzask, kiedy ustąpił haczyk.

Uniesione okno zaskrzypiało, jakby protestując i gwałtownie ustał wszelki ruch. Znowu przesunęło się w górę, tym razem jednak wolniej, z większą ostrożnością. Zasłony rozdzielili się i pojawiła się stopa. Zauważył, że podeszwa oblepiona jest zeschniętym błotem, jak gdyby jej właściciel spędzał swój czas na marszach przez podmokłe pola. Pamiętał, jakie to dziwne, zauważyć coś tak trywialnego, kiedy za chwilę miało się pozbawić kogoś życia.

Za stopą pojawiła się noga. Jego oddech stał się głośniejszy, aż w końcu był pewien, że mężczyzna go usłyszy. Nagle przejmujący ból ścisnął rękę, która trzymała nóż, tak że o mały włos nie upuścił broni. To część jego choroby - nagły paraliż, który pojawiał się i znikał. Wiedział, że kiedyś pozostanie. Kosztował go już utratę kontroli nad mięśniami powiek. Sięgnął drugą ręką i zacisnął ją na nożu, kierując go ostrzem ku górze. Ręka natychmiast rozluźniła się i raz jeszcze krew popłynęła przez nią bez przeszkód.

Przez okno wsunęły się do środka ramiona i głowa mężczyzny. Intruz zatrzymał się i spojrzał naprzód, wprost na otwarte drzwi kuchenne. Nagle jakby wyczuł jego obecność, ale było już

O wiele za późno. W tym momencie, kiedy głowa obcego miała już obrócić się i spojrzeć w jego stronę, spuścił zeszywniałą lewą rękę i złapał włosy mężczyzny, szarpiąc je ostro w górę, podczas gdy druga ręka przejechała nożem wzdłuż odkrytego gardła i cofnęła się gwałtownie, przecinając głęboko szyję.

Krew chlusnęła na podłogę kuchni. Mężczyzna opadł na przód, jego ciało zwisło miękko, wciąż jeszcze rozkraczone na parapecie. Chwycił je za marynarkę i pociągnął w głąb kuchni.

Słumił chichot, gdy pomyślał o zwłokach na dole. Usadowione na krześle przy kuchennym stole, dla całego świata wyglądały po prostu, jakby mężczyzna mimo woli przysnął w trakcie przekąski.

- Czy tylko na tyle was stać? - rzucił szyderczo w pustą przestrzeń. - Czy to był wasz posłaniec? No, teraz przyłączył się do was, prawda? - zaśmiał się w głos, wiedząc, że to jeszcze nie ich ostatnie słowo, ale napawając się grą.

Lecz nastrój ten nie potrwał długo. Gdy noc stawała się coraz cichsza i cisza ta niemal dzwoniła w uszach, mróz zaś raz jeszcze począł kąsać jego ciało, strach pokonał jego szaleństwo, przebijając ochronną barierę obłądu. Na początku były to maleńkie dziurki, potem jednak zaczęły się łączyć i rosnąć, aż wreszcie przełamały obronę. Ciało poddało się paraliżowi, należącemu do jego choroby, i zeszywniało, niezdolne, by się poruszyć. Jedynie oczy żyły, przeskakując z jednego kąta w drugi, szeroko otwarte dzięki dwóm kawałkom plastra przytrzymującym opadające powieki. Z rozszerzonych źrenic ziała rozpacz. To minie, wiedział, ale na razie był całkowicie bezradny.

Trwał tak, skulony w ciemnym pokoju i czekał na to, co przyślą tym razem.

Rozdział 16

Wielebny Biddlestone niespokojnie wiercił się we śnie, aż wreszcie jego noga kopnęła pustą filiżankę i spodek, stojące przy sofie. Na brzęk porcelany obudził się gwałtownie i przez moment nie mógł się w sennym otępieniu zorientować, gdzie się znajduje. Usiadł i wzrok jego padł na płomień przed nim, kontynuację jego snu. odetchnął z ulgą, kiedy blask ognia oświetlił znajome przedmioty i meble jego własnego gabinetu. Musiał przysnąć po wyjściu pani McBride, gospodyni. Kochana niewiasta krzątała się koło niego niby kwoka: rozpalila ogień na kominku, przyniosła herbatę i dwa pyszne domowe placuszki, wytrzepała poduszki tak, aby mógł ułożyć się wygodnie. Zdrzemnął się, kiedy wyszła - żar ognia musiał spotęgować jego wyczerpanie.

Nie mógł spać długo - płomień wciąż jeszcze trzaskały wesoło. O dziwo jednak, nie dawały ciepła i w pokoju zrobiło się nieprzyjemnie zimno. Widział nawet parę, unoszącą się z jego ust podczas oddechu. Dziwne. A sen był tak potworny. Znów śnił o nocy katastrofy. Szedł wśród ofiar, udzielając Ostatniego Namaszczenia. Tym razem jednak pole płonęło, stapał przez ogień, błogosławiąc i pocieszając rannych i okaleczonych. I wszystkie ofiary żyły, cierpiąc straszliwe męki, błagając o wybaczenie, o zmiłowanie.

Wzdrygnął się na to wspomnienie. Biedne, nieszczęśne dusze. Jednego był pewien: wiele z nich wciąż jeszcze nie znalazło spokoju. To „coś”, które widział w kościele, było po prostu obrazem umęczonej duszy. Ohyda twarzy była tylko wytworem

jego własnej wyobraźni, atmosfera zła, którą roztaczała, to po prostu projekcja strachu, odczuwanego przez niego samego. Zrozumiał to po swym śnie. Płomienie symbolizowały ich męki, męki, które jeszcze trwały. Błagali o uwolnienie z tego czyśca. A on pomoże im odnaleźć ukojenie poprzez modlitwę.

Pastor nie wiedział, co w tym właśnie momencie przyciągnęło jego wzrok do okna, ale widok spoglądającej na niego drobnej, bladej twarzy nie zaskoczył go tak bardzo, jak powinien. Zupełnie jakby podświadomie oczekiwał jej.

Uniósł się z sofy i brzęk raz jeszcze wywróconej filiżanki sprawił, że gwałtownie odwrócił wzrok. Kiedy z powrotem podniósł go ku oknu, twarz zniknęła. Podeszedł tam szybko i oparł się ciężko o czarną szybę, osłaniając oczy przed odbitym blaskiem płomieni. Jego oddech na szkle natychmiast przesłonił mu widok, toteż pośpiesznie przetarł szybę i na moment wstrzymał powietrze w płucach.

W ciemności na zewnątrz, na krańcach jego ogrodu, czekała drobna figurka. Wyglądała jak dziecko i zdawała się ścisnąć coś w ramionach. Postukał w okno i skinął na dziecko, aby podeszło. Figurka jednak pozostała na swoim miejscu, nieporuszona.

Pastor wyprostował się i w pośpiechu wyszedł z pokoju, kierując się do tylnych drzwi. Zanim jednak odsunął zasuwę i otworzył je, dziecko zniknęło. Stał tak przez kilkanaście sekund, wpatrując się w ciemność, niewrażliwy na nocny chłód. Wstąpił na ścieżkę, przeszedł przez ogród, uważając, by nie nastąpić na pokryte szronem klomby, i przystanął przy żywopłocie na tyłach. Zerknął ponad nim. Widział wrak samolotu na przyległej łące, oświetlony przez dwie niewielkie lampy - parę latarni morskich wśród nocy. Odwrócił się w rozpacz. Jego serce drgnęło na widok bladej, widmowej sylwetki tuż przy domu, oddalającej się od niego. Szybkim krokiem podążył za nią, lecz figurka zniknęła w przejściu prowadzącym do kościoła. On także minął je i raz jeszcze się zatrzymał, szukając wzrokiem dziecka.

Ujrzał je całkiem blisko, czekające na niego. Odległość była tak niewielka, że mógł stwierdzić, iż jest to mała dziewczynka, w wieku około sześciu, siedmiu lat, nie więcej. Oczywiście

w katastrofie zginęło kilkoro dzieci, przypomniał sobie jednak, że czytał o dziewczynce towarzyszącej matce - pisarce. Miała sześć lat. Jak jej było na imię? Nie pamiętał. Ale wiedział, że nie odnaleziono jej zwłok, a przynajmniej nie zdołano ich rozpoznać. Czy mógł to być duch tej biednej, małej istotki, wędrujący bez celu po polach, małeńka duszyczka, szukająca swej matki? Z litością wyciągnął do niej rękę, lecz ona odeszła ścieżką, zwrócona doń plecami. Już nie oglądała się, by sprawdzić, czy dalej idzie za nią.

Wielebny Biddlestone szedł jednak, a współczucie dla zapomnianej duszy stłumiło wszystkie wcześniejsze obawy. Zniknęła w kruchcie z boku kościoła, małym wejściu, z którego sam najczęściej korzystał w dni powszednie. Pobiegł naprzód wiedząc, że drzwi są zamknięte, a duszyczka znalazła się w pułapce. Ale kiedy tam dotarł i stanął w wejściu, oddychając ciężko po nagłym wysiłku, zobaczył, że drzwi do kościoła są otwarte i wylewa się przez nie migotliwe światło.

Nogi miał jak z ołowiu, lecz dalej szedł naprzód, nieodparcie przyciągany przez to wejście, przez niestały blask. Powrócił doń stary strach. Teraz, kiedy już było za późno na odwrót, chwycił go dreszcze.

Gdy wspiął się na kilka schodków prowadzących do otwartych drzwi, stwierdził, że źródłem światła są świece, których płomyki wysyłały w powietrze spirale czarnego dymu i wypełniały kościół gryzącym zapachem wosku. Nawet ich połączone mu blaskowi, wciąż jeszcze żałośnie nikłemu, nie udało się oświetlić ogromnego wnętrza, toteż znaczną część nawy skrywały cienie, a prezbiterium i kaplica pogrążone były w całkowitym mroku. Pastor niepewnie wkroczył do kościoła. Pragnął odwrócić się i uciec, lecz wewnątrz przyciągało go z ogromną siłą. Dziewczynka klęczała przy ołtarzu; lalka, którą dotąd trzymała przy piersi, leżała teraz na podłodze, przytrzymywana za jedno ramię. Pełen smutku skierował się w jej stronę, z wzniesionymi w geście współczucia ramionami.

- Pozwól, że ci pomogę, dziecko - powiedział z litością.

Zanim jednak do niej dotarł, coś jeszcze wychyńnięło z cienia. Coś poczeriałego, coś, co zanosilo się potwornym chichotem.

Jego nozdrza wypełnił ohydny smród palonego ciała. Zamarł

w miejscu, wciąż jeszcze z wyciągniętymi rękami. Spoglądał w tę samą zwęgloną twarz, te same zwęglone dziury, w których powinny być oczy. ten sam wykrzywiony otwór ust, kryjący jedynie cienki, kruchy płat spieczonego ciała - szczątek języka. Przed nim stały spalone resztki zwłok, które spotkał w kościele tamtego dnia.

Wielebny Biddlestone w przerażeniu opadł na kolana. Z jego ust dobywały się ciche piski, kiedy otwierał je i zamykał, desperacko próbując krzyczeć, zawołać kogoś - zrobić cokolwiek, co mogłoby rozładować nieco to narastające w jego wnętrzu napięcie. Oderwał wzrok od zwęglonej postaci i żałostnie spojrzął na dziewczynkę. Ona z pewnością mu pomoże, doda sił, aby mógł uciec od tej okropności, niewątpliwie to zrobi, czyż nie? Obróciła się, by na niego spojrzeć, i ujrzał, że sukienka zwisa w popalonych strzępach wokół jej ciała. Twarz nie wyrażała współczucia. Dziecko nie miało twarzy. Usłyszał jednak jej chichot, ramiona dziewczynki drgały w uciesze - tylko że dźwięki dochodziły z szyderczo wygiętych ust leżącej u jej boku lalki. Plastikowa twarz była przypalona i nadtopiona, lecz jej oczy, wielkie i okrągłe, spoglądały nań z niezwykłą siłą. Śmiech dziewczynki niemal czynił ją żywą istotą.

Z mroku wyłaniały się inne czarne kształty. Niektóre czołgały się, brakowało im bowiem rąk i nóg. Ich głosy odbijały się echem od kamiennych ścian kościoła, ciche, mamroczące, prawie szepty. Wolno przybliżały się do niego, każdym przejściem między ławkami. Tak wiele.

Cofnął się i upadł na bok. Postać z ołtarza, ta najbliższa stworu, który niegdyś był dziewczynką, podeszła bliżej i nachyliła się. Dławiąca woń spalonego mięsa wywołała u pastora gwałtowne wymioty.

- No, Sługo Boży, czy przybyłeś nas ocalić? - głos był niski, syczący, z trudem dobywał się przez zwęglone struny głosowe. Ale śmiech, który po nim nastąpił, zabrzmiał jeszcze gorzej.

Pastor próbował odczołgać się od dziecka, jednak jego ciało nie słuchało go. Kształty zgromadziły się teraz dokoła, spoglądały w dół, wiele z nich niewidzącymi oczami. Dziewczynka przepchnęła się przez tłum, ściskając lalkę, używając jej oczu zamiast własnych.

Usłyszał, jak jeden z nich pyta:

- Czy to on?

- Nie - wyszeptał drugi - to nie ten.

Mógł już dostrzec szczegóły, tak wiele obrzydliwych szczegółów: rzadkie kępki, wiszące na gołych czaszkach, wargi spalone i odsłaniające w uśmiechu wyszczerzone, poczerniałe zęby, ręce, które nie miały palców, ciała rozdarte tak, że widać było wnętrzości, ruchliwe od rojących się insektów.

- Wielki Boże, pomóż mi! - zdołał wykrztusić, po czym głos jego urósł do krzyku: - Pomóż!

Przekęcił się na brzuch i podciągnął kolana tak, że znalazły się pod nim. Nachylił głowę do samej kamiennej posadzki i wtulił ją w ramiona, zakrywając uszy i policzki. Kwiląc w głos, pchał swe ciało naprzód, zostawiając na podłodze mokrą smugę łez, przepychał się między nogami otaczających go ohydztw, cał po cał. Nie starczyło mu sił ani odwagi, by podnieść się i przejść między nimi. A oni cały czas wyśmiewali się z niego, poszturchiwali zwęglonymi pieńkami palców i drwili z jego tchórzostwa. Dźwięki przenikały mu głowę, wypełniały kościół, ściagały go. Uniósł dłonie do uszu i podniósł głowę, z całej jednak siły zaciskając powieki. Dźwignął się na kolana, kierując twarz ku sufitowi.

- Nie! - krzyknął. - Nie!

Głosy umilkły. Zamarł wszelki ruch. Powoli otworzył oczy i opuścił twarz. Wszyscy kierowali teraz swój wzrok ku drzwiom, na stojącego w nich mężczyznę.

- Pomóż mi - wyszeptał błagalnie. Lecz jego przyjaciel, Ian Filbury, był w stanie jedynie przyglądać się z przerażeniem scenie wewnątrz kościoła.

To był ciężki dzień dla konstabla Wickhama, dzień, który napiął jego nerwy prawie do granic możliwości. Świadom był napięcia narastającego wokół, atmosfery ogólnego podenerwowania panującej w mieście. Wiedział, że w takich przypadkach nie można zrobić nic, poza czekaniem, aż wzrastające ciśnienie doprowadzi do wybuchu, potem zaś szybko wkroczyć i rozprawić się z tym najlepiej, jak kto umie. Nie był całkiem pewien,

czego się spodziewa, miał jednak nadzieję, że eksplozja nastąpi po jego służbie. To była długa zmiana, a jego własne zaniepokojenie niewyobrażalnie ją wydłużyło. Dodatkowa forsa, którą zarobił, przyda się, to prawda, lecz zdecydowanie wolałby brać udział w jakiejś ciekawej akcji albo przynajmniej czymś, co pozwoliłoby na działanie. Tygodnie spacerowania w kółko po tym polu i pilnowania wraku, jakby to była cholerna posiadłość arystokraty, doprowadziły go na skraj wytrzymałości. Jeszcze tylko godzina, a potem do domu. Ogień na kominku, dobry posiłek, parę godzin telewizji. To powinno go wreszcie uspokoić. I wtedy nadeszła chwila, której tak się obawiał. Aż podskooczył, kiedy doszły go krzyki wzywające pomocy na drugim końcu pola.

- Słyszałeś, Ray? - zawołał do swego towarzysza, który krążył gdzieś w pobliżu, nie spuszczać czujnego oka z granic łąki.

- Tak, Bob, słyszałem - odpowiedział drugi policjant. Włączył latarkę i ciężkim krokiem podszedł do konstabla.

- Myślę, że to gdzieś stamtąd - dodał, wskazując północny skraj pola.

- Nie, nie, stamtąd - zaprzeczył Wickham, machając ręką w kierunku wschodnim. Jego domysł potwierdził się po chwili, gdy okrzyk powtórzył się.

- To gdzieś w okolicy plebanii! Jazda, Ray, lecimy tam.

Dwaj policjanci ruszyli przez pola, świecąc przed siebie latarkami. Ich buty łomotały o twardą ziemię.

- Prędko, tutaj! - usłyszał czyjś krzyk.

Konstabl Wickham zobaczył sylwetkę, wskazującą im bramę wiodącą do kościoła. Oświetlił latarką mężczyznę i rozpoznał go ze zdumieniem.

- Pan Filbury, nieprawdaż? Co się stało, proszę pana? - zapytał, zatrzymując się przed furtą. Ray dołączył do niego, jego latarka wzmocniła jeszcze strumień światła, w którym skąpana była twarz urzędnika Rady.

- Dzięki Bogu! Wiedziałem, że ktoś będzie pilnował wraku - wysapał Filbury, osłaniając ręką oczy.

- Czy to pan, Wickham?

- Tak, proszę pana, konstabl Wickham. Co się dzieje?

Filbury obejrzał się przez ramię w stronę kościoła i obaj policjanci podążyli za jego wzrokiem. Ujrzeni nagle światło, dobywające się z bocznego wejścia.

- To wielbny Biddlestone. Proszę mi pomóc - Filbury otworzył furtkę i wpuścił konstabla Wickhama, przepuszczając go przed sobą.

- Obawiam się, że to znów się zdarzyło - powiedział, trzymając się blisko policjanta. Konstabl nie zadał sobie nawet trudu zapytania, co takiego znów się zdarzyło. Dotarli już do wejścia i wiedział, że za chwilę sam się przekona.

Wszedł na parę stopni i przystanął w drzwiach. Pozostała dwójka wpadła na jego szerokie plecy. Na jego twarzy malowała się konsternacja.

Pastor kulił się na podłodze kościoła, spoglądając na nich z wybałuszonymi oczami i poszarzałą twarzą. Klęczał, podpierając się jedną ręką, podczas gdy druga w przerażeniu zaciskała się na jego ustach i brodzie. Całym ciałem wstrząsały nie kontrolowane dreszcze i drgawki, twarz lśniła od łez i ściekającej śliny. Srebrzyste włosy uniosły się i zeszywniały niczym zarost. Z ust dobywał się nieustanny, niezrozumiały bełkot.

- Dobry Boże! - było to jedyne, co zdołał powiedzieć konstabl Wickham, kiedy oświetlił latarką przycupniętą postać.

Głos Filbury'ego drżał z emocji.

- W takim stanie znalazłem go tu parę minut temu. Samego w kościele, skulonego, przerażonego. Musiał właśnie zapalać świecę, gdy, gdy... - głos Filbury'ego załamał się nagle.

- Biedny Andrew - zdołał jedynie wykrztusić.

- Cholerne załamanie nerwowe - powiedział konstabl Wickham bardziej do siebie niż do innych. - Wygląda na to, że tym razem to już chyba na dobre.

Z litością pokręcił głową, po czym zmarszczył nos czując dziwną woń, wiszącą w powietrzu.

- Śmierdzi tu, jakby w dodatku jeszcze coś palił - stwierdził. Był to ohydny, wzbudzający mdłości smród, i coś mu on przypominał. Spotkał się już z tą wonią i z trudem opanował żołądek, gdy przypomniał sobie, kiedy i gdzie to było. W noc katastrofy. Pośród płomieni.

Był to swąd palonego ciała.

Rozdział 17

Przekonanie księdza o szczerości ich zamiarów i o tym, że są normalni, zajęło Kellerowi i Hobbsowi grubo ponad godzinę. A nawet teraz ojciec Vincente nie był tego całkiem pewien.

Pamiętał młodszego mężczyznę z nocy wypadku, potem zresztą wielokrotnie widywał jego podobizny w licznych artykułach prasowych na ten temat. Był drugim pilotem Jumbo Jeta i jedynym, który przeżył katastrofę. Ksiądz przekonany był, że nigdy przedtem nie spotkał tego drugiego, którego usta, podbródek i część nosa pokrywały bandaże. Było w nim jednak coś niepokojącego, i to nie tylko poraniona twarz. Te jego przenikliwe, szare oczy. Ich spojrzenie było tak ostre, tak przeszywające, przebijało każdą ochronną otoczkę, którą normalny człowiek odgradza się od świata. To te oczy, bardziej niż cokolwiek innego, wpłynęły na jego osąd.

Z początku Keller niechętny był mieszanii w sprawę księdza, Hobbs jednak cierpliwie wyjaśnił, że często obecność duchownego okazuje się niezbędna podczas walki z tak potężnymi złymi siłami. Moc zła można zwalczać jedynie mocą dobra - a większość duchownych władała tą siłą.

Kiedy skierowano ich do katolickiego kościoła, z zaskoczeniem stwierdzili, że przycupnął on za High Street, naprzeciw Południowych Błoni - pól, na które spadł 747. Gdy zaś wysiedł z auta na pobliskim parkingu, Keller z jeszcze większym zdumieniem zauważył sylwetkę kościoła protestanckiego, odcinającą się czarno na tle nocnego nieba i odległą zaledwie

o kilkaset metrów. Następnie zwrócił spojrzenie na wrak, wciąż jeszcze spoczywający na łące, oświetlony niesamowitym blaskiem dwóch reflektorów, od czasu do czasu przesłanianym cieniami pilnujących go policjantów. Patrząc w górę stwierdził, że migotliwa chmura wisi dokładnie nad polem.

Kościółek był dość oryginalny - dokładna miniatura rzymskiej bazyliki. Keller nie był przygotowany na spokojne piękno jego wnętrza. Ostatni raz przebywał w świątyni wiele lat temu. Pogrzeb ofiar katastrofy odbywał się na wolnym powietrzu, przypuszczano bowiem (słusznie zresztą), że zgromadzi tłumy ludzi.

Zaskoczyło go więc nagle ciepło, które przez niego przepłynęło. Religia, choć właściwie nic do niej nie miał, nigdy specjalnie go nie zajmowała, a Cathy, która była dość religijna, chociaż też raczej prywatnie, nigdy nie starała się na niego wpłynąć. Uważała zawsze, że każdy człowiek odnajduje w końcu swą własną wiarę, i choć można nim czasem delikatnie kierować, to w żadnym razie nie można go do niczego zmuszać. Teraz jednak zaczął rozumieć otuchę, którą inni czerpali z wiary. Kiedy tylko wszedł do kościoła, poczuł nagły przypływ ducha. Spokój, odczuwany już od wczoraj, powiększył się i niby fala narkotyku zalał jego ciało. Doświadczenie było niezwykle i zarazem wzbudzające cichy lęk. Nie oznaczało to nagłego przełomu, gwałtownego nawrócenia na wiarę w Boga - nie, nic tak dramatycznego. Po prostu nowo odkryte ukojenie. Potrzebował czasu, by to ocenić. Dostrzegł, że Hobbs przygląda mu się ze znajomym już wyrazem ciekawości i zakłopotania.

W kościele znajdował się jeden główny ołtarz i po sześć małych kaplic po obu stronach nawy. Większe kolumny i różnorakie ołtarze kryte były marmurem. Akurat odbywała się msza, choć całe zgromadzenie nie liczyło więcej niż siedem, osiem osób. Zaczekali cierpliwie przy wejściu aż do jej końca. Dopiero kiedy ostatni wierny opuścił kościół, podeszli do księdza.

Przysłuchiwał się ich historii w milczeniu, nie przerywając ani razu, jedynie przyglądając się im uważnie. Młodszy, pilot, nie mówił zbyt wiele, lecz było w jego postaci coś, co wzbudzało zaufanie. Ojca Vincente zaskoczyły jego częste spojrzenia w stronę rzeźbionego krucyfiksu, stojącego na ołtarzu; wygła-

dał, jakby dopiero teraz zaczął pojmować jego znaczenie. Starszy, niższy mężczyzna był inny. On także wzbudzał zaufanie, ale z innej, głębszej przyczyny. Opowiadał o niezwykłych sprawach - bardzo rzeczowo, jego oczy patrzyły prosto, głos był pewny i spokojny, jakby nie istniał żaden powód do wątpliwości. Widać było, że poruszanie poranionymi ustami sprawia mu wielki ból i ojciec Vincente często musiał pochylać się naprzód, aby pochwycić jego słowa. Jednego był pewien: mężczyźni nie kłamali. W ich głosach nie było ani cienia przesady.

Choć jeszcze nie skończył czterdziestu lat, ksiądz słyszał już zbyt wiele kłamstw, słów nieprawdy wypowiedzianych przez ludzi, którzy nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, że kłamią, aby wątpić w tych dwóch. Jeśli miał jakiś dar, to była to zdolność odróżniania prawdy od fałszu, szczerości od oszustwa. Szczerości mężczyzn był zatem pewien, ale może oni sami się mylili. Nie zapytał nawet, czy któryś z nich należy do Kościoła - było rzeczą oczywistą, że nie. Zamiast tego podniósł się z ławki, w której dotąd siedział, i obrócił się ku nim. Do drugiego rzędu, mówiąc po prostu:

- Zobaczmy, co się da zrobić.

Ksiądz był zaskoczony.

- Wierzy nam pan? - zapytał z niedowierzaniem.

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

- Od tygodni już czuję, jak nad miastem zagęszcza się atmosfera - i staje się to coraz gorsze, jakby przygniatał nas ołowiany ciężar. W moim własnym kościele dzieją się dziwne rzeczy: rozbite figury, przewrócone ławki, nagle pojawiające się kałuże krwi, obrus na ołtarzu poszarpany na kawałki. Jak dotąd udawało mi się utrzymać to w sekrecie, wiem, jaki szum mogą wywołać takie wypadki. Do tej pory myślałem, że to tylko wandalizm, choć jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że to nikła pociecha. Naprawdę, coś się tu dzieje złego. Wiem też, że to, co się wydarzyło dotąd, to tylko drobnostka w porównaniu z tym, co może nastąpić, jeśli pozwoli się złu urosnąć w siłę. Niezwykła śmierć tych ludzi to tylko początek.

- Dzięki Bogu ma pan dość rozsądku, aby właściwie ocenić to, co się dzieje - wydusił Hobbs przez zmaltratowane usta. Ksiądz spojrział nań ostro.

- Nie byłbym tego taki pewien, panie Hobbs.

- Ale pomoże nam pan?

~ Powiedziałem już, że zobaczę, co się da zrobić.

- I uda się pan z nami do wraku?

Ojciec Vincente przytaknął.

- Jeżeli jeszcze coś pozostało do odkrycia, to zgadzam się z panem, można tego dokonać tylko tam. - Odwrócił się do Kellera i dodał: - Mam jednak jeden warunek.

Pilot spojrział nań ze zdziwieniem.

- chciałbym, panie Keller, aby pan to wziął.

Ksiądz wsunął rękę za sutannę i wyjął coś z kieszeni spodni. Wcisnął w dłoń Kellera jakiś ostry przedmiot i mocno przytrzymał ją w swojej, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z oczu pilota.

Po kilkunastu sekundach, usatysfakcjonowany, puścił jego rękę. Keller spojrział w dół na przedmiot, który trzymał. Był to mały, drewniany krzyż, szerokości może pięciu centymetrów, a długi na siedem. Skonsternowany, przeniósł wzrok na duchownego, ale odpowiedź na jego pytające spojrzenie stanowił jedynie zagadkowy uśmiech. Hobbs odchrząknął. On zrozumiał intencje księdza.

- Jeżeli panowie pozwolą, przebiorę się tylko w coś wygodniejszego i możemy ruszać - rzekł ojciec Vincente, niemal wesoło.

Gdy zniknął w zakrystii z boku ołtarza głównego, Keller obrócił się do Hobbsa i zapytał:

- Czemu nam tak od razu uwierzył?

Hobbs rozważnie dobierał słowa.

- Kiedy tu przybyliśmy, stwierdziłem, że kościół należy do ojców augustianów. A jest to, jeśli można tak powiedzieć, zakon nieźle obeznany ze światem. Myślę, że nasz ojczulek odwiedził wiele prymitywnych krajów, gdzie ma miejsce mnóstwo jeszcze dziwniejszych rzeczy.

- Dziwniejszych od tego?

- Zdumiałby się pan. Poza tym duchowni zajmują się przede wszystkim walką ze złem, jest to naturalna część wiary w Boga. W konsekwencji są przyzwyczajeni do oznak działania Szatana w każdej formie. Oczywiście, nie zachęcają do rozpowiadania

o czarnej magii czy egzorcyzmach. Nie chcą, aby ich religia traktowana była przez cyników tego świata jak jakieś pogańskie obrządki. Niezaprzeczalnie jednak wierzą w zło jako naturalny żywioł, który należy stale zwalczać lub przynajmniej trzymać w ryzach. Niestety, choć żaden z nich nie przyzna tego publicznie, ich Kościół przegrywa. Zło - jeśli pan chce, możemy je nazywać Szatanem - zdobywa przewagę.

Keller nie miał ochoty na wdawanie się w filozoficzne dyskusje co do tego wątpliwego stwierdzenia.

- Dlaczego dał mi ten krzyż? - zapytał, aby zmienić temat.

- To była próba - odparł Hobbs.

- Próba?

- Test, żeby sprawdzić, czy pan go przyjmie czy też nie.

Keller obrócił w dłoni mały drewniany krzyż, przyglądając mu się uważnie.

- A gdybym go nie wziął?

- Mogłoby to oznaczać, że nie jest pan tym, na kogo wygląda.

Pilot otwierał już usta, aby coś powiedzieć, lecz w tym momencie dołączył do nich ksiądz we własnej osobie, z łagodnym uśmiechem na ustach.

- Idziemy, panowie? - zaproponował. Miał na sobie ciemny garnitur z tradycyjną księżą koloratką, w jednej ręce dzierżył podniszczoną, ciemną walizeczkę. Kiedy wyszli z kościoła w zimną, ciemną noc, wszyscy trzej natychmiast zatęsknili do tego spokojnego sanktuarium.

Po drodze Hobbs zapytał księdza:

- Ojciec Vincente, czy widzi ksiądz coś na niebie?

Duchowny zadarł głowę i pokręcił nią.

- Gwiazdy. Bardzo jasna noc - opuścił spojrzenie i dziwnym wzrokiem zmierzył medium. - Czy jest tam coś, co powinienem dostrzec?

Tym razem to Hobbs pokręcił głową.

- To nieważne.

Keller odczuł nagły niepokój widząc, jak od obłoku odrywają się wiotkie pasma i opadają ku ziemi, szybko rozwiewając się w nicłość. Odwrócił się, aby zapytać Hobbsa, czy i on widzi to samo, lecz niedostrzegalne niemal kiwnięcie głowy medium

odpowiedziało na nie zadane pytanie. Szli dalej w milczeniu, aż wreszcie Keller zauważył:

- Policjanci mogą nie dopuścić nas do wraku. - Przecięli wąską ścieżkę i wkroczyli na pole przez wielką dziurę w otaczającym je ogrodzeniu.

- Może uda mi się wyperswadować im to - odparł ojciec Vincente.

Nie było jednak takiej potrzeby, bowiem, jeśli nie liczyć strzaskanej skorupy samolotu i rozrzuconych kawałków poskręcane metalu, pole było puste. Brnęli przez wyboistą łąkę, a ich oczy z wolna przyzwyczajały się do ciemności. Czekali na okrzyk „Stać!”, nigdy jednak nie nadszedł.

- Gdzież, u diabła, oni są? - wymamrotał Keller, ale jego słowa nie były skierowane do nikogo w szczególności. Coraz bliżej podchodzili do kiepsko oświetlonego wraku.

- Może zostali odwołani do jakiegoś pilniejszego zadania. Podziękujmy naszemu szczęściu. Oszczędziło nam to mnóstwa nieprzyjemnych i kłopotliwych pytań.

Dotarli do ogromnego stożkowatego kadłuba Jumbo Jeta - elementy szkieletu przy środku korpusu były odsłonięte i powyginane. Brzuch odrzutowca został przy zderzeniu z ziemią prawie zupełnie spłaszczony, co zmieniło przekrój samolotu. Upadły majestat odrzutowca miał w sobie coś żałośnie wzruszającego, choć zmieniony kształt upodabniał go do paskudnego, przyczajonego stwora. Ksiądz zajrzał do strzaskanego kadłuba i ze smutkiem pokręcił głową.

- Jak groby mogą stać się jeszcze większe? - zapytał cicho.

Keller nie dosłyszał tej uwagi, gdyż kierował się już ku pękatemu dziobowi 747. Wiedział, że przeważająca część wnętrza uległa zniszczeniu, a to, co zostało z urządzeń kontrolnych pilotów i mechanika, zostało wymontowane do dalszych badań laboratoryjnych. Mimo to chciał dostać się do kokpitu. To był pomysł Hobbsa: pilot miał dotrzeć jak najbliżej do pierwotnego miejsca, które zajmował owej fatalnej nocy. Tak miał cofnąć się pamięcią i wyobrazić sobie, co się stało, odtwarzając wszystkie czynności. Próbować odtworzyć w umyśle zdarzenia, wiedące do katastrofy.

- David, zaczekaj na nas - usłyszał stłumiony głos Hobbsa za

plecami. Odczuł nagle zadowolenie z tego, że spirytystą zrezygnował wreszcie z „pana Kellera”. Towarzysze dołączyli do niego i skupili się razem w cieniu wznoszącej się nad nimi zmaltretowanej góry metalu.

- Panie Hol)bs, jaki jest pański plan? - zapytał miękko ojciec Vincente.

Hobbs odpowiedział równie spokojnie:

- David wejdzie do samolotu i będzie się starał odtworzyć swoje czynności z tamtej nocy. Wróci pamięcią do najbliższego momentu przed wypadkiem, o którym wie, i postara się stamtąd sięgnąć dalej.

- Ale słyszałem, że już kiedyś to się nie udało. Gazety twierdzą, że katastrofa stanowi białą plamę w jego mózgu. Sam pan zresztą potwierdził to jeszcze dziś wieczorem.

- Nigdy nie próbowaliśmy robić tego w takich warunkach

- przerwał mu Keller.

- A ja będę mu pomagał - dodał Hobbs.

- Czy mogę zapytać jak? - w głosie księdza nie słychać było ironii.

- Mam zamiar wezwać duchy, aby wskazały mi drogę i pomogły zrekonstruować atmosferę tej nocy.

- Boże drogi! Przecież to potwornie niebezpieczne!

- Zgadza się, ojcze. Dlatego poprosiłem też pana. Możemy potrzebować ochrony.

- Ależ człowieku, jestem tylko zwykłym księdzem! Tu działa potężne zło! Mogę nie mieć dość siły, aby je powstrzymać!

- Pan jest wszystkim, czym dysponujemy - powiedział wyważonym głosem Hobbs. - A czas ucieka.

Poklepał Kellera po ramieniu i wyjął z kieszeni małą latarkę. Pilot odebrał mu ją i oświetlił sporą dziurę w boku kadłuba. Wspiął się do niej i znalazł się wewnątrz wypatroszonego odrzutowca. Ciemność, poza cienkim promykiem latarki, była absolutna. Skierował go w stronę, gdzie jak miał nadzieję, powinny znajdować się kręcone schodki prowadzące do barku pierwszej klasy i kokpitu. Wciąż tam były - osmalone i wygięte, ale całe. Usłyszał dwóch pozostałych, z trudem przeciskających się przez dziurę za jego plecami. Czekał na nich, przyglądał się wielkiemu rozdarciu kadłuba, które stanowiłoby znacznie wy-

godniejsze wejście. Były tu przedtem przednie drzwi pasażerskie, te, które według Harry'ego Tewsona zostały wyrwane przez eksplozję. Krańce otworu były ostre i poszarpane - strzępiaste pęknięcie ciągnęło się aż po dach, widać było przez nie gwiazdy. Drzwi, niezależnie od tego, czy wyleciały przed, czy też po zderzeniu z ziemią, porwały za sobą otaczający je metal. Skierował płomień latarki w głąb kadłuba i od razu zobaczył miejsce przy skrzydłach, gdzie ogromny korpus rozpęknął się niemal na pół: przy tym potwornym wstrząsie samolot okazał się równie kruchy, jak skorupka jajka. Jego oczom ukazały się odsłonięte elementy szkieletu, a pośród nich dwie wciąż wznoszące się dumnie główne podpory, skrzywione niczym złamane żebra wielkiego wieloryba. Poczuł ukłucie żalu jak każdy pilot na widok zniszczonego samolotu, wielkiego czy małego. Usłyszał swych towarzyszy, gramolących się w mroku, i skierował na nich światło latarki, by im pomóc.

- Matko Przenajświętsza! - usłyszał sapanie księdza, który rozglądał się po wnętrzu. W powietrzu nadal unosiła się ciężka woń spalenizny i stopionego metalu, i ojciec Vincente wiedział, że zapach ten na zawsze pozostanie w jego pamięci.

- Co teraz? - spytał.

- Tam, na górę - Keller oświetlił schodki.

- Utrzymają nas?

- Jeśli pójdziemy pojedynczo, nie powinno być problemów - zapewnił go pilot i ruszył w stronę wąskich stopni. Medium i ksiądz trzymali się tuż za nim. Ostrożnie stawiając stopy wszedł na górę, uważając, by nie wdepnąć w liczne dziury, ziejące w schodkach. Z jednej strony otwierał się widok na przedział pierwszej klasy. Keller na moment zaświecił tam latarką i zaraz tego pożałował. Prawie nic z niego nie zostało.

Znalazł się teraz w barku pasażerskim, uważał jednak, aby nie wchodzić tam głębiej: cała podłoga była niebezpiecznie przechylona, na jej końcu zaś widniało wąskie, długie pęknięcie, prowadzące z powrotem do głównego kadłuba odrzutowca. Przeniósł wzrok naprzód, na kabinę pilotów. Prowadzące do niej drzwi stały otworem - zwiślały luźno na zawiasach, poza tym jednak były nietknięte. Keller przecisnął się przez nie i rozejrzał dokładnie po ciasnym pomieszczeniu. Tak jak przewidywał,

wszystkie wskaźniki i kontrolki zostały wymontowane i wywiezione do dalszych badań. Przednia część kabiny była wgnieciona i wznosiła się nad podłogą. Nieprawdopodobne, lecz mógł dostrzec fragmenty zrobionej z włókien szklanych anteny radarowej, znajdującej się normalnie na samym dziobie Jumbo Jeta - potężne zderzenie wepchnęło je aż do kokpitu. Z foteli pilotów nie zostało praktycznie nic i po raz tysięczny zastanowił się, jak, u diabła, udało mu się przeżyć takie zniszczenie. Poszarpana wyrwa w dachu nasunęła mu nagłą myśl; może został wyrzucony przez ten otwór tuż po wybiciu go przez odłamany kawał metalu? Czuł mroźne powietrze nocy przenikające przez przedziurawioną ścianę i chłodny prąd przebiegający jego ciałem. Nie, to niemożliwe: bryła metalu tej wielkości, do tego poruszająca się z prędkością wystarczającą, żeby wybić taką dziurę, musiałaby potem trafić prosto w niego, powodując śmierć na miejscu.

Myśl ta jednak sprowadziła następną. Przypuśćmy, że na dole faktycznie doszło do eksplozji i jej podmuch rzeczywiście wysadził drzwi pasażerskie? I przypuśćmy też, że on sam przebywał w tym momencie z jakiegoś powodu poza kokpitem i siła wstrząsu wyrzuciła go przez otwór po drzwiach? Mało prawdopodobne. Czemu bowiem miałby być w tym momencie poza kabiną pilotów? Panika? A może zszedł na dół, aby zbadać zniszczenia wywołane wybuchem? Nie, nie było na to czasu. Zupełnie nieprawdopodobne, lecz jednak była to jakaś nić, niechby nawet najwęższa, której mógł się uchwycić. Przynajmniej mogło go to ocalić przed obłędem.

- Panie Keller, czy z panem wszystko w porządku? - dobiegł go z dołu głos księdza.

Odwrócił się ku schodom.

- Tak, wszystko OK. - Tak też było. Nie licząc naturalnego żalu na widok zniszczenia takiej dobrej maszyny, czuł tylko lekki smutek. Zdziwienie, zaciekawienie, owszem, lecz owa melancholijna depresja, na którą cierpiał od tak dawna, ulotniła się. Może miało to związek z przeżyciami zeszłej nocy; ciepłem bijącym od Cathy, jej zapewnieniem, że śmierć nie oznacza końca egzystencji. Dla niego był to concept nowy i ekscytujący, idea, która potrzebowała czasu, by rozwinąć się w jego umyśle,

dojrzeć i wreszcie zostać docenioną. I było jeszcze coś: czuł, że przybliży się do rozwiązania tajemnicy. Co było tą tajemnicą? Przyczyna katastrofy? Nie, to coś znacznie większego, nie miał jednak pojęcia, co. Po prostu czuł to.

- Panie Keller, czy moglibyśmy już wejść na górę? - głos duchownego ponownie przerwał jego rozmyślania. - Tu na dole jest tak zimno i samotnie - ojciec Vincente starał się zachować bez troskę.

- Co? Och, przepraszam, oczywiście, proszę. Pojedynczo - odkrzyknął Keller. - Uważajcie na dziury w stopniach i otwór w bocznej ścianie - oświetlił latarką mroczne schody.

Najpierw pojawił się ksiądz, niedługo zaś po nim Hobbs.

- Tędy - wskazał pilot, kiedy już cała trójka stłoczyła się w ciasnym przejściu między barkiem i kokpitem. Sam ruszył przodem. Na widok zniszczeń w kabinie twarz księdza zmarnotniała jeszcze bardziej.

- Biedni, biedni ludzie - wyszeptał i spojrzał na Kellera.

- Miał pan naprawdę dużo szczęścia.

- Czyżby? - odparł, jednak bez rozgoryczenia w głosie.

Odezwał się Hobbs:

- Proponuję, abyśmy się nieco pośpieszyli. Jeśli policjanci wrócą, sytuacja może stać się raczej nieprzyjemna. Jestem pewien, że nas stąd wyrzucą. Nie mamy żadnego upoważnienia, żeby tu przebywać.

- Tak, z pewnością ma pan rację - dodał ojciec Vincente.

- Gdybym najpierw z nimi pomówił, mogliby nas tu wpuścić, jednak w tych okolicznościach... - nie dokończył zdania.

- Od czego zaczniemy, panie Hobbs? - spytał Keller.

- Na początek ustalimy parę podstawowych reguł - włączył się ksiądz, zanim jeszcze spirytysta zdążył cokolwiek powiedzieć. - Musimy się zgodzić na to, żeby przerwać eksperyment, jeśli wymknie się on nam spod kontroli - spojrzał wyczekująco na Hobbsa, po czym ciągnął dalej. - W sposób, jaki uznamy za konieczny. Także jeżeli napięcie stanie się zbyt trudne do zniesienia dla jednego z nas, dwaj pozostali muszą natychmiast przerwać i pomóc mu. Wreszcie ostatni warunek - cokolwiek tu dziś nastąpi, musimy zatrzymać dla siebie do czasu, kiedy wszyscy trzej uznamy, że można to podać do publicznej wiadomości. Panie Hobbs, przyrzeka pan?

- Oczywiście - odpowiedź była natychmiastowa.

- Panie Keller?

Pilot zawahał się przez moment, w końcu jednak skinął głową i rzekł krótko:

- Tak.

- Zatem do dzieła - ksiądz położył swą walizkę na osmolonej podłodze i otworzył ją. Wyjął z niej dwie długie świece, które natychmiast zapalił.

- To nam dostarczy dodatkowego światła - wyjaśnił, podając je obu mężczyznom. Znaleźli dla nich odpowiednie miejsca i ponownie zwrócili uwagę na poczynania duchownego, który akurat zawieszał na swych ramionach długi pas materiału. W jaśniejszym teraz, choć bardziej niesamowitym świetle dostrzegli, iż jest to fioletowa stuła. Następnie wyjął krucyfiks i postawił go przed nimi na podłodze, po czym znów sięgnął do torby po flakonik czystej wody i ciemno oprawną książkę.

- Zanim zaczniemy, chcę poświęcić to miejsce święconą wodą - wyjaśnił, odkręcając korek szklanego pojemnika. Zanurzył palce w błogosławionym płynie i pokropił nim wnętrze kabiny, intonując ledwie słyszalną modlitwę i co chwila czyniąc znak krzyża. Zanim zakręcił flakonik, pokropił też obu mężczyzn. Jego wargi wciąż poruszały się w bezgłośnych modłach. Keller, choć niecierpliwie wypatrywał końca, nie opierał się rytuałowi.

Wreszcie, zakręcając lekko buteleczkę, ojciec Vincente uśmiechnął się do swych towarzyszy.

- Niezbyt to dobre przygotowania, panowie, nie mam jednak pojęcia, jak daleko zamierzacie się posunąć. Mogę nawet okazać się niezbyt ostrożny. - Ustawił flakonik koło krzyża, tak aby łatwo go było dosięgnąć. Wyprostował plecy.

- Przez cały czas będę odmawiał Litanię do Wszystkich Świętych. Taka dodatkowa ostrożność - wyjaśnił z uśmiechem i otworzył swą książkę. - Nie będę wam przeszkadzał - zrobił krótką przerwę, po czym dodał. - Chyba że zajdzie taka konieczność.

Ojca Vincente ponownie zastanowiła jego wiara w tych dwóch obcych. Przyszli doń dziś wieczorem ze swą niepokojącą opowieścią o bezcielesnych duchach, przywiązanych z nieznanymi powodów do ziemi, i prosili o pomoc w wyjaśnieniu tajemnicy, w jakiś sposób związanej z młodym pilotem. Wyjaśnieniu, które ułatwi uwolnienie wszystkich dusz i, być może,

zdola oczyścić młodzieńca z jego poczucia winy. Czemu im uwierzył? Pomijając ich widoczną szczerość, odpowiedź była całkiem prosta: oczekiwał ich! Czy przynajmniej spodziewał się czegoś w tym rodzaju.

Wiele lat temu, w jego rodzinnej Szwajcarii, wioska niezbyt odległa od jego własnej przeżyła wstrząsającą tragedię. Ośrodek narciarski, pełen urlopowiczów, mężczyzn, kobiet i mnóstwa dzieci, położony wysoko nad wioską na zboczu góry, uległ całkowitemu zniszczeniu. Lawina zmiażdżyła wszystko - domy, ludzi. Nikt nie ocalał. Naturalnie mieszkańcy wioski oplakiwali straty, lecz ich żałoba trwała znacznie dłużej, całe miesiące dłużej niż normalnie. W osadzie czuło się dziwną presję, zaczęły zdarzać się niezwykle rzeczy: wypadki, nagłe zgony, szaleństwa. Wezwano księdza z jego własnego zakonu - starego, znacznie mądrzejszego niż on - który przeprowadził egzorcyzmy. Nigdy nie uzyskał pewności, czy wszystko to miało swoje źródło w imaginations wieśniaków, czy też był to naprawdę przypadek autentycznego nawiedzenia, lecz rzeczywiście niedługo po tym, jak ksiądz przeprowadził ceremonię, życie wróciło do normy. Były też inne przypadki, z którymi spotkał się w swoim zakonnym życiu, przypadki niezbyt ważne i mało dramatyczne, pomimo to jednak stanowiące dlań dowód, że wokół działają siły, należące nie do tego świata.

Jeśli to, co twierdzili ci mężczyźni, okaże się prawdą, jego obowiązkiem jest zbadać sprawę i skierować ją do wyższej instancji. Był w końcu tylko zwykłym proboszczem. W jego zakonie są inni, wyszkoleni i nieskończenie lepiej przygotowani do postępowania w sprawach tej miary.

- David, czy możesz podejść w pobliże miejsca, które zajmowałś podczas lotu? - zapytał Hobbs.

- Obawiam się, że to niemożliwe - pilot wskazał strzaskany dziób odrzutowca. - Moje miejsce i kapitana zostały całkowicie zniszczone.

- No dobra. Jak najbliżej.

Keller przestąpił szczątki świadomości, że osłabiona podłoga może runąć w każdej chwili, pociągając ich na dół, gdzie było zbyt wiele sterczących krawędzi poszarpanego metalu, aby wyszli z tego bez szwanku. Dotarł najdalej, jak tylko mógł

i przykucnął na podłodze, przed wgniecionym metalem. Wywołało to u niego poczucie niesamowitości, nierealności, postanowił jednak je zignorować.

- Okay! - zawołał ponad ramieniem. Kiedy Hobbs przepychał się ku niemu, docierały doń strzępki modlitwy księdza.

- A teraz zamknij oczy, David, i postaraj się wrócić myślą do tamtej nocy. Jeśli nie możesz, sięgaj dalej, do najbliższego wydarzenia, jakie pamiętasz.

Keller skoncentrował się. Nic z tego, jedynie ta sama pustka. Potrząsnął głową.

- Spróbuj jeszcze raz. Cokolwiek, choćby i przed lotem - ponaglił go Hobbs.

Pomyślał o swojej kłótni z Roganem w hangarze. O wściekłej twarzy starszego pilota. O jego słowach, ociekających nienawiścią. Próbował skupić się na konsekwencjach tej kłótni, nic to jednak nie dało. Pustka. Uniósł dłoń i mocno przetarł oczy.

O Boże, czemu nie mogę sobie przypomnieć? Jego nowo zdobyta pewność siebie zaczęła ulatniać się stopniowo, determinacja i zdecydowanie zachwiały się. Cathy, czy możesz mi pomóc? Wiem, że mnie nie opuściłaś. Błagam, pomóż!

Nic.

Ze zmęczeniem wypuścił powietrze i obejrzał się na Hobbsa. Zesztywniał, widząc w mroku wyraz twarzy spirytysty. Jego oczy były półprzymknięte, widać było jedynie białka; na twarzy rysowały się zacięte linie. Keller nagle zauważył, że w tym ciasnym pomieszczeniu temperatura spadła o kilkanaście stopni. O oddech Hobbsa wydobywa się z ust pod postacią małych obłoczków pary. Nie tylko stało się wyraźnie zimniej, ale uległa też zmianie atmosfera, panująca w kokpicie. Czuł napięcie, okropne wrażenie ucisku, niemal fizyczne uczucie wielkiego ciężaru, wolno opuszczającego się na nich.

Keller próbował się poruszyć, lecz stwierdził, że jego ciało zamknięte jest w niewzruszonym ucisku. Próbował przemówić, ale w gardle czuł suchość - słowa nie mogły się przez nie precyzyjnie. Modlitwa za jego plecami umilkła na kilka sekund, po czym odezwała się znowu. Głos księdza brzmiał chrapliwie, był pełen wahania, jakby wymuszony.

Pilot poczuł nagle nacisk na plecach, chłodne, lodowate

uczucie u podstawy kręgosłupa, wędrujące coraz wyżej. Mięśnie karku i ramion napięły się. Z całej siły starał się poruszyć rękami. Wydawało się... wydawało się jakby... coś... próbowało... wtargnąć... w niego! Uczucie obrzydzenia wywoływało mdłości, żółć podeszła mu aż do gardła. Zmagał się z tą siłą - żywą, materialną rzeczą, która tak samo walczyła z nim, próbując go zdominować. W uszach dudniła mu przepływająca krew, czuł mocne bicie serca, które waliło szaleńczo, po czym zwolniło, coraz bardziej, bardziej, jakby było z ołowiu. Bał się, że zaraz się zatrzyma, ale nie, znów przyspieszyło, i biło teraz szybko, za szybko. Gdzie jest ksiądz? Czemu mu nie pomaga?

Lecz ojciec Vincente nie pojmował znaczenia straszliwej walki, odbywającej się we wnętrzu Kellera. Świadom był potwornej obecności w kabynie czegoś, ohydnej, złowrogiej istoty, która do nich zstąpiła, toteż wzmocnił żar swoich modlitw. Nie zdołał jednak rozpoznać stanu, w jakim znajdowali się obaj mężczyźni. Światło było słabe, widział więc tylko dwie sylwetki: Hobbsa, klęczącego obok skulonego pilota. Nic nie zdradzało ich krytycznej sytuacji. Sięgnął po krzyż i przycisnął go do piersi.

Keller przegrywał. Ta potworna istota, czymkolwiek była, obejmowała go w posiadanie, wysysała siły, dominowała wolę, pożerała duszę. Wtedy usłyszał chichot, niski i chrapliwy. Demoniczny. Oczy, jedyna część jego ciała, jaką mógł poruszać, skierowały się na klęczącego przy nim spirytystę. Dźwięk dochodził od niego! Z przerażeniem Keller dostrzegł, że jego oczy są szeroko otwarte i przyglądają mu się z groźną radością, napawając się jego cierpieniem. Z szyderczo wygiętych ust znów wydobył się suchy chichot.

- Witaj, Keller - głos dochodził od Hobbsa, nie należał jednak do niego. Był to ten sam niski warkot, który słyszał już poprzedniej nocy. - Przyszedłeś do mnie wreszcie, co, sukiny-
nu?

Ojciec Vincente usłyszał te słowa. Zamarł pojmując, co się dzieje. Całą jego postacią wstrząsnął dreszcz strachu.

- W imię Boże, nie! - krzyknął, rzucając się naprzód i chwytając z podłogi flakonik. W pośpiechu i ciemności potknął się jednak, flaszeczka wyslizgnęła się z jego uchwytu i potoczyła

między potrzaskane blachy. Padł na kolana i desperacko zaczął jej szukać, lecz blask świec i nawet latarki przygasł dostrzegalnie.

Hobbs - czy też to coś, co było teraz Hobbsem - wolno odwrócił głowę i przyjrzał się lekceważąco roztrzęsionemu księdzu.

- Precz, księżu, ty duchowy krwio pijco, pijawko w sutannie - niski, ochrypliły śmiech. - myślisz, że wypędzi mnie kilka kropel tych szczyń?

Ojciec Vincente przerwał swoje poszukiwania i spojrzał na Hobbsa. Nagle wyciągnął przed siebie krzyż i począł krzyczeć:

- Święty Boże, Wszchemogący Panie, Wiekuisty Boże i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa! Który na wieki wieków straciłeś upadłego anioła w płomienie piekieł. Który zesłałeś Syna Twego Jednorodzonego na świat, aby zmiążdżył łeb węża, wysłuchaj naszego wezwania...

Istota w Hobbsie zaśmiała się głośno, obrzydliwie, napelniając uszy księdza rykiem, zakończonym wysokim skowytom. Ciało spirytysty zakotyłało się w przód i w tył, szydząc z niego. Ojciec Vincente zawałał się, po czym kontynuował:

- ...wysłuchaj naszego błagania i ocal przed zagładą w szponach Szatana tę istotę ludzką, stworzoną na obraz i podobieństwo Twoje. Uderz, o Panie...

- Stój! - wrzasnął stwór. - Głupcze, czy myślisz, że same słowa wystarczą? - wbił oczy w księdza.

Nagle krucyfiks w dłoni ojca Vincente zapłonął czerwienią. Odrzucił go z krzykiem bólu i upadł na plecy. Metalowy krzyż leżał na podłodze między Hobbsem a księdzem. Unosiły się z niego czarne smużki dymu.

Stworzenie zaśmiało się ponownie, a ksiądz momentalnie podjął swoją inwokację.

- Uderz... uderz w bestię, która szerzy zniszczenie w Twojej winnicy. Niechaj Twa mocarna ręka wygnają...

Keller poczuł, że nacisk nieco słabnie. Monotonne słowa księdza przebiły się do niego i w jakiś sposób wypełniły jego umysł. Poczuł, że tonie, tonie, zapada się w czarną próżnię, gdzie oczekuje go jedynie krągły, biały przedmiot. Opadając ku niemu ujrzał dwoje chłodnych, ciemnych oczu, przyciągających go,

a pod nimi szydercze, różowe usta. Na jego gardle zacisnęły się czyjeś ręce, utrudniając oddychanie. Dostrzegł długą, wypaczoną skazę, brązowy nadtopiony plastik twarzy lalki. Twarz lalki! Przypomnił sobie dziewczynkę, wsiadającą do samolotu, trzymającą w ramionach małą, plastikową laleczkę. Pamiętał to!

I znów doszły go brzęczące słowa księdza, jakby z wielkiej odległości, lecz coraz głośniejsze, mocniejsze, sięgające ku niemu. Stwierdził, że wraz z księdzem powtarza dziwne słowa, słowa, których nigdy przedtem nie słyszał. Z jego ust nie dobywał się żaden dźwięk, lecz wewnątrz, w głębi swej istoty, wypowiadał je.

- ...z Twojego sługi, aby zły Duch nie trzymał już w niewoli tego, kogo spodobało Ci się stworzyć - zaczął wynurzać się, unosić ku powierzchni, ku światłu - na Twoje podobieństwo i odkupić poprzez Twojego Syna, który z Tobą żyje i króluje - niewidzialne ręce opadły z jego gardła - ...w jedności Ducha Świętego... - sięgał już powierzchni, głos przybierał na sile - ...Bóg przez wszystkie wieki wieków... - z jękiem upadł naprzód, uwolniony od potwornego nacisku, który dźwierzł go w swym dławiącym uchwycie.

Hobbs spoglądał na księdza, z jego wykrzywionych ust wylewały się obłe błuźnierstwa. Keller trzęsąc się wstał na nogi i uderzył spirytystę, powalając go plecami na strzaskany metal. Istota leżała w ciemności i wpatrywała się w pilota, jej złowrogie oczy wypełniała nienawiść. Na jego twarzy rozlała się drwina, wykrzywił ją grymas uśmiechu.

- Myślisz, że uciekłeś? - głos brzmiał jak zgrzyt.

Nagle pęknięta skorupa odrzutowca zaczęła drzeć. Odpadły od niej kawałki metalu, dźwięcząc głucho o podłogę. Istota śmiała się w głos, sama groteskowa w swym naśmiewaniu się z nich. Drzenie stało się gwałtowniejsze, strzaskany samolot począł wibrować z rosnącą szybkością. Całe pomieszczenie wypełnił wysoki, jękliwy skowyt, żądając bębenki uszu, przenikając aż do miejsca za oczami, wywołując przeraźliwy ból. Kiedy wstrząsy wzmożyły się, Keller stracił równowagę i uderzył plecami o oprawę wymontowanej tablicy rozdzielczej. Samolot zdawał się rozkruszać, całe płyty porysowanej blachy zapadały się do środka, wysyłając dławiące chmury kurzu i sadzy. Obie

świece przewróciły się, pozostawiając ich tylko w świetle latarki. Dygocący świat zdawał się kotłem dźwięków: trzask przewracanego metalu, jęk samego samolotu, przyjmującego nowy atak na swe, i tak już nadwężone cielsko, zagłuszający wszystko pisk, obsceniczny, szyderczy śmiech istoty w Hobbsie i, na dodatek, żarliwe inwokacje księdza, wzmagające się i konkurujące z hałasem.

Keller przycisnął dłonie do uszu i zakolysał głową na boki. W jego gardle rósł krzyk, jakby ten wewnętrzny dźwięk mógł zadziałać jako bariera dla kakofonii na zewnątrz. I wtedy, właśnie wtedy, gdy wydawało się, że samolot musi się rozpaść pod atakiem, podłoga, na której się kulili, musi się zapisać, strącając ich do kabiny poniżej i przygniatając zwalonymi ścianami, jękliwy ryk począł słabnąć. Z początku Keller nie zauważył tej zmiany, w jego głowie bowiem wciąż huczało echo. Dopiero, gdy dygot ustał, gwałtownie i niemal ze wstrząsem, uświadomił sobie obecność tej niespokojnej ciszy, która opanowała wrak. Odjął ręce od uszu, usłyszał jednak jedynie szmer modlitwy księdza. W nikłym świetle latarki mógł odróżnić skuloną postać Hobbsa.

Wtedy Keller poczuł tę woń: zgniły, odrażający smród rozkładu i, co gorsza, ohydny swąd palonego mięsa. Po kokpicie zdawały się krążyć ciemniejsze kształty. Z początku myślał, że to po prostu popiół, poruszony przez wibracje, ponownie opada na osmaloną podłogę. Lecz po chwili usłyszał głosy. Szepty. Zagubione i przerażone. Coś zimnego dotknęło jego dłoni i pospiesznie cofnął się do ściany.

Z przeciwległej strony kabiny doszedł go zwierzęcy pomruk i ujrzał czarną sylwetkę Hobbsa powstającą na nogi.

Szepty stały się ostrzejsze, bardziej przenikliwe. Przebijały się przez nie wyraźniejsze głosy.

- Keller... on jest tutaj!... Keller... czy to on?...

Pilot błyskawicznie odwrócił się, gdyż głos dobiegał z odległości ledwie paru centymetrów, jak gdyby ktoś nachylał się nad nim i szeptał mu do ucha.

- Dave... pomóż nam... znajdź go dla nas...

Głos należał do Rogana.

Brział chrapliwie, nerwowo, Keller jednak nie miał żadnych wątpliwości. To był kapitan.

Keller zapytał słabo, drżącym głosem:

- Kogo znaleźć, kapitanie? Kogo?

Odpowiedział mu inny głos, dochodzący z tego samego miejsca:

- Znajdź tego, który mi to zrobił! - słychać w nim było wściekłość. - Nam! Pokażemy ci!

- Głupcy! - Hobbs stał w smudze światła latarki, groźnie patrząc na pilota. - Mamy jego! On należy do nas! Zabierzmy go!

Keller naprężył nogi, gotów odskoczyć od medium, gdyby tylko tamten spróbował go zaatakować.

- Nie... nie... - znów głos Rogana. - Nie Keller... ten drugi...

- inne głosy dołączyły do niego. - Ten drugi...

Z odległego kąta dobiegł płacz dziecka.

- Mamo, boję się. Gdzie jesteście?

Powietrze przeszył krzyk:

- Spadamy! Rozbijemy się! - Inny głos, błagalnie: - Ratunku! - słowa przerwał jęk, odbijający się echem od ścian, odpywający w ciemność poprzez dziurę w dachu.

- Cisza! - krzyknęła istota wewnątrz Hobbsa. A potem zaśmiała się. Niski, groźny chichot nappełnił strachem serce Kellera. Pilot patrzył, jak postać schyla się i sięga po coś. Podniosła się z czymś wyszczerbionym w ręku i w słabym świetle Keller stwierdził, iż jest to skrzywiony metalowy pręt. Hobbs postąpił krok w stronę zgarbionego pilota.

Ojciec Vincente patrzył na to z przerażeniem, jego usta dalej recytowały bezdźwięczne modlitwy, które okazały się do tego stopnia nieskuteczne. Jakimż był głupcem zezwalając na to! Nie nadawał się do rozprawy z tego rodzaju zagrożeniem. Widział, jak Hobbs zbliża się do Kellera, potrząsając ostrym prętem, unosząc go w górę, gotując się do zadania ciosu. Lecz broń drżała w jego uchwycie, jakby w umyśle opętanego medium toczyła się jakaś wewnętrzna walka. Twarz Hobbsa była maską furii. Błyszczące oczy wyglądały, jakby zaraz miały wypłynąć z oczodołów. Wielka, fioletowa żyła pulsowała na jego skroni. Jeden kącik ust cofnął się nienaturalnie. Z twarzy zniknął zerwany już wcześniej bandaż, ukazując pokrwawione, zmaltretowane wargi, w ohydny grymasie odsłaniające zęby i dziąsła. Krzyknął, jego mowa była bluźniercza i sprośna, a grymas

powoli przekształcił się w uśmiech tryumfu. Dłoń, dzierżąca metalowy pręt, rozpoczęła ruch w dół.

Keller jednak, z malującym się na twarzy czystym szaleem, nachylał się już do przodu. Jego ramię uderzyło potężnie w klatkę piersiową Hobbsa i obaj runęli na ścianę, z kończynami splecionymi w desperackim starciu. Cienie, widmowe kształty, przepływały przed wstrząśniętymi oczami księdza, bezcielesne sylwetki tańczyły bezładnie wokół. Ojciec Vincente wiedział nawet bez patrzenia, że nie tylko kokpit, ale cały samolot wypełniony był teraz podobnymi im kształtami. Umęczone, oglupiałe dusze. Wiele z nich - wyczuwał to - nienawistnych, łaknących zemsty, inne po prostu wystraszone.

Ciało Kellera poleciało nagle na księdza, odrzucone z nadnaturalną siłą przez poruszającego ciałem medium demona. Padając na podłogę, usłyszał szyderczy śmiech, a ciężar pilota wyduł z jego płuc powietrze. Leżał, chwytając rozpaczliwie oddech, wdychając kurz i popiół, dławiąc się ich zatykającym smrodem. Latarka potoczyła się na bok, jej cienki promyk mizernie przeszył mrok obok jego twarzy, odbijając się o coś lśniącego, opartego o sterzące śruby, niegdyś podtrzymujące fotel pilota. Przedmiot był szklany.

Hobbs zerwał się na nogi, stąpając ciężko w stronę Kellera, który wolno podciągał się na jedno kolano, głośno zachłystując się powietrzem, gotów jednak ponownie zaatakować nadciągającą potworność. Nie czuł strachu, jedynie przejmujące obrzydzenie, nienawiść do tej istoty, używającej ciała człowieka. Hobbs oparł się ciężko o ścianę kokpitu, nie chcąc potknąć się na zdradzieckiej podłodze teraz, kiedy łup był już prawie jego. Głosy innych krzyczały do demona, większość dopingowała go, kilka, te, których nie zdołał przerobić na swoją modłę, wciąż się z nim zmagalo, jak wtedy, gdy już miał zmiażdżyć Kellera wzniezionym prętem. Podporządkował je sobie jednak. Nie mogły sprostać jego przebiegłości, jego mocy wykształconej już w materialnym świecie przez człowieka nazwiskiem Goswell. Kpiący chichot przekształcił się w szyderczy warkot, kiedy stanął naprzeciw pilota. Nie dostrzegł w spokojnym wzroku mężczyzny strachu. Ale ten dureń nie pojmował nieskończonego zagrożenia, w jakim się znalazł.

Demon rzucił się naprzód z tryumfalnym wrzaskiem i pilot wyprysnął, aby się z nim spotkać. Pomiędzy nimi wyrósł jednak czarny cień. Na twarzy medium rozprysnął się jasny płyn i demon zawył w przerażeniu i bólu, gdy woda święcona oparzyła ciało, wydzierając, odrywając, wyganiając go z tej ludzkiej powłoki. Hobbs zachwiał się i upadł na podłogę z rękami zaciśniętymi na poparzonej twarzy. Między jego palcami formowały się już pęcherze, skóra syczała, jakby polana kwasem. Demon wewnątrz walczył, aby utrzymać kontrolę nad śmiertelnikiem, ksiądz jednak nie ustępował. Znowu woda święcona zalała ręce i szyję Hobbsa. Skóra na jego głowie odpadała momentalnie, gdy tylko dotknął jej błogosławiony płyn, unosiły się z niej białe smużki pary, błyskawicznie pojawiały się szerokie pręgi. Demon zawył z wściekłości. Ból był dla niego zbyt wielki. Skręcał się w męce wewnątrz ciała. Przegrywał! Inni pomagali go wypędzić - medium, pragnące odzyskać swe ciało, duchy, które wciąż odmawiały nagięcia się do jego woli, nawet w stanie takiego zagubienia.

Słabł, a tortura stawała się nie do zniesienia. Umknął.

Keller, wciąż pochylony naprzód, oszołomiony interwencją ojca Vincente i przeraźliwym spektaklem, który po niej nastąpił, poczuł przepływający w pobliżu prąd zimnego powietrza, nieprawdopodobnie odrażający smród, atakujący jego powonienie, jak gdyby coś niewypowiedziane obrzydliwego odetchnęło tuż przed nim. Wstrząs, instynktowna reakcja, nakazująca zejść z drogi niewidzialnego zagrożenia, sprawiła, że zachwiał się i cofnął przez otwarte drzwi. Upadł, potknąwszy się o niewidoczne śmiecie. Próbował uratować się przed upadkiem, metal jednak pękł w jego dłoni i poczuł, jak spada po schodach. Głowa objęła się o stopnie, ciało staczało się w dół, pociągając za sobą fragmenty obudowy. Wylądował bezwładnie u stóp schodów i zamknęła się wokół niego atramentowa ciemność.

Leżał tam, spokojnie, nieruchomo. Jego oczy były otwarte, mimo to nic nie widział. Słyszał głosy, były to jednak dźwięki zapamiętane, nie zaś szepty tych martwych istot. Kapitan Rogan, Cathy, Alan, ich mechanik pokładowy, inni - pasażerowie. Głosy podnieconych dzieci, zdenerwowanych matek, biznesmenów nawołujących się jowialnie. Słyszał, jak ruszają

motory samolotu, jak Jumbo Jet ożywa, dygocąc w nieokielzanej potędze. Poczł łagodny ruch, kiedy ciągnik odizolował go do terminalu pasażerskiego. I wtedy usłyszał przenikliwy głos kapitana Rogana:

- Consul 2802 prosi o pozwolenie na rozruch.

Metaliczna odpowiedź:

- Consul 2802, macie pozwolenie na wjazd na 28 prawo, po wyjeździe wezwać sto osiemnaście koma sześćdziesiąt pięć o zezwolenie na odlot.

Siedział znowu przy pulpicie sterowniczym, kapitan Rogan po jego lewej, mówiący do mikrofonu, niecierpliwie powtarzający zwyczajową procedurę startu.

Jeszcze raz była to noc podróży 747 w nicość.

Rozdział 18

Demon uciekł w noc. Kipiał wściekłością i jęczał z bólu. Po zebraniu sił - tych, które mu jeszcze zostały - ruszył naprzód, w poszukiwaniu zemsty.

Wycie syreny ambulansu oderwało Ernesta Goodwina od pracy. Wyszedł z ciemni, sprawdzając przedtem, czy nie zostawił gdzieś na wierzchu nie wywołanych filmów. Podeszedł do okna, wychłodzonego na High Street, otworzył je i wystawił głowę, przekrzywiając szyję, żeby sprawdzić, gdzie też zatrzyma się karetka.

Wyglądało na to, że pojazd znowu stoi koło kościoła. No nie, nie mówcie tylko, że pastor miał kolejny atak! westchnął do siebie. Wielebny Biddlestone dopiero dziś po południu wrócił ze szpitala, tak mu powiedziano. Cholerni dzisiejsi lekarze! Wypisują pacjentów do domu, zanim ci jeszcze do końca wyzdrowieją, z głupiego powodu, że szpitale są zatłoczone! W dzisiejszych czasach trzeba być umierającym, żeby dostać łóżko w szpitalu - a wtedy najlepiej jest szybko umrzeć, inaczej znów cię wyrzucą. Z niesmakiem potrząsnął głową i wycofał się do pokoju, zamykając z trzaskiem okno. Po drodze do ciemni zatrzymał się, żeby spojrzeć na stopy gotowych odbitek, czekających na stole na przycięcie. Uniósł jedną i przyjrzał się jej jeszcze raz. Była to ta sama fotografia, która tak go zafascynowała, przedstawiająca rzędy nakrytych prześcieradłami zwłok - Dlaczego odczuwał

tę szczególną więź łączącą go z nimi, niemal jakby znał tych ludzi, leżących pod zakrwawionymi całunami? Wzruszył ramionami. Po tym, jak przebywał na miejscu w noc katastrofy, po godzinach spędzonych jedynie w towarzystwie zdjęć tej masakry, przybliżył się do wypadku bardziej niż ktokolwiek inny. Prawie tak bardzo, jak ofiary.

Podszedł leniwie do gilotyny i umieścił fotografię na drewnianej podstawie, dosuwając jej krawędź do wystającej, metalowej prowadnicy. Uniósł na trzydzieści centymetrów rączkę i wsunął zdjęcie tak, że około centymetra znajdowało się poza podstawą. Gwałtownie spuścił ostrze i cienki pasek bromowego papieru poszybował na podłogę. Powtórzył całą operację jeszcze trzy razy. Wszystkie przygotowane tego dnia odbitki trzeba będzie przyciąć w ten sposób, miał jednak jeszcze parę zdjęć do wywołania. Martin jednak obiecał wrócić i pomóc. Miał nadzieję, że nie zabierze to jego współpracownikowi zbyt wiele czasu: niecierpliwie czekał na szczegóły ugadywanego dziś interesu. Wrócił do ciemni, biorąc ze sobą zdjęcie rzędów zwłok, nie czując nawet przenikliwego chłodu, który nagle zapanował w pracowni.

Ernest dokładnie zamknął drzwi za sobą, odłożył odbitkę na ławkę i odwrócił się do powiększalnika. Wsunął płachtę lśniącego papieru fotograficznego pod metalową ramkę, błyszczącą stroną ku górze, i pstryknął włącznikiem światła, odmierzając sekundy na staroświeckim stoperze. Nie było potrzeby, aby sprawdzać ostrość ani rozmiar zdjęcia - zrobił już dziś kilka odbitek z tego samego negatywu. Tak samo nie spozjrzał nawet na obraz, wyświetlony na powierzchni papieru.

W odpowiednim czasie przekręcił wyłącznik, uniósł ramkę, wyjął naświetlony papier i włożył go do wywoływacza, delikatnie naciskając palcem i uważając, by każdy róg został zanurzony w płynie. Przez kilka sekund przelewał ciecz po powierzchni, po czym nachylił się, kiedy zaczął pojawiać się obraz. Spodziewał się ujęcia jednego z silników Jumbo Jeta, leżącego na polu, oderwanego od skrzydła - pogięta, skomplikowana rzeźba z metalu, uczyniona bezużyteczną przez siłę zderzenia. Grupa ludzi, wszyscy z notatnikami w rękach, stała naokoło, przyglądając się odsłoniętej maszynierii, jeden z nich zaś podnosił

ostrożnie odłamany stożek ciągu, leżący kilkanaście metrów dalej. Oto, co spodziewał się zobaczyć.

Zamiast tego obraz, który wyklarował się, z początku powoli, potem coraz szybciej, przedstawiał mężczyznę. Najdziwniejszego, najgorszego mężczyznę, na jakim kiedykolwiek spoczęły oczy Ernesta. Był całkiem nagi, a jego szczuple, wycieńczone ciało wykrzywiła choroba. Jak gdyby robaki, które zazwyczaj witają ciała złożone na wieczny spoczynek pod ziemią, już teraz pożerały żywe mięso. Jego wychudzona twarz była maską złowrogo uśmiechniętego zła, oczy płonęły groźnie z ciemniejszego papieru, usta wygięte złośliwym grymasem odsłaniały połamane zęby między lśniącymi wargami. Rzadkie kępki włosów zwisały z nagiej czaszki, a głębokie linie czarnych zmarszczek perwersji wypełniały jego twarz, upodabniając ją do górzystego krajobrazu dotkniętej suszą krainy. Cienkie, ptasie ramionka zgarbione były do przodu, okrągły brzuch i chude biodra wypięte w nieprzyzwoitym geście. W kościstych, podobnych szponom, dłoniach trzymał nieproporcjonalnie wielkiego, nabrzmiałego penisa, jądra zwisały niby groteskowo rozciągnięte worki, prawie do samych kolan. Cienkie jak trzcinki nogi podtrzymujące ten szkielet pokryte były ospowatymi śladami, oznakami wciąż zzerającej to ciało śmiertelnej choroby.

chemikalia działały nadal, proces wywoływania nie został zatrzymany, toteż stopniowo obraz zaczął ciemnieć, pochłaniany przez otaczającą go czerń, aż w końcu na Ernesta spoglądały tylko oczy, ciemno błyszczące, hipnotyczne źrenice. Wreszcie i one zniknęły.

Usłyszał za sobą ciche parsknięcie właśnie, kiedy jego przerażony umysł starał się przypomnieć sobie, gdzie już przedtem widział tę twarz. Lata całe temu, co najmniej piętnaście, może nawet dwadzieścia, w gazecie czy czasopiśmie. Miało to coś wspólnego z wojenną działalnością tego mężczyzny, jego wymuszoną emigracją i nowymi kłopotami w Stanach. Nie pamiętał szczegółów, ale tej twarzy nie sposób zapomnieć. Oblicze bestii! Zerknął w dół na unoszący się w płynie czarny papier fotograficzny, z którego spojrzało na niego jego własne czerwone odbicie.

Ernest zamarł. Bał się obrócić i sprawdzić, co znajduje się wraz z nim w pokoju, odkryć, co właściwie śmiało się tak

chrapliwie, tak złowrogo. Poczul na karku chłodny ucisk, zimny, nieczysty oddech musnął jego policzek. Niski chichot dochodził z tak bliska... Mógł jedynie przyglądać się swemu odbiciu, rozpraszać się i wykrzykiwanemu przez zmarszczki na powierzchni żółtawego płynu. Jego własne oczy spoglądały na niego, jakby rozumiejąc jego strach.

Chłód zamknął się wokół niego, niby obejmujące go ramiona.

Martin Samuels wspiął się na schody prowadzące do pracowni. Przelewała się w nim złość, myśli skakały z jednego tematu na drugi. Skąpiradła! Akurat, sto funtów za negatyw! Wszystkie czasopisma są takie same. Wyobraźcie sobie - magazyn o światowym zasięgu próbujący zbyć go taką marną sumą! Szmondaki! Dwieście pięćdziesiąt za każdy, to najniższa kwota, jaką zaakceptuje. Zażądał trzystu pięćdziesięciu, ale oni zaśmiali mu się w nos, twierdząc, że to już nie nowość, wszyscy to widzieli, zatem nie ma mowy o wyłączności. Tłumaczył, że nie wszystkie ujęcia zostały wykorzystane, że było jeszcze wiele innych, może nieco mniej interesujących, ale dramatycznych, poruszających do głębi. Proponował cały zestaw, wyłączne prawa! To okazja! Wiedział przecież, że najlepsi londyńscy fotografowie zarabiali ponad czterysta dziennie, i to tylko za zdjęcia reklamowe! A on sprzedawał prawdziwą tragedię, autentyczny dramat! Ci ludzie nie mają za grosz wyobraźni. Prędkiej przyjmie ofertę z „Paris Matcha”, niż zniży się do targów z takimi draniami. Zarobili już sporo forsy na tej katastrofie, ale to miał być pożegnalny cios, *coup de grace*. Po tym interesie będą ustawieni do końca życia! Mogą się rozbudować, rozwinąć biznes. On skoncentruje się bardziej na reportażach, podczas gdy Ernie będzie ciągnął dalej „światową” część roboty: portrety, śluby, tereny przemysłowe... Stary Ernie miał swoje ograniczenia. Może nawet przeprowadzą się do Slough, bliżej centrum wszystkiego. Czysze w Londynie były stanowczo za wysokie, nawet na ich gwałtownie wzbogacaną kieszeń. Och, te pieprzone barany! No, są jeszcze inne, większe magazyny, które też będą zainteresowane. Mamroczać pod nosem, pchnął drzwi studia.

- Ernie! - zawołał, pstrykając przełącznikiem światła. - Jesteś w ciemni?

Odpowiedzi nie było.

Gdzie, u diabła, podziewa się ten szlemiel? Wie, że mamy kupę roboty! Niemożliwe, żeby już zdołał to wszystko sam skończyć. Martin mlasnął językiem i uwolnił się z ciężkiego płaszcza. Odwiesił go na stojak za drzwiami i podszedł do stosu nie przyciętych fotografii czekających na stole, zacierając z chłodu dłonie. „Rany, jak tu zimno!”, pomyślał, sprawdzając spojrzeniem, czy okna są pozamykane. Przyjrzał się odbitkom, również z ukosa, aby ocenić ostrość. „Głupi palant, znów nie przetaił soczewek”, zaklął w duchu, widząc drobne, białe kropki pokrywające zdjęcia. O nie, nie będę ich całą noc retuszować! Może sobie sam zrobić nowe!

Z irytacją załomotał w drzwi ciemni.

- Ernie, jesteś tam? - czekał na odpowiedź, żadna jednak nie nadeszła.

Kątem oka dostrzegł gilotynę z ostrzem podniesionym do góry, pod kątem prostym do podstawy. To jeszcze jedna, z pozoru nieistotna rzecz, która denerwowała go u Erniego. Jego wspólnik zawsze zostawiał ostrze uniesione, zamiast bezpiecznie spuścić je za drewnianą podstawę. Pewnego dnia ktoś obetnie sobie palce, ot co! Zawsze mu to powtarzał. Podszedł do przyrządu, gotów opuścić drażniące go ostrze, lecz jego uwagę przykuło zdjęcie leżące na blacie. Brrr, co za okropne ujęcie! Te rzędy trupów! Nie wiedział, czemu Ernie tak je lubił - pewnie dlatego, że sam je zrobił. Przygnębiająca scena, ani trochę dramatyzmu, po prostu melancholijny spokój. Coś białego w rogu przyciągnęło jego wzrok. Nie zauważył tego przedtem. Wyglądało to jak małe ciało leżące w błocie, z dala od biało nakrytych zwłok. Mój Boże, czyżby to niemowlę? odetchnął z ulgą orientując się, że w rzeczywistości była to lalka. Tak, to prawda, nie sądził, żeby na pokładzie były jakieś niemowlęta. Dziwne jednak, że wcześniej nie zauważył tej lalki. Wzruszające. Może to i nie jest takie kiepskie zdjęcie?

Nachylił się niżej. Co za dziwny wyraz twarzy ma ta lalka. Prawie ludzki. Nie - prawie n i e l u d z k i !

I wtedy nastąpiło coś nieoczekiwanego.

z fotografii poczęły unosić się białe smużki dymu, a jej krawędzie zaczęły zwiijać się do środka. Aż podskoczył zaskoczony. Co, do kurwy nędzy, się dzieje? Małe języczki płomieni zaczęły lizać czarno-biały obraz, pełzały po powierzchni, zżerając poddany chemicznej obróbce papier. Białe okryte zwłoki ponownie padały pastwą płomieni. Zdjęcie skręciło się, tworząc prawie kulę, po czym z nagłym rozbłyskiem ogień skonsumował je całkowicie, pozostawiając jedynie czarny popiół, wolno unoszący się ku górze.

Do diabła! Co to było? Fotograf w zadumie potrząsnął głową. Dotknął drżącym palcem płatków spalonego papieru, które natychmiast rozpadły się w proch. Poczul raczej niż dostrzegł ruch i błyskawicznie cofnął dłoń. Ostrze gilotyny sunęło w dół. Odskoczył w przerażeniu, kiedy metrowej długości kawał ostrego jak brzytwa metalu śmignął w dół, z nieprzyjemnym, miazdząco-tnącym świstem.

Jego serce waliło jak wściekle. Mój Boże, mogło mi obciąć rękę! Co tu się dzieje? I gdzie jest ten meszugene Ernie? Martin zadrzał, kiedy lodowaty powiew przebiegł nagle przez pokój. Na jego karku i ramionach wystąpiła gęsia skórka. Usłyszał jakiś odgłos dochodzący z ciemni. Głuchy łomot.

- Ernie, czy to ty? Robisz mi numery, co? - W odpowiedzi usłyszał coś, co brzmiało jak tłumiony chichot. Zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho.

- Jesteś tam? - Zero reakcji. Ale wydało mu się, że usłyszał ruch. Walnął pięścią w drewno.

- Wchodzę, ty goju! Lepiej niech nie będzie na wierzchu żadnego filmu!

Jak na fotografa, nawet tak podrzędnego, Martin Samuels odznaczał się wyjątkowym brakiem wyobraźni. Gdyby miał jej więcej, może nie otworzyłby tak ochoczo tych drzwi. Wiedział, że w Eton dzieją się najdziwniejsze rzeczy, zdawał sobie sprawę z napięcia, panującego wśród mieszkańców miasta, lecz przez ostatnie parę tygodni zbyt był zajęty, aby odczuć je sam. Płonąca fotografia, opadająca gilotyna... Jego umysł nie pozwalał sobie na głębsze wdawanie się w takie tajemnice. Po prostu stało się i, rzecz jasna, musiało istnieć jakieś całkiem proste wytłumaczenie tych zjawisk. Miał na głowie daleko ważniejsze

sprawy, problemy finansowe, i zbyt mało czasu, by zawracać sobie głowę nie wyjaśnionymi głupstwami. Przekreślił klamkę i wściekle pociągnął drzwi do siebie. Wstrętny smród, dobywający się z pomieszczenia, kazał mu z odrazą zmarszczyć nos, lodowaty podmuch zaś, który go powitał, przyprawił o mimowolny dreszcz. Wyjął chustkę i przytknął ją do czulego nosa. Natężył wzrok, próbując przebić nim ciemność.

Czerwone światło zdawało się jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj, wydało mu się jednak, że widzi czarną postać, stojącą na końcu pokoiku, przy pojemniku z wodą.

- To ty, Ernie? - zapytał z wahaniem.

Po raz pierwszy poczuł, że ściska go prawdziwy strach. Jego wyobraźnia przebudziła się wreszcie do życia. Ten ciężki, świszczący oddech pobudził jego przerażenie bardziej niż cokolwiek innego. Głęboki, syczący, jakby dobywał się z poranionej krtani. Nieziemski.

Smród był obezwładniający. zachwiał się, kiedy trujące wyziewy oszołomiły jego zmysły.

- Kto... kto to?! - zawołał, chwytając się drzwi, aby utrzymać równowagę.

Usłyszał złowrogi chichot.

Następnie głos.

- Cześć, Żydzie - powiedział ten głos.

Poczuł, że coś popycha go od tyłu. Niewidzialne ręce. Silne. Potknął się i upadł na kolana pośrodku lśniącego czerwienią pokoju. Postać wyszła z najgłębszego cienia i pochyliła się nad nim. Stwierdził, że spogląda w szkarłatną twarz współnika. A jednak to nie był on! Rysy zgadzały się, ale ich wyraz był całkowicie obcy Emiemu. Twarz wyrażała wszelkie zło, jakie istniało w świecie. Wszelkie występki ludzkości, złożone w jedną całość i obdarzone zdolnością wyrazu. Twarz Szatana!

Martin zadygotał w nikczemnym przerażeniu. Nigdy przedtem nie zaznał tak absolutnego, paraliżującego strachu. Małe mięśnie, otaczające cebulki włosów, napięły się, źrenice rozszerzyły, serce tłukło się w piersi niczym szaleńczy młot. Krew odpłynęła z jego wnętrzości do pobliskich mięśni, wywołując nagły niesmak i poczucie ciężaru w żołądku. Do jego krwioobiegu dostały się nowe substancje chemiczne, powodując

uczucie mrowienia. Mięśnie naprężyły się i drżały. Całe ciało dygotało. Jego zwieracze puściły i po nogach spłynęła mu brązowa, gorąca ciecz. Otworzył usta, by krzyknąć, lecz wydo był się z nich jedynie suchy, zdławiony gulgot.

- Żydowski śmierdziel - powiedział głos. - Popatrz, jak drżysz. Spójrz, jak srasz w spodnie.

Martin poczuł żelazne palce, chwytające go pod wilgotnymi pachami. Twarz demona przysunęła się bliżej i uśmiechnęła.

- Jakże się uraduje książę Mastomah, otrzymawszy taki dar! Jakże zadowolony będzie Agaliarept! Co za radość dla Glasyalabolasa!

Fotograf czuł, że coś go unosi. Twarz wciąż była zaledwie o kilka cali od jego własnej, cuchnący oddech przedostawał się przez otwarte usta aż do płuc, obejmował całe ciało.

- I co, Żydzie, nic nie masz do powiedzenia? - szyderczy chichot. - Patrz, jak cię niesie twój współnik. A wiesz dokąd? Czemu nie wezwiesz Jahwe na pomoc?

Znów ten zwierzęcy śmiech.

Jego nogi wlokły się bezwładnie po podłodze, podczas gdy pulchne ciało podciągane było coraz bliżej pojemnika z wodą. Okrutny głos wyszeptał mu do ucha:

- Sądzą, że mnie zniszczyli. Książd myślał, że woda mnie zabije. Widzisz, jak mylą się ci religijni idioci, co. Żydzie? Palila, o tak, tak jak ogień palił me ciało. Ale nie umarłem. Mnie nie można zabić.

Martin zdołał wreszcie krzyknąć, gdy demon nachylił jego ciało nad powierzchnią wody. Krzyk ten przekształcił się w bulgot, kiedy jego głowa znalazła się w wodzie. Wokół niej unosiły się czarno-białe odbitki. Jego nos uderzył w okrągły, zatkany odpływ na dnie umywalki. Zaczął walczyć, usiłując wykręcić szyję, aby złagodzić nacisk. Lecz trzymające go ręce były zbyt silne.

Woda wdarła się do jego otwartych w krzyku ust i nosa. Zmuszony był wciągnąć ją wreszcie i popłynęła gardłem, wypełniając jego płuca podobnie jak oddech bestii parę chwil wcześniej. Lecz rezultat był znacznie gorszy, szarość ogarnęła jego umysł, stopniowo wypierając z niego wszystkie obrazy niby

opadająca kurtyna. Kiedy wreszcie zasłona spadła do końca, życie opuściło go niczym znudzony, przelotny znajomy.

Gdy ciało zaprzestało oporu, a krótkie nóżki zwisły bezwładnie, wyczerpane przedśmiertnymi kopnięciami, demon puścił je, pozwalając torsowi leżeć płasko na wodzie twarzą w dół.

Demon opuścił ciemnię, a kiedy mijał stos suchych odbitek leżących na stole, stanęły one w ogniu. Zgarnął ręką rzędy wiszących negatywów i rzucił je na środek podłogi. Otwierając szafki, wygarnął setki żółtych pudełek, zawierających rolki filmów i mnóstwo prostokątnych ramek ze slajdami. Po czym dorzucił je do stosu poskręcanych negatywów. Wtedy podszedł do płonących zdjęć i uniósł spory stosik, ignorując pęcherze, które natychmiast wystąpiły na jego rękach.

Ból nic nie znaczył dla demona, ale dusza, którą uwięził głęboko, wrzeszczała i wiła się w agonii czując, jak płomienie niszczą jej ciało.

Stwór zaniósł płonący papier na środek pokoju i cisnął go pomiędzy stosy negatywów oraz pudełek z filmami. Ciemnoszare negatywy zajęły się z sykiem, wkrótce ogień objął też żółte pudełka. Ernest Goodwin stał wśród szalejącego piekła, a istota, która opanowała jego ciało, śmiała się w głos. Ogień był jej starym przyjacielem. Kiedyś płomienie pożarły ziemską powłokę demona, teraz utrzymywały go przy życiu.

Przeszedł przez ogień i otworzył drzwi pracowni, wskazując innym drogę. Mieli jeszcze wiele, bardzo wiele do zrobienia tej nocy.

Rozdział 19

- Halo wieża, Consul 2802 prosi o pozwolenie na wyjazd - kapitan Rogan stawał się niecierpliwy. Nie znoził jakichkolwiek opóźnień w odlotach, drażniło go marnotrawstwo paliwa, wymuszone hamowanie narastającej w silnikach odrzutowca potężnej mocy. Jak na razie, byli spóźnieni tylko o minutę, ale ponury nastrój starszego pilota wynikał z wcześniejszych, bardziej osobistych przeżyć. Opóźniony start stanowił tylko dodatkowy powód do irytacji.

- 2802, czekaj - nadeszła stanowcza, metaliczna odpowiedź.

- No, dalej - mruknął Rogan ze złością, do siebie jednak, a nie do mikrofonu.

Keller zerknął na niego, lecz kapitan unikał jego wzroku patrząc prosto przed siebie, w ciemność.

„Chryste”, pomyślał drugi pilot. „To już koniec naszej przyjaźni. Czemu Beth nie siedziała cicho? Co jej przyszło z tego, że powiedziała mężowi o zdradzie z jego przyjacielem i protegowanym? Miała na podorędziu mnóstwo innych nazwisk, czemu więc wybrała akurat jego? Sprawa na jedną noc. Nic poważnego. Jeden skok w bok. Niewybaczalny, to prawda, ale wśród tylu innych, zapewne znacznie poważniejszych, po co było w ogóle o tym wspominać? Z drugiej jednak strony Beth chciała zranić Petera Rogana, uderzyć w najczulszy punkt jego dumy - i udało jej się. To nie jej niewierność zraniła go tak głęboko, w każdym razie nie tylko. Przede wszystkim poniżenie związane z oszustwem ze strony podwładnego. Kogoś, komu ufał.

Zasadnicze pytanie brzmiało: czy Rogan powie Cathy?

Keller już postanowił, że sam to zrobi, gdy tylko nadarzy się okazja. Życie w ciągłym strachu, że ktoś inny odśloni przed nią

jego zdradę, nie miało sensu. Kiedy jej powie, zrani ją tym okropnie, ale gdyby dowiedziała się o tym z innych ust... Przegnął tę myśl. Wybacz mi, jeśli jej miłość jest dostatecznie silna, oczywiście zakładając, że będzie z nią szczerą. Jeżeli zaś nie... Kolejna myśl do zignorowania. Cokolwiek się stanie, postanowił twardo, że jej nie straci. Stała mu się zbyt droga. Rogan to całkiem inna historia. Wiedział, że nigdy nie zdoła się wytłumaczyć, a i wczorajsza bójka niespecjalnie pomogła. „Przykro mi, kapitanie”, usprawiedliwił się w duchu. „Może pewnego dnia uda mi się to naprawić”.

- Consul 2802 - przerwał rozmyślenia obu mężczyzn metaliczny głos. - Masz zgodę na lot, korytarz do Washington Dulles. Start według instrumentów, procedura standardowa, pas Daventry dwa, poziom przelotu trzy-pięćdziesiąt. Sygnał Alfa 4208.

Z westchnieniem ulgi kapitan Rogan powtórzył plan lotu.

- Zrozumiałem, Consul 2802, odczyt prawidłowy - nadeszła natychmiastowa odpowiedź. - Kontakt sto dwadzieścia jeden koma trzy.

- Wieża, tu Consul 2802 na punkcie wjazdowym dwadzieścia osiem prawo.

- 2802, wjedź na pas za lądującym DC8 i czekaj.

- 2802 na pasie, proszę o zgodę na start.

- 2802, możesz startować.

- 2802, ruszam.

747 przetoczył się w dół pasa, nabierając prędkości. Odrzut silników wciskał łagodnie zarówno pasażerów, jak i załogę, w siedzenia. Po paru sekundach osiągnęli VI, punkt, od którego należy zacząć start, i przeszli go. Kapitan Rogan przyspieszył do VR i zawołał:

- Kołować!

Kiedy Jumbo osiągnął punkt wznoszenia, kapitan łagodnie poderwał jego dziób w górę i potwór zaczął unosić się, nieprawdopodobny w swej potędze, wciskając się w nie stawiające oporu powietrze. Kiedy tak wznosił się w noc, z potwora przekształcił się we wdzięcznie lecącego olbrzyma.

Keller odprężył się, gdy Jumbo nabrał wysokości i kreśląc na niebie ogromny łuk skierował się w stronę wyznaczonego dlań korytarza Amber 1. To prawda: kiedy już oderwał się od ziemi w sprawnie, jak ta, działającej maszynie, wszystkie kłopoty masz

za sobą. Nawet dowódca wydawał się bardziej zrelaksowany. **Kiedy razem odprawiali postartową procedurę kontrolną**, z jego twarzy wyraźnie spływało napięcie. Keller przyglądał mu się, podczas gdy kapitan dawał pozwolenie odpięcia pasów i palenia. Na krótki moment ich oczy spotkały się, po czym Rogan powrócił do swoich instrumentów. Jego twarz była nieprzenikniona.

Właśnie w tym momencie do kabiny wpadła Cathy.

- Panie kapitanie - powiedziała alarmująco.

- Słucham, Cathy? - zapytał sztywno, ani na moment nie spuszczać wzroku z przyrządów.

- Jeden z pasażerów pierwszej klasy znalazł w swojej walizce jakieś urządzenie - spojrzała przelotnie na Kellera, przeleciała między nimi iskierka emocji. - To wygląda jak... bomba!

Głowa kapitana szarpnęła się w jej stronę.

- Jesteś pewna?! - warknął.

Wzdrygnęła się na ostry ton jego głosu.

- Ma jakby zapalnik czasowy. Pasażer nie wie, w jaki sposób znalazła się w jego aktówce.

- Czy inni pasażerowie już o tym wiedzą?

- W przedziale pierwszej klasy, tak. Ci z drugiej, którzy siedzą na przedzie, zastanawiają się, skąd ten ruch.

- Dobrze - spojrzał na Kellera. - Zejdz i sprawdź.

- Czy zmienisz sygnał na alarmowy?

- Nie, dopóki tego nie sprawdzisz! - powiedział ostro Rogan.

Cathy z ciekawością spojrzała na obu mężczyzn, na moment przestając myśleć o niebezpieczeństwie na dole. Nigdy przedtem nie słyszała, aby kapitan mówił w ten sposób do Dave'a, a już nieraz przechodzili różne kryzysy. Keller wyprągnął się już z pasów i spoglądał w dół na pierwszego pilota, jak gdyby chcąc coś powiedzieć. Rogan zmierzył go chłodnym wzrokiem i Cathy poczuła między nimi dwoma napięcie.

- No? - powiedział ze złością kapitan. Jego uniesiona twarz zdradzała jedynie wściekłość, ani śladu strachu. - Zabieraj się wreszcie na dół!

Keller odwrócił się bez słowa i wymanewrował z ciasnej przestrzeni. Stał przed Cathy i dostrzegł, jak bardzo pobladła, nie na myśl o groźącym niebezpieczeństwie, lecz z troski o niego. Uśmiechnął się pocieszająco i ujął jej ramię.

- Prowadź - rzekł.

Kiedy mijali mechanika pokładowego, całego skapanego w pocie, Keller klepnął go po ramieniu i zawołał, starając się przekrzyczeć ryk motorów:

- Nie zakładaj jeszcze spadochronu, Al!

Mechanik uśmiechnął się słabo i uniósł w górę oba kciuki. Przebiegli przez wąskie drzwi kokpitu i zaczęli schodzić po schodach. Cathy obejrzała się na niego przez ramię. Była bardzo błada, jej oczy rozszerzył strach. Znow sięgnął do niej, gładząc dłonią uniesioną ku sobie twarz i muskając palcami delikatny policzek. Uśmiechnął się, żeby jej dodać otuchy, schodzili dalej.

Główny steward. Brody, czekał na dole. Zobaczywszy Kellera wskazał ręką w kierunku przedziału pierwszej klasy. Drugi pilot nie tracił czasu na pytania. Wpadł do przedziału, ignorując rzędy podenerwowanych, przygryzających wargi twarzy za plecami. Zamarł na widok sceny, która go powitała.

Sir James Barrett siedział bokiem w swym fotelu, z nogami w przejściu. Na kolanach trzymał otwartą, zgrabną, czarną walizeczkę. Na jego twarzy malowała się konsternacja. Nastroje innych pasażerów wahały się od czystej paniki do nerwowej ciekawości. Młody mężczyzna obok sir Jamesa, jego osobisty sekretarz, przyciskał się do okna, jakby pragnął przeniknąć przez kadłub, byle dalej od zagrażającego wszystkim urządzenia w walizce. Czterej japońscy przemysłowcy, którzy zajmowali następny rząd foteli, przeszli na dziób Jumbo Jeta, skupili się tam w grupkę i szwargotali zawzięcie, podekscytowani. Kobieta kołysała w ramionach małą, płaczącą dziewczynkę. Sama też zdawała się być bliska płaczu. Plastikowa lalka upadła na środek przejścia, skąd przyglądała się tragedii chłodnymi, niewidzącymi oczami. Mężczyzna, mówiący z amerykańskim akcentem, wrzeszczał gniewnie na niego, aby coś zrobił, podczas gdy towarzysz ciągnął go za rękaw, chcąc go uciszyć.

A jeden człowiek stał samotnie, z ręką wspartą na oparciu swojego fotela i drugą w identycznej pozycji na fotelu przed nim, używając ich niby lasek. Był upiornie chudy, z żółtawą skórą, jego twarz stanowiła masę głęboko wyrytych marszczek. Uśmiechał się. Jego uśmiech wyrażał mieszaninę strachu i podniecenia. I szyderstwa.

Wyglądało na to, że sir James nie może oderwać wzroku od walizki spoczywającej na jego kolanach, ale gdy Keller podszedł bliżej, odwrócił się ostrożnie, odsłaniając przed drugim pilotem

jej zawartość. W momencie, gdy jego wzrok padł na skomplikowaną płataninę drutów, plastikowych rurek i przewodów zapalnika zegarowego, Keller wiedział już, że to prawdziwa bomba. I natychmiast pojął, jak dostała się na pokład. Otworzył usta, by polecić sir Jamesowi, żeby się nie ruszał, lecz w tej właśnie chwili błysnęło przed nim oślepiające, białe światło, podmuch zaś cisnął nim przezabinę, zwalając z nóg. Całe jego ciało spowijał palący kokon światła.

Poczuł, jak jego ciało wali o coś twardego i upadł na podłogę, o dziwo nie czując żadnego bólu, tylko wszechogarniająco bezwład. Zmusił się do otwarcia oczu. Zastanowiło go, czemu widzi świat pod tak dziwnym kątem, dlaczego pasażerowie miotają się wokół i ześlizgują w dół podłogi, czemu płomienie liżą ściany kabiny. Nagle jego spojrzenie padło na przednie drzwi pasażerskie, na wpół wyrwane, jakimś cudem trzymające się jeszcze na wąskich paskach metalu. Przed powstały otwór wdzierało się z rykiem do kabiny czarne, nocne powietrze. Na ten widok do jego otumanionego mózgu powoli zaczęło docierać, co się właściwie stało.

Próbował się podnieść, zdziwiony, że wcale nie czuje bólu, udało mu się jednak tylko podeprzeć na łokciu. Usiłował zawołać coś, widząc pełną ku niemu Cathy. Jej przerażoną twarz zalewała krew, oczy wypełniały groza i współczucie. Usta były otwarte, jak do krzyku, ale niczego nie słyszał, wnętrze samolotu bowiem stało się milczącym światem zgiełku. Kiedy obraz zaczął wirować i zamazywać się, a oczy odmawiały dalszego przekazywania wizji otaczającego go horroru, po raz ostatni dostrzegł Cathy, która sięgała ku niemu drżącą, zakrwawioną ręką, walcząc desperacko z narastającym nachyleniem podłogi. W jej oczach dojrzał ślepy żal.

Potem zaś wszystko zamgliło się w spokojną nicość, błogosławiony sen.

Poczuł, że coś unosi jego powieki i natychmiast ocknął się, mrugając i cofając oczy przed rozwierającymi je kciukami. Patrzył w zatroskaną twarz ojca Vincente.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał ksiądz. - Proszę się nie ruszać, dopóki nie Upewnimy się, czy nic nie jest złamane. Keller leżał nieruchomo, podczas gdy doświadczony palec

badaly jego ciało w poszukiwaniu złamanych kości. Z wysiłkiem powrócił myślami do teraźniejszości. Wszystko naraz powróciło do niego, ta wyrazista wizja koszmaru: bomba, eksplozja, ostre nachylenie kabiny, gdy samolot runął ku ziemi, udręka na poranionej twarzy Cathy i jej próby osiągnięcia go. W kąciakach oczu pojawiły mu się łzy. Zamrugał szybko, by je zdusić. Może lepiej było nie pamiętać?

Ale teraz przynajmniej był pewien przyczyny! Kłótnia pomiędzy nim a kapitanem nie odegrała żadnej roli w zniszczeniu 747. Ani on, ani też pierwszy pilot nie zaniedbali niczego, zapobieżenie wypadkowi nie leżało w ich możliwości. Wiedział także, w jaki sposób bomba dostała się nie wykryta na pokład. Spróbował usiąść, powstrzymały go jednak silne ręce.

- Cierpliwości, panie Keller, już prawie skończyłem - uspokajał go ojciec Vincente.

- Czuję się dobrze - nalegał Keller, rozglądając się wokół. - Gdzie jest Hobbs? - spytał z niepokojem.

- Tutaj, David - z cienia dobiegł przytłumiony głos. Ujrzał kuśtykającą ku nim postać i w polu widzenia pojawiło się medium, przyciskające do ust zaplamioną czerwienią chusteczkę. Ktoś z powrotem zapalił świece, promień latarki wrócił do dawnej mocy. W samolocie panowała cisza.

- Hobbs, to była bomba! Kiedy straciłem przytomność, przypominałem sobie wszystko, co zaszło tej nocy!

- Tak. Wiem, że to bomba - powiedział Hobbs ze zmęczeniem.

Keller próbował rozróżnić jego rysy w migotliwym blasku świec - latarka nakierowana była wprost na niego samego. Na czole i policzkach medium wystąpiły wściekle czerwone pręgi, włosy w wielu miejscach zostały wypalone, odsłaniając skupiska pęcherzy. I wciąż formowały się nowe.

- Chryste! - To wszystko, co zdołał wyrzec.

- Panie Keller, chyba nic nie jest złamane - oznajmił ojciec Vincente, prostując się po gruntownym, choć błyskawicznym badaniu.

- Nie, powiedziałem już panu, czuję się nieźle. - Keller nie mógł oderwać wzroku od zmalretowanej głowy spirytysty.

- Pan Hobbs powinien natychmiast jechać do szpitala? Został dotkliwie poparzony. Skaleczenia wokół ust otworzyły

się na nowo i trzeba je opatrzyć. I sędzę, że silny środek uspokajający nie zaszkodziłby żadnemu z nas.

- Nie... - Żeby łatwiej go mogli zrozumieć, Hobbs odjął od ust zakrwawioną chusteczkę. Zarówno pilot, jak i ksiądz wzdrygnęli się na widok jego spuchniętych, pokrwawionych warg. - Tej nocy mamy jeszcze wiele do zrobienia.

- Ależ pan nie może nic robić w tym stanie - zaprotestował ojciec Vincente.

- Nie mam wyboru - odrzekł po prostu Hobbs.

- On ma rację. To jeszcze nie koniec. - Keller, podparłszy się, usiadł na podłodze i zwrócił do Hobbsa:

- Skąd wiesz, że to była bomba?

Hobbs bezskutecznie usiłował zatamować strumyk krwi, płynący z ust. Kiedy mówił, krzywił się z bólu.

- Kiedy byłem... pod... przemówił do mnie jeszcze jeden głos. Różnił się od tamtych, zagubiony i równie wystraszony, jak inni... ale nie tak samo. - Aż zgiął się w raptownym ataku bólu i obaj mężczyźni rzucili się w jego stronę, aby mu pomóc.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Po prostu dajcie mi chwilę odpocząć.

Czekali w milczeniu, aż medium zgromadzi wystarczająco dużo sił, by mówić dalej,

- G... głos.,, zdołał mi powiedzieć... co się stało... kto za to... odpowiada. Musimy... dotrzeć... do tej osoby... dziś w nocy... jeżeli mamy... zapobiec... - ponownie upadł naprzód, jęcząc.

Keller złapał go za ramię.

- Głos. Kto to był? Kto do ciebie mówił?

Hobbs walczył, aby pokonać osłabienie.

- Nie... nie wiem. Był zmieszany... ale starał się nam... pomóc. Zbiorę cię.. do... tego człowieka.

- Kogo? Tego, kto podłożył bombę?

- Tak!

- Jak pan zdoła tego dokonać? - włączył się ksiądz.

- Obraz w moim... mózgu. On... pokazał... mi.

- Zatem to sprawa policji - powiedział zdecydowanie ojciec Vincente.

- Nie... ma czasu... nie...

- On ma rację - zgodził się Keller. - Poza tym, jak by pan to wytłumaczył policji?

- Musimy... się... pośpieszyć. Musimy dotrzeć... tam... dziś.

Z pomocą pilota i księdza Hobbs zdołał z wysiłkiem wstać. Chwiał się na nogach, mógł jednak chodzić.

Myśli kotłowały się w głowie Kellera. Bomba. Wniesiona na pokład przez sir Jamesa. To takie proste. Poza tym, że kierował różnymi innymi kompaniami, był także dyrektorem linii lotniczych Kellera i często omijał nużącą kontrolę celną oraz przegląd bagażu osobistego, wsiadając do samolotu wraz z załogą. Oczywiście było to nieoficjalne, nie zawsze też korzystał z przywileju. Tym razem jednak użył go, Keller był tego pewien. Takie proste.

Ale kto podłożył bombę? Co za szaleniec mógł zabić ponad trzysta osób, aby dostać jednego człowieka? A może jego prawdziwym celem było masowe morderstwo? I czemu sir James nie zauważył bomby przed wejściem na pokład? Tak wiele pytań czekało jeszcze na odpowiedzi. Na przykład jego własne ocalenie. Słyszał o przypadkach, kiedy osoba stojąca dokładnie na drodze eksplozji jakimś cudem wychodziła z niej cała. Miało to coś wspólnego z podmuchem powietrza, odpychającym od centrum wybuchu, formującym tarczę ochronną wokół ciała. Nieprawdopodobne, lecz nie niemożliwe. Jego ciało uderzyło o coś twardego i wpadło za to coś, prawie do samych schodów. Może to właśnie osłoniło go przed ogniem towarzyszącym eksplozji? Potem, kiedy 747 runął na ziemię, luźno zwisające drzwi oderwały się wreszcie, odrapując skrzydło - dokładnie tak, jak przypuszczał Tewson. A on, leżąc blisko nich, został wyrzucony na miękkie błoto łąki.

Czuł ulgę, wynikającą z wyjaśnienia swego ocalenia, a także z faktu, że winy za wypadek nie dało się w żaden sposób przypisać pilotom. Była to jednak niespokojna ulga.

Wydostali się z wraku, zaskoczeni, że nie rozsypano się do reszty, zdumieni, że nie czeka na nich żaden policyjny komitet powitalny. Z pewnością ogłuszający hałas dobiegający z wraku musiał wzbudzić czyjeś zainteresowanie. Wtedy ksiądz wskazał im oczywisty powód tego braku uwagi ze strony władz.

Na wschodzie, w kierunku High Street, noc lśniła czerwienią. Płomienie strzelały w niebo. Wyglądało na to, że zajął się jeden ze sklepów lub budynków przy głównej ulicy.

A ogień się rozprzestrzeniał.

Rozdział 20

Trójka chłopców - dwóch z nich niosło niewielkie puszki farby - skradała się chyłkiem pomiędzy mrocznymi arkadami, mijając niezliczone nazwiska Starych Etończyków, którzy zginęli w pierwszej wojnie światowej, złowieszczo, ale i dumnie wryte na kamiennych ścianach. Jeden z nich desperacko starał się stłumić śmiech.

- Na litość boską, Greene, zamknij się wreszcie! - wyszczał przywódca. Winowajca czynił wszystko, co tylko mógł, żeby zdławić swój chichot przybrudzoną chusteczką do nosa.

Dotarli do masywnych, drewnianych drzwi przedsionka kaplicy i przystanęli, nasłuchując, czy nie rozlegnie się gdzieś nagły krzyk lub ścigające ich kroki.

- Słuchaj, Spelling - wyszeptał bez tchu jeden z chłopców. - Może powinniśmy wrócić, jak myślisz? No wiesz, jak nas przyłapią, może być cholernie niewesoło.

Przywódca odwrócił się do niego i rzekł z niesmakiem:

- Spieprzaj, jeśli się boisz, Clemens. W końcu to ty pierwszy na to wpadłeś!

- No tak, ale to miał być tylko żart. To znaczy, taki sobie pomysł. Nie sądziłem, że weźmiecie to na serio - chłopak nerwowo podrapał pryszcz na szyi.

- No więc wzięliśmy! I siedzisz w tym tak samo jak my, więc zamknij swoją cholerną kłapaczkę!

Clemens wpadł na ten pomysł poprzedniej nocy, kiedy leżeli rozbudzeni w łózkach, nie mogąc zasnąć pod wpływem ekscytujących, choć upiornych historii krążących tego dnia po *college'u*

Wszystkie traktowały o tajemniczej śmierci Thatchera, dramatycznym zgonie pary, która wyskoczyła z okna na High Street, zwłokach wyłowionych z rzeki i innych niesamowitych wydarzeniach - wśród których bynajmniej nie ostatnie miejsce zajmował

nagły świr pastora. Opowieści rozwijały się i obrastały w nowe wątki, chłopcy z upodobaniem nurzali się we własnych, szczególnie makabrycznych wersjach.

Jak na razie ulubiona z nich głosiła, że pastor był okultystą, czarnym magiem, a para, która popełniła samobójstwo, stanowiła część grona jego wyznawców. Tuścioch został przez nich złożony w ofierze Księżu Ciemności, a facet, który zginął nad rzeką, natknął się przypadkiem na jeden z ich tajemnych obrzędów i umarł ze strachu! Ale szatan nie zadowolił się tą ofiarą, toteż dotknął pastora obłędem, tamci dwoje zaś zabili się, gdyż nękały ich wyrzuty sumienia. Młodszym chłopcom nie przeszkadzało zupełnie, że kolejność wypadków nie zgadzała się z rzeczywistością, ani też fakt, iż następnego dnia widziano wielbego Biddlestone'a wracającego ze szpitala i równie normalnego, jak zawsze. Od tej pory będą pilnie obserwować pastora, w jego obecności zaś trzeba będzie nosić złoty krzyż dla ochrony przed hipnotycznym wpływem złego oka (z braku krzyża doskonale nada się medalik ze świętym Krzysztofem). Starsi uczniowie nabijali się z tego, a prefekt objechał najmłodszych za rozpuszczanie idiotycznych plotek.

Ale dla trzech piętnastolatków: Spellinga, Greene'a i Clemensa, którzy dzielili ten sam pokój w jednym z internatów, opowieści te były przez swe okropieństwo zbyt atrakcyjne, aby pozwolić im wygasnąć tak od razu. W dodatku dostarczały doskonałej okazji użycia kluczy do kaplicy. Oczywiście nie były to prawdziwe klucze, tylko podróbki, umiejętnie wypilowane przez Greene'a na zajęciach praktycznych według oryginałów „wypożyczonych” od Saundersa, dozorcę, sprawującego pieczę nad kaplicą i pilnującego, żeby turyści nie wycinali swoich inicjałów w starym drewnie. Oddali je, zanim jeszcze zorientował się, że ich nie ma - rzecz jasna po zrobieniu odcisków w plastelinie. Problemem pozostało jedynie, jaki z nich zrobić użytek.

I kiedy w *college u* zaczęły krążyć historie o duchach i czarnej

magii, wszystko ślicznie się złożyło. Z początku mieli po prostu niejasny zamiar wkraść się do środka i wyryc swoje własne inicjały, nie pośród setek dawnych studentów, z których wielu później stało się sławnymi osobistościami, lecz w jakimś lepszym, mniej dostępnym miejscu, gdzie nikt ich nie zdoła znaleźć. W tajnym, jedynie im znanym zakątku, tak że podczas mszy będą mogli siedzieć i wymieniać znaczące spojrzenia w poczuciu sekretnej wiedzy - ich nazwiska są tam, między nieśmiertelnymi! Od dawna już zakazano tej praktyki, ale to oczywiście czyniło ją jedynie bardziej pożądaną. Ostatecznie ustalili, że miejscem tym będzie misterny nagrobek Rektora Thomasa Murraya, położony po lewej stronie ołtarza. Może gdzieś na rzeźbionym wizerunku, poniżej grobu? Nikt nigdy nie zauważy napisów, jeśli zrobią je dostatecznie dyskretnie, a pomyślcie tylko o satysfakcji, gdy po latach wrócą do Eton i będą mogli pokazać swe nazwiska żonom, dzieciom - może nawet kochankom! Taki był pierwotny zamiar. Ale pomysł Clemensa był lepszy.

Co będzie, jeśli pewnego dnia cała szkoła, zgromadzona na porannej mszy, zobaczy kaplicę zasmarowaną symbolami magicznymi, znakami czarownic i okultystycznymi figurami? Jaką furorę to robi! Jakie poruszenie! *College* nigdy tego nie zapomni! A atmosfera akurat nadawała się znakomicie. Rzecz jasna potem wszystko to da się wyczyścić, zatem nie będzie żadnej prawdziwej szkody. A powód do śmiechu na całe lata!

Tego ranka Spelling kupił w jednym ze starych antykwariatów na High Street książkę o czarnej magii z mnóstwem niesamowitych rysunków diabelskich symboli, które można by skopiować. Jasne, że zaraz po dokonaniu swego czynu będą musieli się jej pozbyć - gdyby wykryto, że to oni są autorami tego numeru, konsekwencje byłyby katastrofalne. Klucze też trzeba będzie zniszczyć. Ale całe piękno pomysłu polegało na tym, że mogli zamknąć za sobą drzwi, toteż naprawdę będzie to wyglądało na sprawkę sił nieczystych!

W miarę jak zbliżał się wieczór, Clemens odczuwał coraz większe wątpliwości co do całej tej historii. Idiotyczny pomysł! Wywałą ich bez zastanowienia! A poza tym, w nocy wokół kaplicy było jakoś... upiornie. Spelling w końcu zagroził, że jeżeli nie przestanie jęczeć, da mu w łeb. To najlepszy od lat,

może nawet od wieków, numer, o jakim pomyślał ktokolwiek w *college'u*. Co za szansa, żeby się odegrać na starym Griggs-Meade, rektorze, tym obłudnym draniu! Będzie musiał zmienić te swoje nudne kazania o tym, jak to zło czai się jedynie w duszy człowieka. Pojmie wreszcie, że zło to prawdziwa, żywa, materialna siła, tak jak twierdzi Dennis Wheatley!*

Greene znów zachichotał.

- Dalej, wy mazgaje! - wyszeptał głośno. - Jazda z tym!

Spelling jeszcze raz rozejrzał się ukradkiem, po czym wyjął z kieszeni spodni długi, lśniący klucz. Wsunął go delikatnie w odpowiedni zamek. Wszyscy trzej wstrzymali oddech i zacisnęli zęby. Obrócił dłoń i wykrzyknął z cicha:

- Są otwarte!

Wciąż wstrzymując oddech, ostrożnie pchnął drzwi, dziękując Bogu za to, że Saunders zawsze dokładnie oliwił zawiasy.

- Chodźmy stąd, Spelling. No wiesz, ktoś musi tam być, jeżeli drzwi są otwarte - nalegał Clemens, rozglądając się nerwowo.

- Nie, popatrz! W środku nie pali się światło. Durny stary palant Saunders musiał zapomnieć je zamknąć! - Spelling wcisnął głowę w szczelinę, po czym wśliznął się do środka.

- Chodźcie! - usłyszeli z ciemności jego polecenie.

- No dalej, Clemens, ty pierwszy - Clemens został brutalnie wepchnięty do środka przez Greene'a. Zarobił ponownie, kiedy w mroku wpadł na Spellinga.

- Uważaj, cholerny gamoniu! - wysyczał tamten. - Jazda, Greene, włącz do środka i zamknij te cholerne drzwi. Wtedy można będzie zapalić latarkę.

Długa szpara zwężyła się i całkiem zniknęła, gdy trzeci chłopak wszedł w korytarz prowadzący do przedsiionka, zamykając za sobą drzwi.

Spelling wyciągnął swą małą latarkę i wąski promyk światła przeszył ciemność.

- Jesteś pewien, że nie ma tu nikogo? - dopytywał się z niepokojem Clemens.

- No, trudno by chyba było wleźć komuś na te schody po ciemku, nie? - zripostował Spelling. - A teraz przymknij się

* Znanym angielskim autor powieści okultystycznych (przypis tłumacza).

wreszcie i chodźmy do kaplicy. - Za mną - wspiął się cicho na szerokie, drewniane schody, a pozostali dwaj pośpiesznie podążyli za nim, wzdragając się na każdy najbliższy trzask lub jęk starych stopni.

Doszli do drzwi przedsionka i, ku swemu zdumieniu, stwierdzili, iż także są otwarte.

- Niech mnie diabli, założę się, że stary Saunders musiał być na bani - zarechotał Greene. - Wiedziecie co, wychodząc pozamykamy to za niego.

Zaśmiali się z nerwowym uznaniem. Spelling znów zajrzał za drzwi, oświetlając latarką ściany przedsionka, który w rzeczywistości był sporych rozmiarów salą, porównywalną z wieloma mniejszymi kościołami. Wy tężyli słuch w oczekiwaniu jakiegokolwiek hałasu, po czym weszli do pomieszczenia, udekorowanego symbolami heraldycznymi i ostrożnie przecięli kamienną posadzkę idąc w kierunku wejścia do głównej kaplicy. Clemens na wpół spodziewał się, że całe miejsce zaleje raptem światło, a wściekły głos zażąda wyjaśnienia, co też tu robią. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Sama kaplica była nieporównywalnie jaśniejsza dzięki wysokim, witrażowym oknom, które wpuszczały do środka światło z zewnątrz, przemieniając je w dziwną mieszaninę barw. Lecz dla Clemensa stanowiła nadal straszne, ponure miejsce i gdyby nie Greene, idący tuż za nim, odwróciłby się w tym momencie i uciekł. Trójka chłopców spojrzała w głąb wysokiego, łukowatego sklepienia, po czym przeniosła wzrok na rzędy przepięknie rzeźbionych ciemnych, drewnianych ław, stojących naprzeciw siebie po obu stronach szerokiego przejścia. Te z tyłu poznaczone były inskrypcjami bogatych lub sławnych etończyków. Ledwie widzieli imponujący marmurowy ołtarz na końcu kaplicy, obramowany cudownymi gobelinami, fragmentaryczne freski zaś biegnące wzdłuż połowy sali wyglądały jak szare skupiska ciemnych plam.

Żaden z nich nie dostrzegł biało odzianej postaci siedzącej w ciemności w jednej z ostatnich ław pod ścianą. Wszyscy trzej jednak poczuli wilgotny chłód, przenikający ciało aż do kości.

- Ch-chryste, co za przeklęte zimno! - wymamrotał Spelling.

W odpowiedzi Clemens, wstrząśnięty bluźnierstwem w świętym miejscu, spojrział jedynie na białą płamę twarzy kolegi.

- Zabieramy się do malowania - pogonił ich Greene i ruszył naprzód, wymachując rażno puszką farby i nucąc swój obecnie najulubieńszy przebój. Wyglądało na to, że dotkliwy chłód kaplicy zupełnie mu nie przeszkadza.

- Ty pierwszy, przyszczatku - w głosie Spellinga brzmiało okrucieństwo. Jasne, gdyby mu tylko dać szansę, urwałby się stąd natychmiast. Clemens z rezygnacją wzruszył ramionami i ruszył w ślad za Greene'em w kierunku ołtarza. Spelling raz jeszcze obejrzał się za siebie i uczynił to samo. Wydało mu się, że dostrzega białą płamę na tle lewej ściany, lecz właśnie kiedy miał skierować tam latarkę, zniesmaczony głos Greene'a odwrócił jego uwagę.

- Cuchnie, jakby zdechł tu jakiś pieprzony kot. - Greene zmarszczył nos, czując narastający odór. - Dobra, Spelling, gdzie ma być ta bazgranina? Na ołtarzu?

- Nie, myślę, że na ścianach... i może na podłodze przed nim.

- Dobra. Ściany twoje, podłoga moja.

- Mamy tylko jedną latarkę, kretynie. Musimy działać kolejno.

- No, to do roboty. Najpierw podłoga.

Spelling wcisnął latarkę w drżącą dłoń towarzysza i zaczął otwierać swoją puszkę.

- Co masz, Greene? Czerwoną? - szepnął do przyjaciela, który ostrożnie uniósł przykrywkę swojej farby, nie chcąc się zapaćkać.

- No. Czerwoną - odparł.

- Zgadza się, ja mam czarną. Dobra, zajrzyjmy do książki. Poświeć tu, Clemens.

Podczas gdy Spelling kartkował grubą księgę w poszukiwaniu odpowiedniego symbolu, Clemens rozglądał się po kaplicy. Stopniowo jego oczy przystosowywały się do mroku, przez moment jednak zastanowił się, czy aby nie ma jakichś przywidzeń. Przez ułamek sekundy wydało mu się, że długie rzędy ławek wypełnione są czarnymi, nieruchomymi postaciami. Energicznie zamrugał oczami i spojrział ponownie. Nie, to tylko wyobraźnia, nic tam nie było.

- Do ciężkiej cholery, trzymaj to pieprzone światło nieru-
chomo! - warknął na niego Spelling. - O, to niezłe na
początek.

Uśmiechnął się na widok rysunku, który znalazł. W świetle
latarki jego twarz miała złośliwy, gnomy wyraz. Natężył wzrok,
aby przeczytać podpis pod ilustracją.

- Czarodziejski krąg używany do wzywania demonów i za-
wierania paktów - odczytał na głos.

- Brzmi niezłe - skomentował Greene. - Tylko trochę to zbyt
skomplikowane.

- Uprościmy. - Spelling rozłożył książkę na podłodze i wyjął
szeroki pędzel, ukryty dotąd w kieszeni marynarki. Umoczył go
w czarnej farbie i, schylając się nisko, zaczął kreślić na podłodze
przed ołtarzem szeroki okrąg.

- Niespecjalnie równy - stwierdził Greene, kiedy Spelling
ukończył pracę.

- Nada się. Ty namaluj trójkąt wewnątrz, a ja machnę
zewnątrzny krąg.

Obaj energicznie zabrali się do roboty, chichocząc za każdym
razem, kiedy wpadali na siebie.

- Dobra - w głosie Spellinga dzwięczała satysfakcja. Wypro-
stował się i podziwiał swe dzieło. - No, co tam mamy wewnątrz
trójkąta?

- Trzy koła, połączone krzyżem i... wygląda jak... rodzaj
krzywej, z której... wychodzą płomienie - poinformował go
Greene, przechylając głowę na jedną stronę i koncentrując się na
symbolu.

- W porządku. Czarne koła i krzyż. A ty zrobisz krzywą
i płomienie, na czerwono.

Clemens przyglądał się ich zgiętym plecocom z rosnącą obawą.
Czemu podsunął im ten dumny pomysł? Wydało mu się, że kątem
oka pochwycił jakiś ruch i rzucił spojrzenie na jedną z małych,
bocznych kapliczek. To była kaplica Lupton, oddzielona od
głównego pomieszczenia misternie rzeźbioną ścianką. Mignął
mu jakby czarny kształt, uskakujący za zasłonę.

- Słuchajcie, chłopaki. Wydaje mi się, że tu ktoś
jest - wyszeptał z przejęciem.

Spojrzel na niego.

- Nie zmocz się tylko ze strachu, Clemens. Nikt nie mógłby się tu dostać.

- W końcu drzwi nie były zamknięte, tak czy nie?

Spelling i Greene popatrzyli po sobie.

Greene głośno przełknął ślinę.

- Co widziałeś? - spytał Spelling.

- Nie wiem. Chyba cień, gdzieś tam. Tak mi się wydaje.

- To na co czekasz? Poświeć tam, do cholery!

Clemens zrobił to, nic tam jednak nie było.

- To... to mogło się schować - nalegał z pewnym wahaniem.

- O rany, dawaj latarkę - warknął Spelling i pomaszerował do bocznej kaplicy, święcąc przed sobą. Clemens i Greene patrzyli, jak jego sylwetka wkracza za ozdobną przesłonę wejścia. Nagle zniknął kompletnie, a wraz z nim światło. Zamarli, słysząc niski jęk dochodzący z kaplicy i zachłysnęli się powietrzem na widok upiornej twarzy wolno wysuwającej się w górę pomiędzy rzeźbami. Wyglądała groteskowo: połączenie głębokich cieni i ostrego światła.

- Spelling, ty głupi kretynie! - zawołał Greene, prawie płacząc z ulgi.

Wychodzący za rzeźb, świecący latarką wyjętą już spod brody Spelling zataczał się ze śmiechu.

- To wam dało! - wykrztusił między niepojętymi atakami histerycznego chichotu.

Greene zamierzył się, jakby chciał rzucić w niego puszką farby i Spelling zwał w przejście, unosząc kolana w komicznym pośpiechu.

- Głupi tuman! - krzyknął za nim Greene.

- Tssss! - Clemens miał teraz nowy powód do niepokoju. Hałas.

Nagle Spelling wyłączył latarkę i prysnął w ciemne przejście między ławkami, potykając się w biegu o jedną z nich i padając na brzuch. Leżał tam, dysząc ciężko, i starał się stłumić śmiech.

- Daj spokój, Spelling! - syknął Clemens w ciemności. - Zapal tę przeklętą latarkę. Dalej, Greene, jeśli on chce się bawić w ten sposób, to spadamy!

Lecz Greene włączył się do zabawy. Nie było go nigdzie widać.

- Och, na miłość boską, ty też? Do cholery, to wcale nie jest śmieszne! - ogarniała go coraz większa wściekłość, połączona ze strachem przed ciemnością. Okręcił się gwałtownie, słysząc nagły stuk i następujący po nim stłumiony chichot.

- Wylaż, Greene, wiem, że tam jesteś! - czuł rozpacz. - Jeśli natychmiast nie przestaniecie, idę stąd!

Cofnął się zaskoczony, kiedy jego wzrok przykuło coś białego w tylnym rzędzie, i kopnął obcasem jedną z puszek farby, wywracając ją. Jej zawartość chlusnęła na podłogę, pokrywając ciemną kałużą świeżo wymalowane symbole; rosnąca plama lepkiej wilgoci.

Chłopak odskoczył od rozlanej farby, nie chcąc zniszczyć sobie butów. Tył jego kolana napotkał nagle brzeg przedniej ławki i Clemens gwałtownie usiadł. Pozostał w tej pozycji, dysząc ciężko, z oczami wpatrzonymi prosto przed siebie, w białą plamę, siedzącą nieruchomo w tylnym rzędzie. Błada, szponiasta ręka, która wynurzyła się zza niego, pozostała niedostrzeżona do chwili, gdy spadła ciężko na jego ramię.

- Buuuu! - krzyknął Greene.

Clemens wrzasnął i upadł na ziemię, usuwając swe ciało poza zasięg tego czegoś - niezależnie od tego, co to było - co go chwyciło.

- Zamknij się, matole! Chcesz, żeby zaraz zwała się tu cała szkoła, by sprawdzić, co to za hałas? - Greene czuł złość do tej mamroczącej postaci na podłodze, i prawie żałował swego niewinnego dowcipu. Gdyby tak znaleziono ich w kaplicy, szczególnie z tą farbą rozlaną po całej podłodze, to żegnaj szkołę, i to na zawsze.

- Myślę, że lepiej się stąd wynieść. Gdzie jest Spelling? Jazda, idioto, zanim nas złapią! - ostatnie zdanie wysyczał w kierunku rzędu ławek naprzeciwko. I wtedy dostrzegł jakiś biały kształt.

- Spelling? To ty, prawda? - zapytał niepewnie.

Clemens podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Słabe światło ograniczało widoczność. Obaj usłyszeli niski, chrapliwy śmiech.

Tuląc się do przedniej ławki Clemens zobaczył, że w ciemności siedzą też inne postacie, które wydawały się w ogóle nie ruszać, a jednak nie trwały w bezruchu. Wolno zgiął szyję, aby

zerknąć na Greene'a i ujrzał, że ławki po ich stronie również wypełnione były mrocznymi, mglistymi sylwetkami. Nagle kaplicę począł wypełniać cichy szmer, jedynie szept, lecz w jakiś niewytłumaczalny sposób narastający coraz bardziej, nieprawdopodobnie głośny, napełniający dźwiękiem głowę chłopca. Nad głosami górował śmiech, gardłowy, okrutny śmiech, dochodzący od białej postaci naprzeciwko. W powietrzu pojawił się smród czegoś przypalonego i przypiekanego, opływając chłopców budzącymi mdłości falami.

Spelling, wciąż rozciągnięty na podłodze, sparaliżowany docierającymi do niego dźwiękami, nie mogąc się ruszyć, jako że zdrętwiały mu mięśnie pleców, wyciągnął rękę w beznadziejnej próbie podniesienia się z ziemi. Dotknął czegoś kruche go i szorstkiego. Palce przesunęły się wzdłuż tego czegoś i dotarły do... kostki?! Poczłł spieczone ciało.

Z okrzykiem przerażenia szarpnął się do tyłu i spojrzął prosto w ohydną, prawie nagą, uśmiechniętą czaszkę. Wycofał się na czworakach, wąskim przejściem między ławkami, mijając spoglądające na niego, szepczące coś, potwornie zniekształcone twarze. Ręce, pozbawione palców, wskazywały nań oskarżycielsko.

Kiedy dotarł do szerokiego przejścia, zaczął cicho jęczeć, lecz nie przestawał pełznąć do tyłu, w kierunku wyjścia, dalej od ołtarza, dalej od znieruchomiłych przyjaciół. Skamlenie wydobywające się z jego ust ginęło pośród szeptów. Do tyłu, do tyłu, świadom obecności ciemnych kształtów, wypełniających drewniane ławy po obu stronach świątyni. Lecz jego umysł nie pozwolił mu pojąć pełnego znaczenia tych faktów, odmówił ich zaakceptowania.

Kaplica ożywiła się głosami umarłych. Wypełniała ją woń rozkładających się ciał.

Czołgając się tyłem - po twardej, kamiennej posadzce, Spelling widział, jak biała postać unosi się ze swego miejsca w bocznej ławce i kroczy wzdłuż wąskiego przejścia prosto w stronę jego przyjaciół. Łzy chłopca znaczyły na podłodze lśniący szlak. Kolana otarły się na kamieniu do krwi. Dostrzegł w mroku ciemną kałużę i zamazane białe plamy puszek, z których jedna była przewrócona. Widział, jak ciemne sylwetki wstają i zbliżają

się do Clemensa i Greene'a. Zobaczył, jak dziwna postać, odziana w biel, sięga po sztywno leżącego na podłodze chłopca. Jak drugi chłopak rozgląda się rozpaczliwie za jakimkolwiek ukryciem i pada na kolana pojmując, że jest otoczony. Ponad oparciem przedniej ławki widać było jedynie jego pobladłą twarz.

Potem zaś Spelling nic już nie mógł dostrzec poprzez masę ciemnych, falujących kształtów, zasłaniających kompletnie jego kolegów i figurę w bieli.

I dopiero wtedy krzyknął, zerwał się na nogi i wybiegł z kaplicy.

Kroki rektora dźwięczały na nierównych, kamiennych płytach krużganku. Jego oczy zatrzymywały się na każdym mijanym cieniu. Od lat miał w zwyczaju odbywanie nocnej przechadzki naokoło *college'u*, niekoniecznie, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, lecz by zanurzyć się samotnie w nostalgicznej atmosferze dawno minionych wieków, wsłuchać się w głosy zjaw dawnych etończyków, wyobrazić sobie siebie uczącego studentów o nazwiskach takich jak Walpole, Pitt, Shelley czy Gladstone. Którzy z jego chłopców wzniosą się na wyżyny podobnej sławy? Czy dawni opiekunowie odkryli potencjał niektórych uczniów? Czy to możliwe, by odgadli, jak ważne role odegrają pewni ludzie w historii Anglii? Kto będzie jego Shelleyem? Jego Gladstonem?

Dziś jednak czuł szczególną potrzebę tego spaceru, popychając go do wyjścia w noc. Cały dzień odczuwał narastającą presję, zakłócającą tok jego myśli, uniemożliwiającą koncentrację. Przeszedł pod lukiem wieży Luptona i szybkim krokiem podążył brukowaną ścieżką, przecinającą środek Dziedzińca Szkolnego. Starodawne budynki, otaczające czworokąt podwórza, stały spokojnie, nieświadome jego lęku. Kiedy dotarł do środka dziedzińca, zajmowanego przez zniszczony upływem czasu posąg Henryka Szóstego, zatrzymał się i wolno obrócił naokoło, jakby chciał wyczuć raczej niż usłyszeć czy zobaczyć jakiegokolwiek potencjalne źródło kłopotów. Powtórzył to dwukrotnie i za każdym razem musiał siłą odrywać wzrok od szarej,

niepokojącej kaplicy, górującej nad podwórzem i okolicznymi budynkami.

Griggs-Meade podniósł wzrok ku wysokim witrażom, z wewnątrz widzianym jedynie jako czarne otwory, jakby domagając się od nich samych wyjaśnienia mu przyczyn tego niepokoju. Wydało mu się, że płynie ku niemu delikatny szelest, lecz im bardziej się w niego wsłuchiwał, tym mniej był pewien, czy słyszy go naprawdę, czy to tylko zwykły szmer wewnątrz bębneków. I nagle krótki, przesywający krzyk dał jego zmysłom wyraźniejszy punkt odniesienia.

Nadszedł ponownie: ostry, niemal dziewczęcy. Rektor ruszył biegiem, przecinając na ukos dziedziniec, kierując się w stronę wejścia do przedsionka kaplicy. Jego długie nogi pokonały tę odległość błyskawicznie. Gdy osiągnął wreszcie wielkie wrota, zastanawiając się, czy są otwarte, czy nie, usłyszał kroki dźwięczące na drewnianych stopniach wewnątrz, stłumiony werbel panicznie uciekających stóp. pchnął drzwi, które rozwarły się na oścież. A z mroku wypadła na niego drobna, rozdygotana postać. Z jej gardła dobywały się przerażone piski.

Zderzenie odepchnęło Griggs-Meade'a, chwycił jednak szamoczącą się postać i zdołał złapać jej rękę nad łokciem. Potrząsnął mocno chłopcem, aby go uspokoić i spojrzał w pobladłą twarz. Ciągnąc go na środek dziedzińca, gdzie światło było lepsze, wyczuł, że ciało ucznia zeszywniało nagle w jego uścisku. Zdawało mu się, że rozpoznał tę twarz - nazwisko przypomni mu się później - ale stan, w jakim znajdował się chłopiec, nie kwalifikował go do wypytywania. Nieruchome, usta miał otwarte, a jego oczy wciąż spoglądały ponad ramieniem rektora w kierunku drzwi, z których przed momentem wypadł. Twarz lśniła mokrym blaskiem, jakby przed chwilą płakał, teraz zaś wydał z siebie omdlewający szloch. Griggs-Meade pojął, że cokolwiek tak wystraszyło jego ucznia, przebywało w kaplicy. Zaczął ciągnąć go z powrotem w stronę drzwi, czując wściekłość za wyraźne naruszenie przepisów i zastanawiając się, dlaczego właściwie chłopiec dopuścił się wykroczenia i kto jeszcze jest w to zamieszany.

Spelling zrozumiał intencje rektora i zaczął mu się wyrwać.

Jego ciche skamlenie przerodziło się w wrzask całkowitej odmowy. Padł na kolana, aby się zatrzymać.

- Wstań, chłopcze! - zagrział Griggs-Meade, ale w tej chwili chłopak wpadł już w kompletną histerię. Bełkotał coś bez ładu i składu, dygocząc niby strzęp człowieka. Rektor poczuł się rozdarty pomiędzy pozostawieniem go tutaj w tak przeraźliwym stanie a zaniechaniem zbadania przyczyn tego załamania. Spojrzał na kaplicę i podjął decyzję. Pozostawiając Spellinga, zwinętego w kłębek na ziemi, wpadł w ciemne wejście.

Zimno uderzyło go, gdy tylko wbiegł do przedsionka. Zupełnie jakby znalazł się nagle w stroneg drzwi głównej kaplicy, nie zwracając uwagi na panujący mrok, pełen wściekłości na każdego, kto osmielił się wtargnąć do jego ukochanej Kępscy.

I tam zatrzymał się, niezdolny zrozumieć rozgrywaną się przed nim scenę.

Okazało się, że całą ogromną salę wypełniają ciemne, ruchliwe sylwetki, sylwetki, które rozplywały się i znikwały, falowały w stale zmieniającej się masie. Niesamowite światło z olbrzymich, kolorowych okien miało ukazywać, czyniło ich kształty jeszcze mniej wyraźnymi. Gdy starał się skoncentrować na jednej postaci lub szczególnej ich grupie, zdawała się ona rozmywać i formować na nowo, gdy tylko odwrócił wzrok. Uderzył go szalony hałas, dobiegające z wielu gardeł dźwięki, które połączone ze sobą zupełnie go ogłuszyły. Jeśli jednak wsłuchało się w pojedyncze głosy, były to jedynie szepty. Ochryple i suche. Spalone.

W półmroku, z przodu Kępscy, przed ołtarzem, ledwie dostrzegł wśród ruchliwego tłumu białą odzianą postać. Ścisnęła ją jakby w objęciach dwie mniejsze sylwetki. Zafascynowany i przerażony rektor ruszył naprzód - fascynacja przyciągała go, strach nakazywał ucieczkę. Stawił opór temu drugiemu, ponieważ pojął, że postać w bieli trzyma w ramionach dwóch chłopców - niewątpliwie jego uczniów. Wcześniejsze przecucie niebezpieczeństwa, które męczyło go przez cały dzień, okazało się prawdziwe. Nie rozumiał, co się dzieje, ale wiedział, że chłopcy, że *college*, byli w śmiertelnym zagrożeniu.

Griggs-Meade nie był zbyt odważny, nie był też tchórzem.

Prowadziło go po prostu kategoryczne poczucie obowiązku.

Kiedy wkroczył do kaplicy, hałas urwał się nagle, a mgliste sylwetki obróciły się w jego stronę. Rozstały się na boki, tak że miał teraz doskonały widok na białą postać i obu chłopców, zamkniętych w jej ciasnym uścisku. Jakiś wewnętrzny głos kazał mu omijać wzrokiem te widmowe istoty, które mijał. Potworność ich zwiewnych rysów mogłaby okazać się zbyt wielka jak na jego wytrzymałość - odwróciłby się i uciekł. Nie mógł jednak zignorować smrodu, który docierał do jego nozdrzy. Odozu gnijącej śmierci.

Urywany, okrutny śmiech przykuł jego uwagę do białą odzianą postaci. Nawet z tej odległości mężczyzna wydawał się znajomy. Czy to możliwe? Wyglądał zupełnie jak fotograf, który w ciągu ostatniej dekady tyle razy pracował dla *college 'u*. Jak też on się nazywał? Miał pracownię na High Street.

- Co pan tu robi? - zapytał władczo Griggs-Meade. Jego głos był znacznie pewniejszy od samopoczucia. - Czemu pan trzyma tych chłopców?

Niski chichot mężczyzny wywołał u rektora dreszcze. To nie był ludzki dźwięk.

- Odpowiedz! Skąd się tu wzięłeś? - Griggs-Meade starał się mówić gniewnie. Prawie mu się to udało.

Nagle chichot przerodził się w złowieszczy rechot. Mężczyzna szeroko rozrzucał ramiona, nie wypuszczając jednak chłopców, których trzymał za gardła. Rektor zamarł widząc, jak ich oczy powoli wypełzają na wierzch. Wysuwające się z ust języki zdusiły ich krzyk, a palce niczym imadła dalej wyciskały z nich życie.

- Przestań! Przestań! - krzyknął rektor, mogąc jednak tylko obserwować w przerażeniu, jak tamten z nadludzką siłą unosi wciąż szeroko rozłożone ramiona i wolno dźwiga szarpiących się chłopców nad ziemię. Wieszał ich na własnych rękach! Odgłosy dławienia się, dochodzące od ofiar, których twarze zaczęły nabierać odcienia ciemnego fioletu, poderwały rektora do działania. Z okrzykiem furii rzucił się naprzód.

Lecz wtedy nastąpiło coś niebywałego, co sprawiło, że wstrząśnięty rektor odskoczył i upadł. Postać w białym fartuchu stanęła w ogniu.

Najpierw głowa, ognista kula, która jednocześnie śmiała się i krzyczała z bólu. Usta wyglądały jak czarna dziura pośród płonącego, popękanego ciała. Włosy momentalnie zniknęły w jasnym rozblasku, oczy zaś powoli spłynęły w dół policzków, zwisając na cieniutkich, poczerniałych od ognia włóknach. Płomienie wędrowały wzdłuż wyciągniętych ramion i w dół ciała tak, że mężczyzna wkrótce stał się płonącym krzyżem wyjącego cierpienia i chorobliwie szyderczego śmiechu. W tej samej chwili ogień dosięgnął chłopców i objął ich głowy, lecz krzyki uczniów nic już nie znaczyły dla leżącego rektora; szok znieczulił go całkowicie. Griggs-Meade dawno już przekroczył granicę możliwości uczuć.

Płomienie jasno oświetlały teraz wnętrze przestronnej sali, czerwone i żółte wzory płały po ścianach. Cztery klęczące na ołtarzu figury o rozmiarach dzieci w migotliwym blasku zdawały się uśmiechać. Mgliste postacie wypełniające kaplicę odskakiwały od płonącej trójki, a kiedy wiedziony beznamietną ciekawością Griggs-Meade rozejrzał się naokoło, ujrzał, jak pełgają po nich prawie niewidoczne płomyki, dostrzegł mękę torturowanych dusz. Ujrzał też jednak prawdziwe smużki dymu, unoszące się z drewnianych ław, na które padały widmowe istoty, zwijając się w milczącej agonii. Drewno rozjaśnił czerwony blask i wkrótce małe płomyczki rozbiegły się po jego powierzchni, łącząc się i spotykając, powiększając swą dziedzinę.

Jego uwagę przyciągnęła jedna z trzech postaci, która odpadła od płonącej trójki, gdy pozbawiona już ciała ręka mężczyzny pękła, osłabiona ogniem. Chłopiec upadł na kolana i natychmiast zerwał się na równe nogi. Jego plecy i głowa stanowiły jedną kulę ognia. Pognał do ołtarza, jakby chcąc się ocalić, lecz zderzył się z nim i padł na ziemię. Podnosząc się znowu, Clemens pokuśtykał naokoło ołtarza, chwiejąc się i potykając. Znowu upadł i dla utrzymania równowagi złapał się gobelinów. Ogień z jego ciała przeskoczył na nie natychmiast, rozprzestrzeniając się na starych materiałach, jakby były z papieru, żarłocznie pożerając bezcenne tkaniny.

Dwie pozostałe sylwetki stojące przed rektorem: mężczyzna i martwy już chłopiec, z wolna zachwiały się i runęły na

posadzkę. Wraz ze śmiercią ciała umilkły wrzaski bólu, lecz ostry, szyderczy chichot dźwięczał dalej, wciąż dochodząc z płonących zwłok.

Griggs-Meade zaciekawił się przelotnie, czemu właściwie siedzi w lepkiej czerwonej kałuży. Unosząc rękę stwierdził, że dłoń pokrywa mu ten sam płyn. Wyglądał jak krew, a jego otępiały mózg nie był mu w stanie uprzytomnić, że to tylko czerwona farba. W istocie, farba rozlała się tak szeroko, iż obecnie sięgała przednich ławek. Ogarniające stare drewno płomienie znalazły w niej zdolnego i chętnego sprzymierzeńca. Ucałowały farbę i przywarły do niej w zmysłowym powitanium, sunąc szybko i radośnie ku wyciągniętym nogom rektora.

Wkrótce całe wnętrze kaplicy przerodziło się w wielkie palenisko, szalejące piekło ognia, które niewiele sobie robiło z tradycji i równie mało z ludzkiego życia. Na zewnątrz małe, okoliczne budynki, zawsze dotąd kulące się w onieśmieleniu przed wspaniałością kaplicy, teraz kulily się wobec jej płonącej grozy.

A zwinięty na dziedzińcu chłopak drżał i płakał.

Rozdział 21

- Na prawo. Tutaj - głos Hobbsa był słaby i zachrypnięty.

Keller podążył za wskazówkami i skręcił Stagem w uliczkę naprzeciw kaplicy *college'u*. Zamyślane oczy medium obejrzały się na oddalający się budynek. Nic nie powiedział. dojechawszy do rozjazdu, Keller zahamował.

- Którędy? - zapytał.

Hobbs zdołał jedynie zmęczonym gestem unieść w górę palec i wskazać w prawo. Keller dodał gazu i samochód znów skoczył naprzód.

Nie wzięli ze sobą księdza. Próbował odwieść ich od tego zamiaru, namawiał, aby poszli na policję. Wszyscy trzej jednak wiedzieli, że nie miało to wiele sensu. Jak mogliby to wyjaśnić? Kto by uwierzył w historię, w którą sami z trudem wierzyli?

Ojciec Vincente pomógł Kellerowi pół przenieść, pół przewlec Hobbsa przez łąkę do auta. Nie spuszczał nerwowego spojrzenia z czerwonej łuny na niebie. Jeden z budynków na High Street płonął i widać było, że ogień się rozszerza. Nawet otwierając drzwi samochodu i sadowiąc wymęczonego spirytystę w fotelu z przodu, Keller słyszał odległe zawodzenie syren strażackich.

Ksiądz nie był pewien, czy powinien jechać z nimi, czy też zostać i pomóc ludziom stawić czoło, niebezpieczeństwu, jakiegokolwiek by ono było. Czuł, że pożar to dopiero początek, a kiedy ogień rozlewał się coraz szerzej, ciężka pokrywa, wisząca nad Eton od tyłu tygodni, jakby ostatecznie się ujawniła. Pieknielna moc. Toteż ksiądz będzie potrzebny.

Odmówił w duchu modlitwę i pobiegł w kierunku High Street oraz płonącego domu.

Keller patrzył za nim, dopóki czarno odziana sylwetka nie zniknęła we wciśniętej pomiędzy dwa budynki wąskiej alejce, prowadzącej do głównej ulicy. Potem zapalił silnik i wyjechał z parkingu, przechylając się lekko w stronę Hobbsa, aby dosłyszeć jego wskazówki. Przed wjazdem na High Street musiał się zatrzymać, by przepuścić dwa pędzące wozy strażackie, które z wizgiem opon zatrzymały się niedaleko od nich. Wskoczyły z nich błękitno umundurowane postacie i w pośpiechu rzuciły się, aby zdusić szalejący ogień. Pilot odjechał od tej sceny, w skrytości ducha modląc się, aby Hobbs nie stracił przytomności, póki nie dotrą do celu. Zwłaszcza ze spirytystą był nie tylko dotkliwie poparzony, ale na dodatek znajdował się w stanie szoku. Jego wyczerpany mózg domagał się wypoczynku, a porannie ciało potrzebowało spokoju. Lecz Keller wiedział, jak Hobbs zmusza swój umysł do skoncentrowania się, walczy sam ze sobą, aby nie uciec w nieświadomość. Pytanie brzmiało: jak długo uda mu się wytrzymać?

Keller przyspieszył, wyjeżdżając z miasteczka, a kiedy dotarł do bliźniaczego miasta Eton, Eton Wick, zwolnił ponownie, zerkając pytająco na Hobbsa i oczekując jego instrukcji.

- Jedź... dalej - głos stawał się coraz słabszy, mniej wyraźny.

Samochód ponownie nabrał prędkości. Po wyjeździe z miasta opadła na nich noc, niczym rzucony całun. Keller włączył długie światła i miał przyhamować, jeszcze dodał gazu. Wiedział, że medium długo już nie wytrzyma. Po obu stronach drogi rozpościerały się płaskie pola, skute mrozem i bezbarwne w silnym blasku reflektorów, a kiedy samochód przemknął przez długi zakręt, światła zamigotały przez moment na powierzchni zamrożonego stawu. Niewielkie skupisko świetlnych punktów na horyzoncie oznajmiło Kellerowi, że zbliżają się do kolejnego miasteczka. Zastanawiał się, czy to wreszcie to miejsce, czy tu znajdzie swój cel.

Nagle palce Hobbsa zacisnęły się zaskakująco mocno na jego łokciu.

- Stój! Stań tutaj!

Keller nadepnął hamulec i wóz zatrzymał się z poślizgiem. Odruchowo wyłączył reflektory i odwrócił się do medium.

Oddech Hobbsa stał się krótki, urywany, spirytysta zachłytywał się powietrzem próbując przemówić.

- Głos, David. Niknie. Opuszcza mnie. Mówi jednak... to tu. Ten... człowiek jest... tutaj.

Keller odkręcił szybę i wyrztał w mrok. Nic nie widział.

- Jesteś pewien? - zapytał Hobbsa. - Na zewnątrz nic nie ma. Tylko pole i drzewa.

Hobbs skurczył się w fotelu.

- On... mówi, że to tu. Gdzieś tu. Głos... taki gorzki, przerażony. Już zamilkł. - Spirytystą spróbował unieść głowę i rozejrzeć się wokół. - To gdzieś w pobliżu, David. Czuję to - skrzywił się nagle, po czym, kiedy ostry atak bólu ustąpił, jęknął: - Moja głowa... nie widzę dobrze. Rozejrzyj się, to musi być tutaj.

Keller pchnął swoje drzwi i właśnie miał wysiąść, kiedy inny samochód śmignął koło niego, rycząc wściekle klaksonem, gdy w ostatniej chwili mijął Staga.

Przez ułamek sekundy dostrzegł dom, uchwycony w promieniach reflektorów tamtego, który właśnie skręcał gwałtownie, cudem unikając zderzenia.

Światło przecięło prostopadle pole po jego prawej, i tam właśnie, dość daleko od szosy, stał jeden jedyny dom. Keller odniósł wrażenie, że jest on dość spory. I samotny. Sugerował zamozność, ale jego odosobnienie nasuwało również możliwość, że jest pusty. Znów zatrzasnęła drzwiczki i powoli ruszył naprzód, na światłach postojowych, wypatrując prowadzącego do budynku podjazdu, nie zastanawiając się ani przez moment nad źródłem swej dziwnej pewności.

Wiedział, że tam oczekują nań odpowiedzi.

Wkrótce udało mu się dostrzec wąską, zwirową drożkę. Skręcił w nią, gasząc światła i uważnie trzymając się jaśniejszego pasa pośród czarnych pól. Po jakiś pięćdziesięciu metrach zatrzymał wóz i siedział dalej w ciemności, czekając w milczeniu, aż przywykną do niej jego oczy. Oddech Hobbsa był teraz bardziej regularny i pogłębił się. Keller próbował go obudzić, delikatnie nim potrząsając, lecz medium jęknęło tylko, a jego potwornie zniekształcona głowa opadła na jedno ramię.

- Hobbs, słyszysz mnie - głos Kellera był miękki. Poczuli nagłą tkliwość do tego niepozornego człowieka, który tak wiele wycierpiał z jego powodu. Nie było odpowiedzi, lecz pilot ciągnął dalej, w nadziei, że jego słowa przenikną nawet barierę nieświadomości.

- Wchodzę do tego domu. Wiem, że to tutaj. Bóg jeden wie, dlaczego, ale jestem pewien. Nie ruszaj się stąd, po prostu odpoczywaj. Wystarczająco dużo już zrobiłeś. Reszta należy już do mnie.

Wysiadł z auta, zamykając za sobą cicho drzwi, po czym stanął, niewrażliwy na chłód, i przyjrzał się domowi. Był on wciąż odległy o jakieś sto metrów i pilot dostrzegł teraz inne światła po jego obu stronach, częściowo przesłonięte przez wysokie ogrodzenia i gęste, choć nagie drzewa. Wszystkie budynki stały co najmniej paręset metrów od siebie, dając swym mieszkańcom poczucie prywatności i osamotnienia, wysoko cenionego spokoju. Lecz dom, którego szukał, odznaczał się szczególną rezerwą.

Trudno było określić, co tak bardzo różniło go od sąsiadów. Może fakt, że inne domy zdawały się żyć, ciepłe światło przenikające przez szpary w zasłonach zdradzało toczące się wewnątrz ukryte sprawy. Ten dom wydawał się martwy.

Keller odszedł od samochodu i skierował się w stronę budynku. Jego buty z chrzęstem miażdżyły małe kamyczki, przewrażliwiony słuch podkreślał jeszcze ten odgłos. I nagle drzemiąca konstrukcja jakby przebudziła się od dziwnej świadomości. Czarne okna obserwowały jego nadejście, pytając go, po co tu przyszedł, jakie żywi zamiary. Budynek przemienił się w chytrą istotę, zazdrośnie strzegącą swego sekretu, zakazującą mu wejścia, choć jednocześnie wyzywającą go, aby to uczynił. Przystanął przy bramie i przyjrzał się domowi, szukając jakichkolwiek oznak życia. Lecz kamienna twarz pozostawała nieprzenikniona.

Pchnął furtę, nie przejmując się zupełnie zgrzytem zardzewiałych zawiasów, i ruszył ścieżką do frontowych drzwi. Wciąż czuł strach, ale ciekawość przewyciężyła jego podenerwowanie.

Nacisnął dzwonek i zaczął nasłuchiwać.

W środku nic się nie poruszyło. Żadnego dźwięku.

Zadzwoił raz jeszcze, słysząc jedynie delikatny brzęk dzwonka przez zamknięte drzwi.

Nikt nie podszedł.

Zszedł ze ścieżki i zaczął przeciskać się przez otaczające budynek krzaki, kierując się do bocznego okna. Zasłony były zaciągnięte, mała zaś szpara w miejscu, gdzie się stykały, ukazywała jedynie ciemność. Odstąpił do tyłu, zadzierając

głowe, i zajął w okna na piętrze. Czy to sztuczki wyobraźni, czy też rzeczywiście dostrzegł prawie niewidoczne drgnięcie zasłony? Wrócił do frontowych drzwi i ponownie nacisnął dzwonek.

Wciąż brak odpowiedzi.

Może Hobbs się pomylił? Czyżby wyczerpanie i ból opanowały jego umysł, igrając z wyobraźnią, a nowy głos był tylko jego własną desperacką próbą odnalezienia rozwiązania? Nie, on, Keller, czuł to także. Odpowiedź znajdowała się tutaj. Wewnątrz tego domu.

Obszedł go z jednej strony.

W ciemności Keller nie zauważył innych śladów stóp w błocie zapuszczonego ogrodu. Kiedy skręcał za róg, coś nagle zaatakowało jego zawziętość, jego postanowienie na moment osłabło, gdy przepłynęło przez niego dziwne, niemal elektryczne uczucie. Serce zabiło mu szaleńczo i musiał oprzeć się ręką o ścianę budynku, póki nie uspokoiło się i nie powróciło do w miarę regularnego rytmu. Strach? Częściowo. Ale głównie obawa przed czymś. Czuł, że jest bliski uzyskania odpowiedzi, poznania przyczyny śmierci wszystkich tych ludzi, sposobu, w jaki zostało to przeprowadzone. I jeszcze czegoś. Być może przyczyny własnego ocalenia.

Nowa siła wyparła słabość z jego ciała. Odepchnął się od ściany. Teraz stawiał kroki ostrożniej. Dostrzegał czarny zarys drzwi i sąsiadujące z nimi okno. Nagły ruch w oknie sprawił, że przypadł do ziemi i zamarł w bezruchu. Z ulgą stwierdził, że to tylko zasłony, kołysane dostającym się przez otwartą szybę chłodnym wietrzykiem.

Czemu jednak okno było otwarte?

Keller zaczął skradać się ku niemu. Jego nozdrza uderzyła nikła, odpychająca woń, którą od niedawna tak dobrze poznał. Zapach rozkładającego się ciała.

Nie był zbyt silny, nie mogło być jednak żadnej pomyłki co do jego charakteru: nie niematerialna zgnilizna, roztaczana przez duchy, lecz fizyczny rozkład ludzkiego ciała. W środku był trup.

Z nieprzekonywającą myślą, że może to tylko szczątki martwego zwierzęcia, Keller ostrożnie rozsunął zasłony i wytyczył wzrok, próbując przeniknąć ciemność. Nic. Tylko czerni:

Z napiętymi do granic wytrzymałości nerwami wcisnął głowę w otwór, wstrzymując oddech. W dalszym ciągu nic nie widział.

Rozsunął stopy jeszcze szerzej, uniósł nogę nad parapetem i do połowy wszedł do środka, po czym, rozkraczony na oknie, zastygł nasłuchując, dając oczom czas na przywyknięcie do słabszego oświetlenia. Woń była tu silniejsza, lecz nie tak bardzo mocna. Wsunął się całkowicie do wnętrza, znów przystając, oparty plecami o ścianę, obracając wolno głową z lewa na prawo, wyczekując nagłego poruszenia lub oddechu. Nic jednak nie mąciło ciszy.

Prawie boleśnie Keller wypuścił powietrze i wciągnął oddech. Teraz odór wzmocnił się wyraźnie, ciągle jednak jeszcze był w miarę znośny. Cokolwiek tu umarło, nie nastąpiło to zbyt dawno.

Powoli, ostrożnie Keller ruszył naokoło pomieszczenia, macając rękami przed sobą, nie odrywając pleców od stanowiących jednocześnie podporę i ochronę ścian. Jego oczy zaczęły odróżniać w ciemności przedmioty: dwa prostokątne białe obiekty, mogące być jedynie lodówką i kuchenką, ciemniejszą plamę, która musiała być jakąś szafką, i krągły kształt na środku, będący najpewniej stołem. Ale było jeszcze coś ciemniejszego, leżącego na powierzchni stołu, i wiedział, że to ciało.

Keller zwalczył nagłą chęć ucieczki, wydostania się z tego mrocznego, ponurego wnętrza. Lecz poczucie konieczności, świadomość uciekającego czasu była zbyt silna i zatrzymała go. Czuł, że musi poznać prawdę. Nie spuszczać wzroku ze stołu i opartego na nim ciała, przesunął się powoli naokoło kuchni, nieco szybciej, lecz równie cicho. Stopniowo widział w ciemności coraz lepiej. Nagle uderzył kolaniem w taboret, może krzesło, i omal się nie przewrócił, w ostatniej chwili zachowując równowagę dzięki wsparciu się dłonią o ścianę. Jeszcze raz przystanął w mroku, myśląc gorączkowo, czy ktoś dosłyszał łomot - o ile w ogóle był tu ktoś, kto mógłby go usłyszeć. Po paru sekundach ruszył dalej. Kiedy wreszcie osiągnął przeciwległą ścianę, zaczął macać w poszukiwaniu drzwi. Jeżeli je znajdzie, powinien też odszukać wyłącznik światła. Wędrująca dłoń natrafiła wreszcie na framugę i szybko poczęła szukać kontaktu. Gdy w końcu natknął się na kwadratowy kawałek plastyku, nacisnął go bez wahania, trzymając oczy ściśle zamknięte. Światło zalało pokój i ukuło nawet przez zaciśnięte powieki. Odczekał kilka sekund, zanim je otworzył, mrugając z bólu i przytulając twarz do ściany, dopóki nie zaczął widzieć normalnie. Wtedy odwrócił

się i przebiegł wzrokiem pomieszczenie, upewniając się, że jest puste prócz niego samego - i zwłok.

Trup siedział na krześle, tyłem do okna, jego głowa i ramiona spoczywały na okrągłym stole. Wypływająca spod nich zakrzepła krew pokrywała część blatu na podobieństwo ciemnoczerwonej kałuży z wąziutkimi, zaschłymi już strumyczkami, biegnącymi do krawędzi stołu. Twarz przesłaniała jedna ręka, wysunięta naprzód i zgięta w łokciu, której palce niemal dotykały tyłu głowy. Nawet w tej dziwacznej pozie było w tym mężczyźnie coś znajomego: rzednące, rudobrązowe włosy, pokrywające długimi pasmami kołnierz płaszcza, czarna oprawa okularów. Połowa jednego szkła wystawała zresztą nad łokciem, połyskując odbitym światłem.

Keller obszedł stół, czując niejasny lęk nawet przed potwierdzeniem swych podejrzeń. W gniewie zacisnął usta w cieniutką linię. Chwycił ramię i z powrotem posadził zwłoki na krześle, czując na palcach lepkość schnącej krwi.

Harry Tewson spojrział na niego rozwartymi, martwymi oczami. Jego usta były bezwładnie otwarte, ich kąciki opuszczone. Twarz miał kompletnie białą, choć na policzkach obok uszu widoczne były leciutkie muśnięcia żółci i błękitu. Krew wysączyła się przez długie, głębokie rozcięcia na szyi. Koszulę i przód marynarki zabarwił ciemny brąz, całą klatkę piersiową pokrywała wciąż jeszcze lepka krew. Okulary zgięły się na nosie, jedno zaś szkło pękło dokładnie na pół.

Keller zacisnął pięści i na moment przymknął oczy. Jęk wściekłości i rozpacz wydarł się z jego gardła. Harry. Musiał zgadnąć, jak podłożono bombę, odkryć związek między sir Jamesem Barrettem i właścicielem tego domu. To musiał być powód jego przyjścia tutaj. Ktokolwiek spowodował wybuch, mieszkał w tym domu - i był to ten sam człowiek, który zabił Harry'ego Tewsona. Czyżby doszło do jego konfrontacji z informacjami oficera? Cholerny, zadufany dureń. Czemu nie poszedł na policję? Czemu kogoś nie powiadomił?

I gdzie jest teraz ten człowiek?

Po raz pierwszy Keller dostrzegł krew na podłodze obok okna. Musiał w nią wdepnąć przy wchodzeniu. Czy tak właśnie zginął Tewson, wchodząc przez okno? Ale skąd morderca dowiedział się, że ktokolwiek odkrył prawdę? I czemu dotąd nie pozbył się ciała? Dlaczego, u licha, umieścił je w tak widocznym

miejscu? Sądząc z zapachu i zeszywnienia zwłok, Tewson był martwy nie dłużej niż jeden dzień. Niska temperatura mogła na pewien czas zakonserwować ciało, spowalniając proces rozkładu, lecz nie dłużej niż 24 godziny. Z obrzydzeniem zauważył na stole spleśniały bochenek chleba, wyglądający jak wyspa otoczona ciemnoczerwonym morzem. W nagłym ataku złości złapał bochenek i cisnął nim przez kuchnię. Jego stopa dotknęła czegoś leżącego na podłodze i spojrzawszy w dół stwierdził, iż jest to długi nóż do chleba. Jego ostrze nie błyszczało już, było matowe od krwi. Nachylił się, podniósł go i umieścił na stole, brzydząc się jego dotykiem. Wiedział, do czego go użyto.

Próbował się opanować. Zmusił się, aby myśleć rozsądnie. Ktokolwiek był właścicielem tego domu, musiał mieć spory majątek. Budynek był obszerny i stał w uprzywilejowanej okolicy. Może to jakiś rywal sir Jamesa? Keller wiedział, że poza Liniami Lotniczymi Consul prowadził on sporo innych interesów - a więc musiał mieć także mnóstwo wrogów. Lecz czy to możliwe, aby ktoś nienawidził sir Jamesa do tego stopnia, by zamordować go w tak okropny sposób, zabijając przy okazji tylu innych ludzi? Czy może sir Jamesa użyto po prostu do przeniesienia bomby, wiedząc, że dyrektor linii skorzysta z pewnością z przywileju wsiadania wraz z załogą, unikając przeszkania walizeczki? Czy zamachowiec potraktował to jako okazję, aby uderzyć w przedsiębiorstwo? Nie, to zbyt niezręczne, za wiele rzeczy mogło się nie udać. Ale Tewson wykrył związek, i to kosztowało go życie. Uderzyła go niespodziana myśl: może głos, który doprowadził ich tu przez Hobbsa, należał do Tewsona? Dlaczego jednak nie uczyniły tego inne duchy? Nagle Keller uświadomił sobie, że próbowali mu powiedzieć, tylko że tamten, ten, który zdawał się nad nimi panować, uciszał ich. On, to coś, chciało pozostać na ziemi.

I znów pilota zastanowiła jego własna akceptacja istnienia drugiego życia, świata duchów. Zbyt wiele już się wydarzyło, by teraz temu zaprzeczać.

Nagły hałas na górze wyrwał go z zamyślenia. Człowiek, którego szukał, przebywał wciąż w domu. Na pewno. Czuł to.

Keller podkradł się do kuchennych drzwi i stanął tam, z uchem przyciśniętym do drewnianej powierzchni, nasłuchując. Nic doń nie doszło, ujął więc klamkę i przekręcił ją powolutku, bezszelestnie otwierając drzwi. Zanim to jednak uczynił, zgasił

światło. Hall był zbyt ciemny, by Keller mógł cokolwiek dostrzec, czekał więc, wstrzymując oddech, z nastawionymi uszami. Przy jego napiętych do granic możliwości nerwach skrzypnięcie, mogące równie dobrze być efektem wewnętrznych ruchów budynku, wywołało u niego gwałtowne bicie serca! Źrenice powiększyły się wreszcie i przedmioty w mroku nabrały wyraźniejszych kształtów. Hall był długi i wąski, w odległym końcu dostrzegł prostokąt okna - jaśniejszy odcień szarości na tle otaczającej czerni. Półokrągła plama wysoko po lewej musiała być zarysem szyby nad frontowymi drzwiami. Dalekie światła przejeżdżającego samochodu, mijającego właśnie zakręt, padły na dom, zabarwiając okna ostrzejszym, żółtawym blaskiem. Dwie smugi światła przecięły pokój niby reflektory i błyskawicznie rozpląnęły się w nicość, kiedy samochód umknął w noc. Przedtem pozwoliły mu jednak dostrzec drzwi po prawej oraz wiodące na piętro schody po lewej. Wkroczył do hallu i zerknął w górę, usiłując dojrzeć przez balustradę górny podest. Na nic, wszystko z powrotem załała czerń.

Nie był pewien, jak długo tam stał - może sekundy, może minuty - ale stłumiony łoskot na górze ponownie pobudził go do działania. Postąpił dwa ostrożne kroki w głąb hallu, po czym przypomniał sobie o nożu w kuchni i wrócił po niego. Zaciśnął dłoń na odrażającym przedmiocie i przystanął na moment, aby raz jeszcze spojrzeć na skuloną postać Tewsona. Chociaż w ciemności nie mógł dostrzec twarzy, wiedział, że martwe oczy spoglądają wprost na niego i poczuł, że jeszcze jeden głos żąda zemsty.

Keller wrócił do hallu i, trzymając nóż przed sobą, przekradł się przez jego środek aż do stóp schodów. Nie zastanawiając się nad tym, co może nastąpić, począł się na nie wspinać, przystając co trzeci stopień, by sprawdzić, czy z góry nie dociera jakiś odgłos. Trwało to całą wieczność, nim osiągnął szczyt schodów - zbyt wiele tu było cieni, mrocznych plam ciemności, w których ktoś mógł się czaić. Lecz wreszcie dotarł tam, skulony, nerwowo szukający czegokolwiek wzrokiem.

I kiedy tak czyhał, powietrze oziębiło się, jakby mroźny wiatr owiał zniecka dom.

Za dużo drzwi do wyboru. Dostrzegał troje na prawo i jeszcze dwoje na lewo. Prędko uczynił krok i ukrył się w cieniu ściany naprzeciw plecami do muru, z dłonią jednej ręki opartą na

gładkiej powierzchni. W drugiej przyciskał nóż do piersi, ostrzem celując w sufit. Ten człowiek tam jest, wiedział o tym. Instykt - a może więcej niż instykt - mówił mu, że jest blisko. Ale gdzie?

Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Nie dbając już o ostrożność podszedł do pierwszych drzwi, przekręcił klamkę i otworzył je kopniakiem. Błyskawicznie odsunął się od wejścia i zagiął rękę wokół framugi, gorączkowo macając w poszukiwaniu wyłącznika światła. Znalazł go i nacisnął. Światło oślepiło go i przeklął sam siebie za to, że nie zamknął najpierw oczu. Mrugał nimi szybko, dopóki ślepotą nie ustąpiła, po czym zdecydowanie wkroczył do pokoju, próbując ogarnąć wzrokiem wszystko jednocześnie.

Pokój był pusty.

Czuć w nim było pleśnią. Stało tam duże łóżko, dwa miękkie fotele i toaletka. Jedną ścianę zajmowała meblościanka - uchylone drzwiczki odsłaniały pustkę. Pościel na łóżku była idealnie naciągnięta, kołdry starannie odchyłone. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, a w pokoju panowała zastała atmosfera, jakby przez długi czas nikt tu nie mieszkał.

Wrócił na podest i podszedł do następnych drzwi, nie przejmując się ewentualnym hałasem. Powtórzył całą operację, by stwierdzić, że wyposażenie jest prawie identyczne. Poza tym, iż meble wydawały się bardziej nowoczesne. To samo poczucie pustki.

Następne drzwi. Przekręcił klamkę i pchnął. Nic to nie dało - drzwi były zamknięte.

I wtedy wiedział już, że to tu. Odpowiedź, wszystkie odpowiedzi, były zamknięte za tymi drzwiami.

Zrobił krok do tyłu i uniósł nogę, kopiąc całą podeszwą w miejsce poniżej zamka. Drzwi zdrząły, lecz wytrzymały. Kopnął ponownie, tym razem wkładając w to więcej siły. Jego wysiłek nagrodził satysfakcjonujący trzask pękającego drewna. Musiał wymierzyć cios jeszcze dwukrotnie nim zamek wreszcie ustąpił i drzwi rozwarły się ze zgrzytem. Keller zatrzymał się tuż przy wejściu, czekając na coś, jakiś ruch, znak życia. Lecz przywitała go jedynie cisza.

Sięgnął za drzwi i przesunął dłonią po ścianie, znajdując i naciskając kontakt jednym płynnym ruchem. Trzymając nóż na wysokości pasa pilot wkroczył do środka. Ten pokój był

większy od innych, zawierał też znacznie więcej mebli. Szerokie, rozgrzebane łóżko zajmowało zaledwie jedną trzecią pokoju, w rogu stało małe biurczko zavalone papierami i dokumentami, na jego krawędzi leżała lampa do czytania, gotowa w każdej chwili spaść na podłogę. Meble, dwa fotele i krzesło z wysokim oparciem, wyglądały ciężko i staro. Ogromna, staroświecka szafa zajmowała dalszy róg, jej ciemnobrązowe, upstrzone drewno zmatowiało, od dawna już nie polerowane. Woń zastalego powietrza w tym pokoju była odmienna: smród zbyt długiego zamieszkania. Na podłodze Keller dostrzegł resztki jedzenia, podarte opakowania, puste butelki po mleku oraz wiadro, po brzegi wypełnione moczem i kałem. Ogarnęły go mdłości i omal nie zwymiotował. Co za istota mogła tak żyć?

Z trudem uniósł wzrok i rozgrzał się raz jeszcze po pokoju. Mężczyzna - jeśli to był mężczyzna - niewątpliwie był tutaj, ale gdzie? Skupił wzrok na łóżku. Wymięta pościel zwisała aż do podłogi, zasłaniając przestrzeń pod nim, tworząc idealną kryjówkę. Powstrzymując obrzydzenie Keller podszedł do łóżka, przykucnął lekko i czekając na jakiegokolwiek poruszenie pościeli, nasłuchiwał najłżejszego dźwięku.

W podnieceniu nie zauważył nawet, że oddech marznie mu na ustach. W pokoju stało się jeszcze zimniej.

Kłęcząc, sięgnął po zgniecione koce, wyciągając prosto przed siebie nóż. Jeden szybki ruch zerwał je z łoża i pilot nachylił się, aby pod nie zajrzeć. W tym samym jednak momencie dobiegł go dźwięk z przeciwnej strony pokoju. Zmieszany, stracił równowagę i upadł na bok, a ciężar koców pociągnął jego rękę w dół. Leżał sztywno, nie nastąpił jednak żaden inny dźwięk czy ruch. Rozejrzał się w mroku pod łóżkiem i stwierdził, że nikt się tam nie czai. Potem spojrział w kierunku, z którego dobiegł usłyszany przed chwilą dźwięk. Brzmiało to jak stłumiony szloch, ale z powodzeniem mogło być czymkolwiek innym jego myśli zajmowało całkowicie to, co mogło się kryć pod łóżkiem. Uwalniając rękę, Keller wstał z podłogi, wciąż drżąc od nagłego wstrząsu. Odgłos mógł dojść tylko z jednego miejsca, jedynej poza łóżkiem kryjówki na tyle dużej, aby mógł tam wejść człowiek. Z szafy.

Gdy do niej podszedł, uświadomił sobie obecność w pokoju innych, naciskających na niego, próbujących go osiągnąć. Lecząc jego umysł mógł skoncentrować się tylko na jednym: osobie czy

może rzeczy ukrywającej się wewnątrz tego wiekowego, drewnianego legowiska. Klucz szafy sterczał z zamka i Keller odczuł silną pokusę, by przekręcić go i uwięzić tego kogoś, tę przyczajoną istotę, w środku. Nie uczynił tego jednak. Pragnął stanąć z nim twarzą w twarz. Pragnął odpowiedzi. Palce jego lewej dłoni delikatnie dotknęły zakrzywionej, metalowej klamki, wsunęły się na nią i owinęły wokół. Ich uchwyt zacisnął się, gotowe były nacisnąć klamkę i pociągnąć. Nagle mięśnie Kellera zesztyniały i poczęły tracić siłę; nogi ugięły się pod nim, niemal niezdolne utrzymać jego ciężar. Bez dalszego namysłu przekręcił przegub i szarpnął drzwi.

Stwierdził, że spogląda prosto w bliźniacze, czarne wyloty luf dubeltówki. Oba otwory celujące w jego twarz zdawały się go hipnotyzować. Dopiero sporym wysiłkiem woli zdołał zmusić swoje spojrzenie do przesunięcia się wzdłuż luf, poza palec, drżący tuż przy spuście, w rozszerzone źrenice szaleńca.

Mężczyzna uniósł się z wolna, gdy tylko Keller ostrożnie odstaąpił od szafy, toteż pilot miał okazję obejrzeć tę niezwykłą, niechlujną postać. Otulony był w ciężki płaszcz i krótki wełniany szalik, jedna ręka sztywno zwisała wzdłuż boku. Z trudem wygramolił się z ukrycia. Wokół niego unosił się smród, który wydatnie wzmacniał dotychczasowy odór panujący w pokoju - było rzeczą oczywistą, że nie mył się od tygodni. Zapadnięte, wychudzone policzki i szyję pokrywał wielodniowy zarost, siwe włosy zwisały nad czołem w tłustych strąkach. A jego powieki podtrzymywane były w pozycji otwartej przez brudne pasma plastra.

Mimo pozornie niezadarnych ruchów, towarzyszących jego wychodzeniu z szafy, lufa strzelby prawie nie drgnęła, wciąż celując tuż pod podbródek Kellera.

- Więc teraz ciebie przysłali, co? - słowa były niewyraźne, jakby mężczyzna był pijany. Ale pośród wielu zapachów brakowało alkoholu, w śmieciach zaś nie dostrzegał żadnych po nim butelek.

Keller nie odpowiedział. Nadal się cofał, wciąż wyciągając przed siebie nóż.

- Myślą, że ty wystarczysz, tak? - Na twarzy wariata widniały jaśniejsze smugi, ślady łez. - Tak jak tamten. Skończysz jak tamten - skrzywione wargi odsłoniły zaplamione na żółto zęby. Strzelba drżała w jego dłoni.

Keller chciał już tylko uciec - odpowiedzi na nic się zdadzą trupowi. Zmusił się, by przemówić, po prostu dla zyskania czasu.

- Ty zabiłeś Tewsona - nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Tewsona? Kto to, u diabła, jest Tewson? Czy to ten na dole? - Wydawało się, że mężczyzna z każdą chwilą zyskuje więcej agresywnej pewności siebie, jakby czuł ulgę, że stoi przed nim normalny człowiek z krwi i kości. A czego się spodziewał? Dlaczego tak się zamykał? - Odpowiedz! - warknął teraz. - Kim on był? Czy to oni go przysłali?

Keller specjalnie mówił cicho i wyraźnie, nie chcąc niepotrzebnie podniecać furiata.

- Pracował dla AIB, przy dochodzeniu w sprawie katastrofy lotniczej w Eton. Ale o niej pan wie, czyż nie?

- O tak, o tym wiem - jego głos zabrzmiał przebiegle. - A ty kim jesteś?

- Keller. Byłem...

- Drugi pilot! Ten, który przeżył! Tak, to ciebie przysłali. Powiedzieli, że to zrobią.

- Kto powiedział? Kto mnie wysłał?

- Umarli, rzecz jasna. Powiedzieli, że zachowali kogoś, aby mnie odnalazł. Kogoś uratowałem - zaśmiał się. - No cóż, znalazłeś mnie. Co teraz?

- Ale kim pan jest? Czemu miałbym chcieć pana znaleźć? - Keller cofnął się ku drzwiom. Zaryzykował błyskawiczne spojrzenie przez ramię, aby przekonać się, jak ma jeszcze daleko. Co najmniej dwa metry.

- Wiesz dobrze, kim jestem, kłamco! Ja to zrobiłem! Zabiłem ich wszystkich!

Keller przystanął. Pomimo wymierzonej w niego strzelby znów przebudziła się w nim wściekłość.

- Tak, ja! - mężczyzna zaśmiał się w głos. - Jakoś trzeba było przystopować Barretta. Próbował mnie zrujnować! - Do jego oczu zaczęły napływać łzy i z powodu plastrów na powiekach nie mógł zamrużyć, aby je zdusić. - Ten człowiek był nikczemny. Próbował mnie zniszczyć, zdławić mój interes, na który tak ciężko pracowałem! Nie wiesz, kim jestem? Pendleton! Odrzutowiec Pendleton.

Tak, Keller słyszał o nim. Był pionierem silników odrzuto-

wych, jeszcze w latach trzydziestych przyłączył się do Franka Whittle'a, kiedy ten tworzył pierwszą brytyjską kompanię turboodrzutową. Musiał być wtedy dzieckiem, w najlepszym razie nastolatkiem, i stopniowo awansował coraz wyżej, póki nie zyskał dostatecznej wiedzy i doświadczenia, aby założyć własną kompanię. W wytwórczym przemyśle lotniczym był niemal legendą.

- Otóż to, Keller. Jako pilot musiałeś o mnie słyszeć. Teraz już wiesz, czemu byłem zmuszony go zabić?

Keller tępo pokręcił głową.

Pendleton splunął z niesmakiem.

- Barrett. Musiałem pozwolić mu się przed laty wkupić do mojej firmy, kiedy omal mnie nie wykończyły kłopoty z łopatami wirników z włókien węglowych. O mało nie spowodowały przecież upadku Rolls Royce'a, a w końcu moja firma nie mogła się z nim równać. Ale pojawił się kochany sir James, oferując pieniądze, oferując środki. W zamian za dwie trzecie kompanii. - Jego głos uniósł się do krzyku furii. - Jaki miałem wybór? Musiałem mieć nowe łopaty tytanowe, to była kwestia być albo nie być. No i zgodziłem się, przyjąłem propozycję tego oślizgłego skurwiela. Czy dalej się dziwisz, że go zabiłem?

Keller znów zaczął się cofać, ostrożnie, centymetr po centymetrze, nie spuszczać wzroku z twarzy Pendletona, czekając, kiedy jego palec naciśnie jeden lub nawet oba cyngle, w każdej chwili oczekując ognistego wybuchu.

- Nie, nie rozumiem. W końcu uratował panu firmę.

- O tak, uratował ją. Dla siebie, aby móc ją ukraść, kiedy tylko z powrotem stanie na nogi. Moją kompanię. Firmę, którą sam zbudowałem. Wszystkie te lata - stracone. Wszyscy moi ludzie - zwolnieni. To były jego plany. Mieli tu wkroczyć Amerykanie i przejąć wszystko w komplecie, wprowadzając nowych ludzi i własne pomysły. Bylibyśmy po prostu małą firmą, fragmentem wielkiego koncernu. Taki tańszy sposób na to, by dostać w swe łapy moje silniki. Myślisz, że pozwoliłbym na to?

Krew odpłynęła z jego twarzy. Całe ciało dygotało z wściekłości. Keller obawiał się, by strzelba nie wypaliła przez przypadek. Urwał kolejne trzy centymetry.

- Wyśmiał mnie, powiedział, że jestem skończony. Wiesz o tym? Byłem chory, to prawda, ale to on spowodował moją

chorobę. Powiedział, że nie jestem w stanie niczego utrzymać przy sobie, nawet moja żona i córka mnie opuściły. Szydził ze mnie. Twierdził, że silniki stały się moją jedyną obsesją do tego stopnia, że nie rozumiem, co się dzieje dookoła. Cóż przynajmniej doskonale rozumiałem jego. Wiedziałem, że leci do Stanów sfinalizować transakcję. Zagroził, że jeśli się wtrące, sprawi, iż zostanę oficjalnie uznany za wariata. Nie, nie jestem wariatem, i on o tym wiedział. *Myasthenia gravis*. Tak to nazywają lekarze. To nie obłąd. Czy wiesz, co to jest, Keller?

Pilot zgadywał, że ma jeszcze metr, zanim osiągnie drzwi. Nie był zupełnie pewien, co wtedy uczyni - uskokczy na schody, czy może zamknie się w innym pokoju? Nikłe szanse, ale lepsze to niż dać się zastrzelić tam, gdzie stoi. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że Pendleton spróbuje go zabić. Pokręcił głową, odpowiadając na pytanie szaleńca.

- To choroba neurochemiczna. Powoduje postępujący paraliż, czasami śmiertelny. Zazwyczaj zaczyna się od mięśni powiek - dlatego muszę je przylepiać do skroni. Wygląda to potwornie, prawda? Ale to nie obłąd, Keller. Nie obłąd. Gdybym był zdrow, nigdy nie próbowałby mi tego zrobić.

- Jak pan podłożył bombę? - Keller nadal czuł wściekłość, chęć przeżycia zajmowała jednak w jego umyśle znacznie więcej miejsca. Jeszcze ponad pół metra. Niech gada dalej.

- Ha. Bardzo łatwo. Sam ją zrobiłem, to drobnostka dla człowieka z moim technicznym wykształceniem, i kupiłem walizeczkę, identyczną z tą, którą zazwyczaj nosił Barrett, jedną z tych przeklętych modnych nowinek. Odprowadziłem go na lotnisko, błagając do ostatniej chwili. Widzisz, nawet wtedy mógł się jeszcze uratować. Ale on ofuknął mnie i powiedział, że to wszystko dla mojego dobra, że będę mógł wypocząć, nacieszyć się pieniędzmi, które zarobię na tej transakcji, może nawet odzyskać zdrowie. Pieprzony hipokryta. Zamieniłem walizki, dałem mu moją. A on na koniec uśmiechnął się do mnie i wyciągnął rękę, aby mnie ucisnąć. Wyobrazasz sobie, Keller?

Cwierć metra.

- Pospieszyłem do domu i kazałem kierowcy mnie zostawić. Chciałem ponapawać się tym w samotności. Wszedłem do tego pokoju, odsunąłem zasłony, usiadłem na krzesle naprzeciw okna. Czekałem.

Keller był już prawie w drzwiach.

- Widzisz, sam nastawiłem zapalnik. Znam trasy przelotów: Amber 1 przez Woodley do Daventry, albo Green 1 przez Reading. Nieważne, którą się wybierze, samolot i tak musi przelecieć nad Eton i Dorney. Rozumiesz, nastawiłem go tak, żeby bomba wybuchła, kiedy będą przelatywać tutaj. Ale coś nie wyszło. Samolot rozbił się, zanim tu dotarł. Lecz widziałem to z daleka - wybuch, cudowną łunę na niebie.

Keller przypomniał sobie niewielkie opóźnienie w ich odlocie. Gdyby nie to, obliczenia Pendletona okazałyby się bezbłędne. Przystanął w drzwiach.

- A ci wszyscy niewinni ludzie, których zgładził pan wraz z Barrettem. Czemu i ich zabijać? - w głosie Kellera brzmiało niedowierzanie, nie chciał uznać faktu, że ktoś może być aż tak szalony.

- Nikt nie jest bez winy, Keller. Powinieneś o tym wiedzieć.

- Ależ na pokładzie były dzieci. Kobiety.

- Dzieci wyrastają na takich ludzi jak Barrett. A co do kobiet, nawet moja żona i córka porzuciły mnie. wyjechały przed laty, pewnie nawet nie wiedzą o moim złym zdrowiu. Opuściły kraj. Widzisz więc, Keller, każdy jest winny. Ty. Ja. Każdy w swym życiu coś niszczy. Prawda?

Na swój zwariowany sposób Pendleton miał rację: zawsze kiedyś kogoś nienawidzimy, coś niszczymy. Ale to zbyt ogólnikowy argument, podkreślający jedynie skrajności. Keller nieraz zastanawiał się, jak zamachowcy mogli na taką skalę usprawiedliwić swoje działanie. Terrorysty, którzy swymi bombami zabijają i ranią tylu niewinnych przechodniów. Teraz już wiedział. Ich własne szaleństwo usprawiedliwiała te czyny. Dla nich cały świat był winny.

Przygotował się do skoku w ciemność korytarza.

Pendleton wciąż ciągnął dalej, człapiąc wolno w jego stronę.

- ...Moja fabryka. Widzisz, tak wiele osób zależało ode mnie, ich dochód, ich praca. Nie mogłem ich zawieść. Nie mogłem pozwolić na to, by moje imię zniknęło z historii lotnictwa. Ani kroku dalej, Keller, albo cię zabiję. A potem te głosy...

Keller zamarł. Ton Pendletona nie zmienił się prawie, kiedy ten ostrzegł go, by się nie ruszał, tym poważniejsza jednak czała się w nim groźba.

- ...przychodzą do mnie każdej nocy. Judzą. Szepczą. Szydzą

ze mnie. Ale nie mogą mnie dotknąć. Próbowaly. Próbowaly przerazić mnie do tego stopnia, bym sobie zrobił krzywdę, ale jestem dla nich za sprytny. Nie mogli mnie oszukać.

Mój Boże, pomyślał Keller. Jego własne szaleństwo uchroniło go przed nimi. Normalny człowiek zwariowałby ze strachu. Ale Pendleton nie był normalny.

- Zwolniłem kierowcę, oddaliłem gospodynię. Myśleli, że to z powodu żalu po straconym przyjacielu i koledze. Ale moi współpracownicy wiedzieli lepiej. Wysłałem im list, w którym oznajmiłem, że wyjeżdżam na trochę. Oczywiście wpadli w panikę. Jedyna pozostała głowa kompanii nie może po prostu zniknąć w czasie takiego kryzysu, kiedy już wszystko ma się zwiijać i w ogóle. Wysyłali tu ludzi, w końcu jednak zrezygnowali. Zawsze sądzili, że jestem ekscentrykiem. Rozumiesz, nie mogłem wyjść z domu. Zbyt łatwe byłoby dla... nich... dostać mnie. Więc się ukryłem. Ale powiedzieli mi, że kogoś przysła. To ty, prawda? Ten drugi to pomyłka.

- Tak, to ja - odpowiedział Keller po prostu.

- No cóż, więc co masz zamiar zrobić? Zawiadomić policję? - w głosie zadźwięczała kpina. Raz jeszcze stał się szyderczy. - Raczej trudno będzie ci to zrobić, kiedy będziesz martwy, co, nie?

Pilot patrzył, jak palec szaleńca wolno zaciska się na spuście, kostki bieleją w napięciu. Uniósł nóż w bezsensownym geście obrony. Czy to koniec? Cóż za ironia - cudem umknąć z katastrofy lotniczej tylko po to, by zostać zastrzelonym przez wariata.

Obaj mężczyźni w tym samym momencie poczuli lodowaty wiatr wiejący przez pokój. Głowa Pendletona obróciła się z lewa na prawo, kiedy ze wszystkich stron pokoju rozległy się głosy, szepczące, wołające Kellera. Był między nimi i głos Rogana, lecz, o dziwo, brakowało demona - Goswella. Błagali, domagali się pomsty, żądali jej. Keller pojął, czego pragną: śmierci Pendletona. Ale co mógł zrobić? Był bezradny.

Ręka szaleńca dygotała gwałtownie, a jego głowa obracała się gorączkowo na boki. Wrzeszczał na głosy, aby odeszły.

Keller wykorzystał okazję. Rzucił się naprzód, nurkując pod wymierzoną weń lufą i zwałił Pendletona na ziemię. Oczekiwał ryczącego wystrzału, który urwałby mu głowę, lecz palec szaleńca ześliznął się z cyngla i strzał nie nastąpił. Padli na siebie

i zwarli się, starszy mężczyzna krzychał wniebogłosy i kopał, celując w Kellera. Jego zdrętwiała ręka wróciła do życia i paznokcie ryły twarz pilota. Keller wbił łokieć w gardło wariata i nacisnął mocno, lecz gruby, wełniany szalik uchronił starca przed jakimiś poważniejszymi obrażeniami.

Głosy w jego głowie ponaglały go, domagały się, by zabił tego człowieka, żeby wreszcie skończył to raz na zawsze. Zdjął łokieć z szyi Pendletona i chwycił strzelbę, łapiąc za lufę i wykręcając ją z dala od siebie. Owiał go oddech Pendletona, niemal wywołując wymioty, drobinki płwociny wydobywające się z wrzeszczących ust opryskały mu twarz. Uniósł dłoń trzymającą nóż i zatrzymał ją nad twarzą Pendletona. Oczy starca rozszerzyły się jeszcze bardziej na widok wymierzonej w nie broni.

- Nie! - krzyknął, a głosy w głowie Kellera nawoływały go, by uderzył. Nagle jeden z plastrów zapobiegających zamknięciu się oczu Pendletona puścił, nie wytrzymując zwiększonego napięcia, i powieka opadła. Ten właśnie żałosny ruch powstrzymał nóż.

Keller stwierdził, że nie może uderzyć. Ten pod nim, to po prostu słaby, obłąkany starzec. Desperacko walczący ludzki strzęp. Było w nim zło, lecz pochodziło z szaleństwa, z choroby. Odrzucił na bok nóż i ujrzał kompletne oszołomienie błyszczące w jednym oku Pendletona. Głosy w głowie Kellera zawodziły, protestowały.

Ale nie zabije dla nich.

Na jedną zastygła, trwającą całą wieczność sekundę walka ustała, nagle jednak Keller poczuł mocne kopnięcie, które odrzuciło go w tył, gdzie upadł plecami na podłogę. Pendleton zdołał wsunąć między nich stopę i kopnął z całą siłą i wściekłością wariata. Pilot błyskawicznie uniósł się na łokcie i zobaczył, jak starszy mężczyzna stara się złapać oddech, zrywa się z trudem na nogi, ciągle ściskając w ręku strzelbę... Keller poruszył się w tym samym momencie, zmuszając swe ciało do powstania i przez ułamek sekundy obaj stali naprzeciw siebie. Keller spojrzał w jedyne oko Pendletona. Dostrzegł w nim nienawiść.

Chwilę potem strzelba celowała już w jego brzuch. Jak na zwolnionym filmie ujrzał palec naciskający spust. Widział płomień tryskający z czarnej dziury i poczuł, że pada, odrzucony siłą wystrzału przez otwarte drzwi.

świat nappełnił się hukiem dubeltówki, udręczonymi głosami umarłych, śmiechem szaleńca. Zawirował wokół niego niczym szalona karuzela światła i dźwięku.

Otworzył oczy i spojrział w dół na swe ciało. Wybuch pocisku rozerwał mu brzuch. Opierał się o balustradę na podeście, widział zatem doskonale krew tryskającą na uda. Wystrzał zmiotł jego koszulę i górę spodni. Patrzył teraz na wystające z poszarpanej rany lśniące jelita. Powoli zaczynały wypływać wraz z ciekącą krwią. Unosiła się z nich para.

Drżącą ręką sięgnął w dół i przytrzymał ciepłe, śliskie wnętrzności, starając się wepchnąć je z powrotem, ocalić życie. Niewiarogodne, lecz nie czuł żadnego bólu. Przypisał to szokowi.

A potem zmusił się do powstania i poszedł z powrotem do pokoju. Jedną ręką bezskutecznie starała się zakryć dziurę. Pendleton obserwował go z nowym przerażeniem i padł na kolana, tuląc do siebie strzelbę.

Keller nie czuł nienawiści. Jedyne przejmujący smutek. To nie była wina tego człowieka, doprowadzono go do tego. Mógł czuć tylko litość. I wtedy otoczyła go światłość. Biała, oślepiająca światłość. Poczul, że się unosi, odrywa od ciała, niesiony nowym prądem siły i energii, jakiej nigdy przedtem nie doświadczył. Światło wypełniło każdy zakątek jego duszy, przepływając przez niego, przemieniając go w bezkształtną, szybującą istotę. Słodycz tego przypominała orgazm, była jednak bardziej czysta, zaspokajająca.

Spojrzął w dół i zobaczył uciekający przed nim pokój, ujrzał, jak Pendleton unosi strzelbę do swego własnego gardła i wreszcie, jak jego palec naciska spust. Żal ogarnął jego nową istotę, minął jednak, choć wiedział, że nigdy go do końca nie opuści - stał się częścią tego dziwnego uniesienia. Zobaczył własne ciało leżące na podłodze, spalone nie do poznania, czarne

i ledwie przypominające człowieka, i zaczął wreszcie rozumieć.

Nie przeżył katastrofy. Zginął wraz z innymi.

Nieziemskie siły ocaliły go, pozostawiły go tam, aby pomścił ich śmierć, aby cierpiący męki mogli się uwolnić. Odzyskali już wolność, człowiek bowiem, który ich zabił, sam także nie żył. A on, Keller, nie był tego przyczyną. Ulga zmieszała się z uniesieniem, każde uczucie zyskiwało nową, przerażającą jakość, tak niepodobną do stłumionych odczuć życia. Uniósł się w górę.

Duchy ofiar wypadku były wszędzie wokół niego, wznosiły się razem z nim, dołączały do niego. Ale zło opuściło je, ten, który niegdyś zwał się Goswellem, zniknął. Sięgnął w dół po ducha Pendletona, tak jak niewidzialne ręce sięgnęły wcześniej po niego, witające, pomocne. Zanim pokój, dom i pole poniżej zniknęły ostatecznie z jego oczu, pochwycił ostatni obraz Hobbsa. Hobbsa, który stał oparty o maskę samochodu i spoglądał w górę, świadom tego, co się stało, nareszcie upewniony w swoich podejrzeniach co do nierzeczywistej egzystencji Kellera. Dziwnie zmieniona aura wokół pilota już na początku wywołała wątpliwości medium, a teraz Hobbs zrozumiał. Nie wszystko, ale wystarczająco wiele. Umierająca kobieta na High Street; strach w jej oczach, kiedy na niego spojrzała. Wiedziała w chwili własnej śmierci. Poczował, jak od medium płynie dobra wola i uśmiechnął się całą swą nową istotą, po nowych narodzinach.

Wyczuwał ich obecność. Czuł blisko siebie Cathy. Nie przypominało to wcale ich cielesnej miłości, jako że teraz wszyscy byli jednością. Miłość stała się przez to znacznie potężniejsza. sięgnęli po niego, ukoiли jego obawy i pociągnęli w górę. Dotarły doń pierwsze przebliski zrozumienia; tylko przebliski, lecz znacznie większe niż cała suma ludzkiej wiedzy. To była wiedza o sobie, esencja wszystkiego. Teraz pojął, czemu istnieje okrucieństwo. Dlaczego szaleństwo karmi się same sobą. Czemu istnieje zagrożenie. Mordercza duma. Wojny.

Musnął go smutek, nie czuł jednak goryczy. Była też radość, radość, którą mógł teraz zrozumieć, szczęście, ogarniające go i jeszcze mocniej wiążące z innymi. Tak wiele jeszcze było do poznania i zrozumienia. Wiedza już uzyskana podpowiadała mu, że to dopiero początek, pierwszy chwiejny krok. A czeka go jeszcze wiele kolejnych, każdy ważniejszy od poprzedniego.

Lecz jeśli to dopiero początek, jakże przerażająca i straszliwa miała być cała podróż? Przestrach trwał tylko chwilę i szybko stał się kolejną częścią jego jestestwa, częścią ich wszystkich. Czuł ich ciepło, dodające odwagi, przepływające przez niego, dotykające i zlewające się z jego istotą. Wykrzyknął w radości i tryumfie.

I ruszył dalej.

Epilog

Stary człowiek usiadł na moście, okręcając mocniej szalik wokół szyi. Noc - czy raczej wczesny ranek - zamglila się przepływającymi chmurami dymu, szarego dymu, który zazwyczaj unosił się w powietrzu długo po wygaszeniu ognia. To już był koniec, choć wciąż jeszcze kolejne grupki gapiów powracały przez mostek do swych domostw w Windsorze z widowiska, jakie stanowił pożar. Niewielu ich już pozostało, jako że pierwsze podniecenie wygasło parę godzin wcześniej.

Stary człowiek wsłuchiwał się w ich zmęczone głosy, rozstrząsające ostatnie wydarzenia. Najpierw pożar wzdłuż High Street biorący swój początek w studio fotograficznym. Ogień rozszerzył się na trzy okoliczne sklepy, całkowicie niszcząc dwa i poważnie uszkadzając trzeci. Wciąż jeszcze nie wydobyto ciał. To musi poczekać do rana - wówczas cała operacja będzie bezpieczniejsza. A potem w *college u*: najpierw zajęła się stara kaplica, później ogień przeczucił się dalej. Spłonęło wiele starych budynków. Zaginął rektor. Wciąż jeszcze podliczano chłopców. Jednego znaleziono w pobliżu płonących zabudowań, ale krążyła pogłoska, że wciąż jeszcze jest w zbyt głębokim szoku, by móc coś opowiedzieć. Nawet miejscowy pastor zapadł w swego rodzaju śpiączkę. Cokolwiek stało się tej nocy w Eton, dostarczyło materiału do spekulacji na wiele następnych lat.

Głosy odpłynęły w ciemności i stary człowiek był wreszcie na moście sam.

Sztynno obrócił się na drewnianej ławce, wykręcając szyję, aby obejrzeć się na błonia, gdzie rozbił się samolot. Zupełnie jakby zdarzyło się to całe lata temu. Odchrząknął cicho. Migotliwy obłok zniknął. Widział go jeszcze parę godzin temu.

kiedy nad miastem zapadł zmierzch. Cały dzień bowiem czekał, aż coś się wydarzy. Wiedział, że potworne napięcie, wiszące nad Eton od czasu wypadku, sięgnęło swego szczytu, granicy wytrzymałości. Miał rację, naprawdę doszło do niezłego wybuchu. Lękając się wyjść na dwór, jedynie przez firanki obserwował tą zwiewną, mglistą chmurę nad łąką. Ale teraz zniknęła, odpłynęła, i wraz z nią rozwiało się owo napięcie.

Nagła zmiana nastroju nastąpiła dokładnie wtedy, kiedy ogień rozszalał się na dobre. Natychmiast wyczuł ten moment przesilenia, odebrał go niby ostry duchowy wstrząs. Doznał uczucia, jakby zniknął spowijający jego serce szary woal. I od tej chwili płomienie zaczęły zamierać.

Powrócił do poprzedniej pozycji i spojrzał w dół, w czerń rzeki. Czekał w ciemnościach swego pokoju, póki nie wygaśnie wrzawa i podniecenie. Potem, po tak długim czasie spędzonym w domu, ubrał się ciepło i wyszedł. W jego krokach była jakaś nowa lekkość. Wydawało się, że ogień oczyścił miasto.

To już koniec, był tego pewien. Zawsze był wrażliwy na takie rzeczy. Czyż nie spojrzał na samolot tuż przedtem, nim tamten zaczął spadać? Czy nie czuł, że coś było nie w porządku? Tak, już skończone. Miasto może wygoić rany i próbować zapomnieć. Nie można jednak odbudować historii: nie da się przywrócić *college'owi* jego dawnej świetności. Oznaczało to po prostu koniec jednej epoki i początek nowej.

Od tak dawna już tu nie siedział. Dobrze jest wrócić. Uniósł wzrok ku niebu. Takie wielkie. Takie głębokie.

Stary człowiek zadrzał, czując lodowaty powiew. Wydało mu się, że słyszy czyjś szept i coś, co mogło być chichotem. Musiały jednak tylko zawodzić go jego stare uszy - to po prostu zimny, nocny wiatr, umykający Przed nadchodzącym świtem. Jego stare kości stały się ostatnio zbyt czułe na byle chłodek. No, ale to już minęło, wtopiło się w noc. Niech wzbudza teraz dreszcze u innych.

Uśmiechnął się do siebie i poczłapał z powrotem przez most do domu, do ciepłego łóżka.